

**Rosamunde Pilcher**

**Fiesta  
w Cala Fuerte**

# *Rozdział pierwszy*

Suknia ślubna była kremowobiała z leciuteńkim różowym połyskiem, przywodzącym na myśl wnętrze muszli. Kiedy Selina postąpiła krok naprzód, bardzo sztywny, cienki jedwab rozciągnął się na czerwonym dywanie, ale tren pozostał w tym samym miejscu, tak że dziewczyna czuła się, jakby materiał spowijał ją niczym luksusową paczkę.

- O, tak, nie mogła pani wybrać lepszej sukni - oznajmiła panna Stebbings, próbując naśladować sposób mówienia pań z wyższych sfer. - Leży na pani jak ulał. A co z długością?

- Sama nie wiem... Jak pani sądzi?

- Może odrobinę skrócimy... Pani Bellows, proszę do mnie.

Pani Bellows wysunęła się z kątką, gdzie czekała na wezwanie. Panna Stebbings miała na sobie elegancką suknię z krepy, ale pani Bellows była ubrana w czarny nylonowy fartuch, a jej obuwie aż nadto podejrzanie przypominało kapcie. Nadgarstek ścisnęła gumka z przyczepioną do niej poduszeczką ze szpilkami. Szwaczka przykłękła i podpięła rąbek sukni. Selina przyglądała się swojemu odbiciu. Wcale nie była pewna, czy sukienka rzeczywiście leży na niej „jak ulał”, a do tego ciepła barwa jedwabiu dodatkowo podkreślała bladość jej cery. Dodajmy jeszcze bezbarwne wargi, no i te odsłonięte uszy. Potrząsnęła głową, próbując zasłonić je włosami, ale udało jej się jedynie przekrzywić mały, elegancki stroik, który panna Stebbings włożyła jej na głowę, a kiedy uniosła rękę, żeby go poprawić, poru-

szyła spódnicą. Pani Bellows syknęła przez zaciśnięte wargi, jakby lada chwila mogło dojść do niewyobrażalnej katastrofy.

- Przepraszam - odezwała się Selina.

Panna Stebbings uśmiechnęła się, by uspokoić dziewczynę, że to drobiazg, i zagaiła tonem towarzyskiej konwersacji:

- I kiedyż to ma nastąpić ów radosny dzień?

- Planowaliśmy go za jakiś miesiąc... Tak mi się wydaje.

- Nie urządzać państwo hucznego wesela?

- Nie.

- To oczywiście, biorąc pod uwagę pani sytuację...

- Właściwie nie chciałam mieć sukni ślubnej z prawdziwego zdarzenia. Ale Rodney... Pan Ackland... - Znowu się zawahała, wreszcie wypowiedziała to słowo na głos: - Mój narzeczony... - Twarz panny Stebbings rozjaśnił przesłodzony, promienny uśmiech. - ...uważał, że powinnam ją sobie sprawić. Twierdził, że babcia życzyłaby sobie, żebym brała ślub w białej sukni...

- Oczywiście, że by sobie życzyła. Pani narzeczony ma świętą rację! Zawsze uważałam, że skromny, cichy ślub z panną młodą w bieli ma wyjątkowy urok. Żadnych druzhen?

Selina pokręciła głową.

- Czarujące. Tylko was dwoje. Skończyła już pani, pani Bellows? Doskonale. I jak teraz? Niech pani zrobi parę kroków. - Selina posłusznie ruszyła przed siebie. - Od razu lepiej. Przecież nie możemy dopuścić, żeby się pani zaplątała w suknię, prawda?

Selina lekko poruszyła się pod szeleszczącym jedwabiem.

- Jakaś strasznie luźna mi się wydaje.

- Chyba znowu pani schudła - stwierdziła panna Stebbings, zbierając w dłoni nadmiar materiału.

- Może przed samym ślubem trochę przytyję.

- Wątpię. Lepiej trochę ją zwężymy, na wszelki wypadek.

Pani Bellows uniosła się z klęczek i wpięła kilka szpilek w talię. Selina obróciła się, jeszcze parę razy przeszła po

pokoju, w końcu suwak został rozpięty, suknia delikatnie zsunięta przez głowę i odłożona na ramię pani Bellows.

- Na kiedy będzie gotowa? - zapytała Selina, wciągając przez głowę sweter.

- Sądzę, że za jakieś dwa tygodnie - odparła panna Stebbings. - Zdecydowała się pani na ten malutki stroik?

- Tak, myślę, że tak. Jest dość skromny.

- Dam go pani na kilka przed ślubem, to pokaże pani fryzjerowi. Będzie pani wyglądać rozkosznie z zaczesanymi włosami i połyskującym na czubku stroikiem...

Selina miała obsesję na punkcie swoich uszu; jej zdaniem były okropne i wielkie. Mimo to posłusznie powiedziała: „Tak” i sięgnęła po spódnice.

- A co będzie z butami, panno Bruce?

- Kupię jakieś białe pantofle. Bardzo pani dziękuję, panno Stebbings.

- Drobiazg.

Panna Stebbings podała Selinie żakiet, przy czym zauważyła, że dziewczyna ma na sobie perły po babce: dwa sznury spięte zameczkiem wysadzonym szafirami i brylantami. Zauważyła także pierścionek zaręczynowy: ogromny szafir otoczony na przemian perłami i brylantami. Z trudem się powstrzymała od komentarza; bała się, żeby nie uznano jej za wścibską lub źle wychowaną. Dlatego w godnym damy milczeniu przyglądała się, jak Selina wkłada rękawiczki. Potem rozchyliła i przytrzymała brokatową zasłonę przymierzalni i pożegnała klientkę:

- Do widzenia, panno Bruce. Było mi bardzo miło.

- Dziękuję. Do widzenia, panno Stebbings.

Selina zjechała windą na dół, minęła liczne stoiska i w końcu przez obrotowe drzwi wydostała się na ulicę. Po przegrzanym wnętrzu sklepu marcowe powietrze wydawało się ostre i chłodne. Na błękitnym niebie sunęły białe chmurki, a kiedy podeszła do krawężnika, chcąc zatrzymać

taksówkę, podmuch wiatru zarzucił jej włosy na twarz, zawiązał spódnicę i sychnął w oczy piaskiem.

- Dokąd? - spytał taksówkarz, młody chłopak w kracianej oprychówce. Wyglądał jak ktoś, kto w wolnych chwilach trenuje psy myśliwskie.

- Proszę do hotelu „Bradley”.

- Się robi!

W taksówce unosiła się woń perfumowanego środka dezynfekującego z lekką domieszką stęchłego zapachu kiepskich papierosów. Selina wyjęła sobie z oka pyłek i otworzyła okno. W parku, wśród kwitnących żonkili, na brązowym koniu jechała dziewczynka. Na drzewach pojawiła się już mgiełka zieleni, liści ciągle jeszcze nie zbrukał kurz i brud miasta. Takiego dnia nie powinno się spędzać w Londynie, tylko wyjechać za miasto, wspinać się na wzgórza, zbiegać ku morzu. Na ulicach i chodnikach, jak zwykle w porze lunchu, tłoczyli się biznesmeni, kobiety idące po zakupy, maszynistki, bitowcy, Hindusi i kochankowie, którzy szli ze splecionymi dłońmi, śmiejąc się na wietrze. Na chodniku stała kwiaciarka z koszem fiołków i nawet stary pijaczyna wetknął w klapę obwisłego burego płaszcza złościsty żonkil.

Taksówka skręciła w Bradley Street i zatrzymała się przed hotelem. Portier podszedł, żeby otworzyć Selinie drzwiczki. Znał ją, znał też jej babkę, starszą panią Bruce. Selina już jako mała dziewczynka przychodziła tu z babką na lunch. Pani Bruce co prawda już nie żyła i Selina przyjeżdżała sama, ale portier nadal ją poznawał i witał serdecznie.

- Dzień dobry, panno Bruce.

- Dzień dobry.

Otworzyła torebkę, szukając drobnych.

- Śliczny dzień dziś mamy.

- Okropnie wietrzny.

Zapłaciła szybko taksówkarzowi, podziękowała i ruszyła do drzwi.

- Czy pan Ackland już przyszedł?
- Tak, jakieś pięć minut temu.
- Co za pech, jestem spóźniona!
- Nic mu się nie stanie, jeśli chwilę poczeka.

Portier wpuścił ją przez drzwi obrotowe i po chwili Selina znalazła się w ciepłym wnętrzu drogiego hotelu. Unosił się tam rozkoszny zapach świeżych cygar i pysznego jedzenia. Grupki elegancko ubranych ludzi siedziały przy stolikach, Selina poczuła się potargana i mało wytworna. Już miała skierować się do toalety, kiedy siedzący samotnie przy barze mężczyzna dostrzegł ją, wstał i ruszył w jej kierunku. Mężczyzna był wysoki, przystojny, mógł liczyć jakieś trzydzieści pięć lat, miał na sobie uniform człowieka interesu: ciemnoszary garnitur, koszulę w drobne prążki i krawat w dyskretny rzucik. Gładka twarz o szlachetnych rysach, uszy przylegające do głowy, starannie zaczesane gęste, brązowe włosy, opadające tuż nad brzegiem wykrochmalonego kołnierzyka. Na dobrze skrojonej kamizelce połyskiwała złota dewizka. Spinki i zegarek także były złote. Mężczyzna wyglądał na tego, kim był: dobrze prosperującego, dobrze wychowanego, dobrze ułożonego i nieco pompatycznego prawnika.

- Selina! - zawołał.

Zatrzymana w pół kroku, Selina zrezygnowała z ucieczki do toalety. Obróciła się i zobaczyła narzeczonego.

- Och, Rodney...

Zawahała się. Pocałował ją.

- Spóźniłaś się - stwierdził.

- Wiem, przepraszam. Były straszne korki.

Po jego wzroku - choć nie było w nim przygany - poznała, że nie jest zachwycony jej wyglądem. Właśnie miała powiedzieć: „Muszę sobie przypudrować nos”, kiedy Rodney oświadczył:

- Idź przypudrować sobie nos.

Zawsze doprowadzało ją to do pasji. Zawahała się chwilę. Chciała mu wytłumaczyć, że właśnie kiedy ją zatrzymał,

wybierała się do toalety, ale uznała, że szkoda zachodu. Uśmiechnęła się więc, Rodney także odpowiedział uśmiechem i - doszedłszy w ten sposób do porozumienia - rozstali się w zgodzie.

Kiedy Selina wróciła - jasnobrązowe włosy starannie uczesane, nos przyrudowany, usta umalowane - Rodney czekał na nią siedząc na niewielkiej, rzeźbionej sofie. Przed nim na małym stolyczku stała szklanka martini i kieliszek lekkiego, wytrawnego sherry, które zawsze zamawiał dla Seliny. Usiadła obok niego.

- Kochanie, zanim zaczniemy rozmowę, muszę ci powiedzieć, że dzisiejsze wspólne popołudnie jest nieaktualne - odezwał się Rodney. - O drugiej mam spotkanie z klientem, to dość ważny człowiek. Nie gniewasz się, prawda? Załatwimy to jutro.

Zamierzali pójść do nowego mieszkania, które Rodney wynajął i w którym mieli rozpocząć swe małżeńskie życie. Mieszkanie było niedawno malowane, wszystkie prace remontowe i elektryczne zostały zakończone, teraz musieli tylko wymierzyć pokoje, wybrać wykładziny i zasłony i zdecydować się ostatecznie co do kolorystyki.

Selina zapewniła, że oczywiście się nie gniewa. Nie ma różnicy, czy zrobią to dziś, czy jutro. W głębi ducha była wdzięczna za dwudziestoczwierogodzinną zwłokę w wybraniu koloru wykładziny w salonie. No i może znajdzie argument, który wreszcie przeważą na rzecz muślinu albo pluszu.

- Jak spędziłaś rano?

Na tak bezpośrednie pytanie Selina udzieliła nadzwyczaj romantycznej odpowiedzi:

- Kupowałam suknię ślubną.

- Kochanie! - Rodney był zachwycony. - Gdzie poszłaś?

- Wiem, że to zabrzmiało mało oryginalnie, ale do panny Stebbings. Jest odpowiedzialna za dział ubrań modelek i babka zawsze u niej się ubierała, więc pomyślałam sobie, że lepiej pójdę do kogoś, kogo znam. Inaczej pewnie kupiłabym coś idiotycznego i wyglądała okropnie.

- Nie, co ty opowiadasz!

- Och, znasz mnie, zupełnie nie radzę sobie w sklepach.

Potrafią mi wcisnąć najgorsze rzeczy.

- I jak wygląda ta suknia?

- Cóż, jest biała, trochę złamana biel z odcieniem różu.

Nie umiem tego opisać...

- Z długimi rękawami?

- O, tak.

- Długa czy krótka?

Długa czy krótka! Selina wpatrywała się w Rodneya ze zdumieniem.

- Długa czy krótka? Ależ oczywiście, że długa! Och, Rodney, uważasz, że powinnam sobie sprawić krótką? Nawet mi to nie przyszło na myśl. Nie wiedziałam, że w ogóle można coś takiego kupić.

- Kochanie, nie ma o co robić takiego zamieszania.

- Może powinnam kupić krótką. Skoro to ma być skromny ślub, długa będzie wyglądała idiotycznie, prawda?

- Możesz ją wymienić.

- Nie mogę. Panna Stebbings już ją dopasowuje.

- Cóż, w takim razie... - łagodził sytuację Rodney - w takim razie to bez znaczenia.

- Uważasz, że nie będę wyglądała jak idiotka?

- Oczywiście, że nie.

- Suknia jest bardzo ładna. Naprawdę.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę. I mam dla ciebie nowinę. Rozmawiałem z panem Arthurstone'em - zgodził się poprowadzić cię do ołtarza.

-Och!

Pan Arthurstone - współwłaściciel firmy Rodneya, stary kawaler - był bardzo zasadniczy. Cierpiał na artretyzm w stawach kolanowych i Selinie zrobiło się zimno na samą myśl, że miałyby iść z nim nawą główną - raczej prowadząc, niż będąc przez niego prowadzona.

- Kochanie, wykrzesz z siebie odrobinę więcej entuzjazmu - wycydył Rodney, unosząc z niezadowolaniem brwi.

- Och, ależ ja się ogromnie cieszę. To bardzo miło z jego strony, że zgodził się na twoją propozycję. Tylko że nie wiem, czy ma sens, żeby w ogóle ktoś mnie prowadził do ołtarza? Może po prostu weslibyśmy do kościoła razem, stanęli przed ołtarzem i tak się pobrali?

- Nie, o czymś takim absolutnie nie może być mowy.

- Ale ja przecież prawie wcale nie znam pana Arthurstone'a.

- Oczywiście, że go znasz. Od lat reprezentował firmę twojej babki.

- To nie to samo, co znać kogoś.

- Podprowadzi cię do ołtarza, to wszystko. Ktoś musi to zrobić.

- A dlaczego?

- Kochanie, tak to się zawsze odbywa. A nikogo innego nie masz. Przecież zdajesz sobie z tego sprawę.

I oczywiście Selina zdawała sobie z tego sprawę. Ani ojca, ani dziadka, żadnego wuja albo brata. Nikogo. Zostawał tylko pan Arthurstone.

Westchnęła głęboko.

- Chyba masz rację.

Rodney znowu poklepał ją po dłoni.

- Grzeczna dziewczynka! A teraz... mam dla ciebie niespodziankę. Prezent.

- Prezent?

Była zaintrygowana. Czyżby i Rodney uległ radosnemu, wiosennemu nastrojowi tego marcowego poranka? Czyżby zmierzając na lunch, dał się skusić i zajrzał do czarującego sklepiku, gdzie kupił jakiś niepotrzebny drobiazg, żeby wnieść element romantyzmu do ich spotkania?

- Naprawdę, Rodney? Gdzie on jest?

(W kieszeni? Kosztowne prezenty zwykle mieszczą się w małych paczuszkach.)

Rodney sięgnął za siebie i zza pleców wyciągnął paczkę owiniętą w papier i przewiązaną sznurkiem. Z daleka było widać, że to książka.

- Proszę - powiedział.

Selina starała się nie okazać rozczarowania. Książka. Pozostawało mieć nadzieję, że wesoła.

- Och, książka!

Była ciężka, więc Selina pozbyła się wszelkich złudzeń, że przynajmniej się nad nią pośmieje. Zapewne to jakieś poważne dzieło, skłaniające do głębszego namysłu, w inteligentny sposób dotykające rozlicznych problemów społecznych współczesnego świata. A może książka podróźnicza, w której naoczni świadkowie opowiadają o rytuałach i obyczajach plemion środkowoamerykańskich. Rodney nie ustawał w wysiłkach zmierzających do ukształtowania umysłu narzeczonej i nadzwyczaj go smuciło, że tak ogromne zainteresowanie okazywała pismom kobiecym, lekkiej literaturze i powieściom kryminalnym.

Jeśli chodzi o kulturę, sytuacja nie wyglądała wiele lepiej. Selina przepadała za teatrem, ale nie znosiła czterogodzinnych nasiadówek, w czasie których kazano jej oglądać duchowe rozterki dwójki ludzi żyjących w koszach na śmiecie. Tak samo było z baletem. Bardzo chętnie chodziła na przedstawienia, pod warunkiem jednak, że baletnice tańczą w tiulowych spódniczkach i krążą w rytm walca Czajkowskiego. Jeśli zaś chodzi o gust muzyczny, to Selina nie potrafiła ścierpieć koncertów skrzypcowych.

- Tak, to książka - powiedział Rodney. - Czytałem ją i wywarła na mnie tak ogromne wrażenie, że kupiłem drugi egzemplarz z myślą o tobie.

- Bardzo miło z twojej strony. - Ważyła w rękę tomiszczę. - O czym to?

- O pewnej wyspie na Morzu Śródziemnym.

- Brzmi zachęcająco.

- To chyba rodzaj autobiografii. Autor zamieszkał na wyspie jakieś sześć, siedem lat temu. Założył dom i bardzo się związał z tamtejszą ludnością. Jego komentarze na temat Hiszpanów i ich sposobu życia zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Takie wyważone, roztropne. Spodoba ci się, Selino.

- Tak, jestem pewna, że mi się spodoba - przytaknęła i odłożyła książkę na sofę obok siebie. - Bardzo ci dziękuję, Rodney, że mi ją kupiłeś.

Po lunchu pożegnali się na chodniku. Rodney w meloniku nasuniętym na czoło, Selina z paczką w dłoni, włosami, które wiatr targał i zarzucał jej na oczy.

- I jak spędzisz dzisiejsze popołudnie? - spytał Rodney.

- Och, jeszcze nie wiem.

- A może byś się przespacerowała do Woollanda i jeszcze raz przyjrzała zašonom? Gdybyś dostała trochę próbek, moglibyśmy wziąć je jutro ze sobą, kiedy będziemy oglądali mieszkanie.

- Tak. - Pomysł wydawał się całkiem rozsądny. - Świetna myśl.

Uśmiechnął się zachęcająco do narzeczonej, Selina odpowiedziała tym samym.

- Cóż, w takim razie: do zobaczenia.

Nigdy nie całował jej na ulicy.

- Do zobaczenia, Rodney. Dziękuję za lunch. I za prezent - nie zapomniała dodać.

Lekceważącym gestem dał do zrozumienia, że posiłek i książka to drobiazg. Posłał jej pożegnalny uśmiech i odszedł, postukując parasolem niczym laseczką. Zgrabnie, z wprawą wymijał przechodniów na ulicy. Selina czekała, w nadziei że może Rodney się obróci i pomacha jej ręką, ale nic takiego nie nastąpiło.

Pozostawiona sobie samej, westchnęła. Dzień był wyjątkowo ciepły. Chmury się rozproszyły i dziewczyna nie mogła znieść myśli, że miałyby siedzieć w dusznym sklepie, wybierając zašony do salonu. Przespacerowała się Piccadilly, w pewnym momencie przeszła na drugą stronę, ryzykując utratę życia i zdrowia, i skierowała się do parku. Drzewa były przešliczne, trawa młoda, zielona, a nie bura i zdeptana po zimie. Kiedy Selina szła trawnikiem, unosił się znad niego zapach świeżości, ciepła, przywodzący na myśl letnią łąkę. Wokół rozciągały się barwne kobierce zło-

cistych i fioletowych krokusów, pod drzewami stały ogrodowe krzesła.

Selina usiadła na jednym z nich, ułożyła się wygodnie z wyciągniętymi nogami, twarz wystawiła do słońca. Po chwili ciepłe promienie tak ją rozgrzały, że zrzuciła żakiet, podwinęła rękawy swetra i pomyślała: „Nic się nie stanie, jeśli do Woollanda pójde jutro rano”.

Obok na rowerku trójkołowym przejechała dziewczynka. Przy niej biegł ojciec i piesek. Dziecko miało na sobie czerwone rajstopy, niebieską sukienkę i czarną opaskę we włosach. Ojciec był dość młody, ubrany w sweter z kołnierzykiem polo i tweedową marynarkę. Kiedy dziewczynka zsiadła z roweru i pobiegła na trawnik wachać krokusy, nie zatrzymał jej, tylko stał, trzymając rowerek i przyglądając się z uśmiechem pochylonej córeczce i wypiętemu czerwonemu tyłczkowi.

- One nie pachną - oznajmiło dziecko.
- Sam mogłem ci to powiedzieć - odparł ojciec.
- A dlaczego nie pachną?
- Nie mam pojęcia.
- Myślałam, że wszystkie kwiatki pachną.
- Większość pachnie. No, jedziemy dalej.
- Mogę je sobie zerwać?
- Odradzałbym.
- A dlaczego?
- Bo panowie, którzy pilnują parku, bardzo tego nie lubią.
- A dlaczego?
- Takie są przepisy.
- A dlaczego?
- Cóż, inni też lubią patrzeć na kwiatki. No, jedziemy.

Dziewczynka wróciła do ojca, wdrapała się na siodełko i pedałowiała dalej. Ojciec szedł za nią.

Selina przyglądała się tej krótkiej scenie z przyjemnością zmieszaną z odrobiną zazdrości. Całe życie przysłuchiwała się rodzinnym rozmowom obcych dzieci i ich rodziców. Ich wzajemne odniesienia często stanowiły źródło jej nie koń-

czących się domysłów. Kiedy była mała, Agnes, niania, zabierała ją do parku, kręciła się nieśmiało obok innych dzieci, przyglądając się ich zabawom, marząc, by ją do nich zaproszono. Brakowało jej odwagi, by samej o to poprosić. Bardzo rzadko zdarzało się, że dzieci wciągały ją do zabawy. Była za ładnie ubrana, a Agnes, która siedziała na ławce w pobliżu i dziergała robótkę, miała bardzo groźną minę. Jeśli uznała, że Selinie grozi niebezpieczeństwo kontaktu z dziećmi, które starsza pani Bruce uważałaby za nieodpowiednie towarzystwo dla wnuczki, związała kłębek, wbijała w niego druty i oświadczała, że pora wracać na Queen's Gate.

Tam mieściło się kobiece gospodarstwo, niewielki świątek rządzony przez panią Bruce. Żyły w nim Agnes, niegdyś pokojówka pani Bruce, pani Hopkins, kucharka, i Selina - posłuszne poddane. Mężczyźni pojawiali się w nim rzadko i było ich zaledwie dwóch: pan Arthurstone, prawnik babki, a ostatnio Rodney Ackland, reprezentujący pana Arthurstone'a. Jeśli zjawił się ktoś inny - majster do naprawienia rury, malarz pokojowy albo inkasent - Selina nieodmiennie dopadała go i zasypywała gradem pytań. Czy jest żonaty? Czy ma dzieci? Jak się nazywają? Gdzie spędzają wakacje? Agnes zawsze się wtedy na Selinę gniewała.

- A co by babcia na to powiedziała, gdyby zobaczyła, że przeszkadzasz panu pracować?

- Nie przeszkadzałam. - Selina potrafiła być uparta.

- O czym można z kimś takim w ogóle rozmawiać?

Selina nie miała na to odpowiedzi, bo sama nie rozumiała, dlaczego to takie ważne. Ale nikt nie chciał z nią rozmawiać o ojcu. Jego imienia nigdy nie wspominano. Selina nie wiedziała nawet, jak się nazywał, bo pani Bruce była matką jej matki i Selina nosiła to samo nazwisko.

Pewnego razu, ostatecznie wzburzona, spytała wprost:

- Chcę się dowiedzieć, gdzie jest mój ojciec! Dlaczego nie mam taty? Wszyscy inni mają, tylko nie ja.

Wtedy chłodno, choć nie bez współczucia, poinformowano ją, że ojciec nie żyje.

Selina regularnie uczęszczała do szkółki niedzielnej.

- To znaczy, że jest w niebie?

Pani Bruce bawiła się jakąś nieposłuszną nitką, która wyszła z wełnianej materii. Trudno jej było się pogodzić z wizją, że *ten człowiek* miałby śpiewać z chórami anielskimi, ale była również zdyscyplinowaną członkinią Kościoła, a dziecka nie powinno się odzierać ze złudzeń.

- Tak - odparła.

- Co mu się stało?

- Poległ na wojnie.

- Jak to poległ? Jak poległ? - Dla Seliny szczytem okropności była śmierć pod kołami autobusu.

- Same nie wiemy, Selino. Nie możemy ci odpowiedzieć na to pytanie. A teraz... - Pani Bruce zerknęła na zegarek z miną, która wyraźnie świadczyła o tym, że uważa temat za zamknięty. - Pójdź do Agnes i powiedz, że najwyższa pora na spacer.

Agnes, jeśli się ją dobrze podeszło, stanowiła nieco lepsze źródło informacji.

- Agnes, mój ojciec nie żyje.

- Tak - odparła niania - wiem.

- A od kiedy nie żyje?

- Od wojny. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.

- Widział mnie choć raz?

- Nie. Zginął przed twoim urodzeniem.

To brzmiało zniechęcająco.

- A ty go widziałaś, Agnes?

- Tak - przyznała niechętnie Agnes. - Kiedy był zaręczony z twoją mamą.

- Jak się nazywał?

- Tego już nie mogę ci powiedzieć. Obiecałam twojej babce. Nie chce, żebyś wiedziała.

- No, a był miły? Przystojny? Lubiłaś go?

I Agnes, również bardzo uczciwa, odpowiedziała na to pytanie, na które nie musiała skłamać.

- Tak, był bardzo przystojny. Już dość tych pytań, Seli-

no. Chodźmy szybciej i nie szoruj nogami po ziemi, Selino, zedrzesz sobie czubki nowych pantofelków.

- Chciałabym mieć ojca - stwierdziła Selina i tego samego popołudnia ponad pół godziny spędziła przyglądając się ojcu i synowi, którzy puszczaali statek na stawie, i przysuwając się krok za kroczkiem, w nadziei że usłyszy ich rozmowę.

Fotografię znalazła, kiedy miała piętnaście lat. Była ponura, mokra, londyńska środa. Selina się nudziła, nie wiedziała, co ze sobą począć. Agnes miała wychodne, pani Hopkins pograżona w lekturze „People's Friend” siedziała w fotelu z obolałymi nogami opartymi na stołku. Babka przyjmowała gości - grali w brydża. Zza zamkniętych drzwi salonu dobiegał szmer głosów i zapach drogich cygar. Nic do roboty! Selina kręciła się po domu, wreszcie trafiła do pokoju gościnnego. Wyrzała przez okno, chwilę postroiła miny do potrójnego lustra, udając gwiazdę ekranu, i właśnie miała wyjść, kiedy w małej szafce między łózkami dostrzegła parę rzędów książek. Pomyślała, że może znajdzie tam coś, czego jeszcze nie czytała. Uklękła przed szafką i przeciągnęła palcem po grzbietach.

Palec zatrzymał się na pożółkłej okładce wojennego wydania „Rebeki”. Wyjęła książkę, otworzyła. Z gęsto zadrukowanej strony wypadło zdjęcie. Fotografia mężczyzny. Selina podniosła ją. Mężczyzna w mundurze. Bardzo ciemne włosy, dołek w brodzie, niesymetryczne brwi, ciemne oczy, w których mimo poważnej, godnej miny tańczył uśmiech. To był żołnierz w dobrze skrojonym, starannie zapiętym mundurze z błyszczącym pasem oficerskim.

W Selinie zaczęło się budzić rozkoszne podejrzenie. Gdzieś za tą ciemną rozbawioną twarzą dostrzegła znajome rysy. Podeszła z fotografią do lustra, szukając podobieństwa w układzie kości policzkowych, linii włosów, kwadratowej szczęce. Niewiele tego znalazła. On był bardzo przystojny,

a ona, Selina, zupełnie nijaka. Uszy przylegały mu gładko do czaszki, za to jej odstawały jak ucho dzbanka.

Obróciła zdjęcie. Z tyłu zobaczyła dedykację:

*Drogiej Harriet od G.*

i parę iksów oznaczających pocałunki.

Matka nosiła imię Harriet i dziewczynka zrozumiała, że trzyma w ręku fotografię ojca.

Nigdy nikomu o tym nie opowiedziała. Wsunęła „Rebekeę” z powrotem na półkę i zabrała zdjęcie. Już się z nim nie rozstawała, nosiła je wszędzie zawinięte w bibułkę, żeby się nie pogięło albo nie pobrudziło. Teraz już wiedziała, że ma jakieś korzenie, co prawda wątłe, ale zawsze. To jednak nie zaspokoiło jej potrzeb i nadał podglądała cudze rodziny i przysłuchiwała się rozmowom innych...

Z zamyślenia wyrwał ją dziecięcy głosik. Zasnęła na słońcu. Teraz, przebudzona, słyszała nieustanny ryk samochodów jadących Piccadilly Street, trąbienie klaksonów i wysoki, przenikliwy głos dziecka siedzącego w spacerówce. Dziewczynka na trójkołowym rowerku dawno zniknęła. Wokół pojawiły się inne grupki ludzi, jakaś zakochana para leżała objęta zaledwie kilka kroków do Seliny.

Drewniane oparcie leżaka uwierało ją w plecy. Poprawiła się, wtedy z kolan zsunęła jej się książka podarowana przez Rodneya i upadła na trawę. Selina schyliła się po nią i automatycznie zaczęła rozpakowywać. Obwoluta była lśniącobią, na niej widniał czerwony napis:

George Dyer  
FIESTA W CALA FUERTE

Kąciki ust Seliny smutno opadły. Książka wyglądała na rzecz ciężkiego kalibru. Dziewczyna przerzuciła kartki i zatrzasnęła okładkę, jakby już skończyła lekturę. Z zamkniętej książki leżącej na kolanach popatrzył na nią autor.

Ta twarz. Natychmiast przykuła jej uwagę. Nie pozowane zdjęcie, powiększone, żeby wypełnić przestrzeń na obwolucie. George Dyer. Miał na sobie białą koszulę rozpiętą pod szyją. Z koszulą kontrastowała ciemna opalenizna. Na twarzy mężczyzny widać było zmarszczki, które biegły od kącików oczu, rysowały głębokie bruzdy od nosa do ust, rzeźbiły ślad między ściągniętymi brwiami.

Ale to była ta twarz. Niewiele się zmienił. Dołek w brodzie pozostał ten sam. Zgrabne uszy przylegające do czaszki, błysk w oku, tak jakby jego i fotografującą go osobę łączyła jakaś psota.

George Dyer. Pisarz. Mężczyzna, który mieszkał na wyspie na Morzu Śródziemnym i pisał o jej mieszkańcach w taki wyważony sposób, tak roztropnie. To było jego nazwisko. George Dyer. Selina wzięła torebkę, wyjęła fotografię ojca i drżącą ręką przysunęła ją do zdjęcia na okładce.

George Dyer. I wydał książkę. I żył.

## *Rozdział drugi*

Wróciła taksówką na Queen's Gate, popędziła na górę i wpadła do mieszkania, wołając Agnes.

- Tu jestem, w kuchni! - odkrzyknęła niania.

Właśnie szykowała herbatę. Kiedy Selina pojawiła się w otwartych drzwiach, Agnes podniosła wzrok, nie przerywając sypania herbaty do czajniczka. Agnes była drobną, kruchą kobietką w nieokreślonym wieku. Nieco gorzki wyraz twarzy stanowił obronę przed nieszczęściami życia, Agnes bowiem posiadała najczulsze, najlepsze serce na świecie. Nie potrafiła nawet słuchać o okrucieństwach czy nieszczęściach, którym nie mogła zaradzić. „Biedni Algierczycy”, powiadała wkładając kapelusz, żeby pójść na pocztę i wysłać przekazem sumę, na którą zapewne nie było jej stać. A w czasie kampanii „Wyzwolić od głodu” przez siedem dni obywała się bez lunchu i bez skargi znosiła zmęczenie i kłopoty z trawieniem, których się po tym nabawiła.

Umowa najmu mieszkania na Queen's Gate została już rozwiązana. Kiedy Rodney i Selina pobiorą się i zamieszkają w nowym domu, Agnes przeprowadzi się do nich. Długo trwało, zanim się na to zgodziła. No, bo przecież Selina na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby stara niania plątała jej się pod nogami... Będzie chciała zupełnie sama gospodarować w swoim nowym mieszkaniu. Selinie udało się przekonać staruszkę, że nic takiego nawet jej nie przeszło przez myśl. Ale pozostaje pan Ackland, upierała się Agnes.

Wielkie nieba, przecież czułby się, jakby miał na głowie teściową! Poszturchiwany przez Selinę, Rodney wyperswadował to niani. Wtedy Agnes oświadczyła, że nie podoba jej się sam pomysł przeprowadzki. Jest za stara, żeby się przenieść. W odpowiedzi na to Rodney i Selina zabrali ją do nowego mieszkania. Tak jak przypuszczali, mieszkanie ją zachwycało. Jasne, przestronne, wygodnie urządzone, kuchnia zalana światłem słonecznym i niewielki salonik, przeznaczony tylko dla niej. Z widokiem na park i własnym telewizorem. W końcu, powtarzała uparcie, jeśli się do nich przeprowadzi, to po to, żeby pomóc. Będzie pracowała. No i lada chwila znowu zostanie nianią, będzie sprawować niepodzielne rządy w pokoju dzieciennym, wychowa kolejne pokolenie. Na samą myśl o tym budził się jej ukryty instynkt macierzyński.

- Wcześniej wróciłaś - odezwała się teraz. - Wydawało mi się, że mieliście wymierzyć podłogi.

Selina stała w drzwiach zaróżowiona od biegu po schodach. Niebieskie oczy lśniły z podniecenia. Agnes ściągnęła brwi.

- Coś się stało, kochanie?

Selina weszła do kuchni i położyła książkę na wyszorowanym stole.

- Widziałaś już kiedyś tego mężczyznę? - spytała, patrząc niani prosto w oczy.

Zaniepokojona Agnes wolno zwróciła wzrok na obwołaną książkę. Jej reakcja była bardziej niż zadowolająca. Gwałtownie zaczerpnęła tchu, upuściła łyżeczkę i opadła na pomalowane na niebiesko krzesło. Do pełni szczęścia brakowało, żeby chwyciła się za serce.

- Widziałaś? - powtórzyła Selina, pochylając się nad stołem.

- Och! - westchnęła Agnes. - Och, aleś mnie zaskoczyła! Selina nie ustępowała.

- Widziałaś go już kiedyś, prawda?

- Och, Selino... gdzie... Skąd się dowiedziałaś...? Kiedy się...

Nie była w stanie ułożyć logicznej całości ani dokończyć pytania.

Selina wzięła drugie krzesło i usiadła naprzeciwko niani.

- To mój ojciec, prawda?

Agnes wyglądała, jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem.

- Czy tak się nazywał? George Dyer? Czy tak właśnie brzmiało nazwisko mojego ojca?

Agnes wzięła się w garść.

- Nie - odparła. - Nie tak.

To zbiło Selinę z tropu.

- W takim razie jak?

- Nazywał się Gerry... Dawson.

- Gerry Dawson. G. D. Te same inicjały. Ta sama twarz. To jego pseudonim. Tak, to oczywiście, to jego pseudonim literacki.

- Ale, Selino... twój ojciec poległ na wojnie.

- Kiedy?

- Zaraz po inwazji aliantów na Normandię.

- A skąd wiadomo, że zginął? Czy mamy świadectwo naoczego świadka, który widział, jak rozszarpuje go bomba? Czy skonał w czyichś ramionach? Czy to pewne, że poległ?

Agnes zwilżyła wargi.

- Był na liście zaginionych. Uznany za zabitego.

Nadzieja ponownie ożyła w sercu Seliny.

- W takim razie nie możemy mieć pewności.

- Czekaliśmy trzy lata i wtedy uznano go za zabitego. Powiadomili twoją babkę, bo Harriet... Cóż, sama wiesz. Umarła, wydawszy cię na świat.

- Czy ojciec nie miał żadnej rodziny?

- Przynajmniej my nic o tym nie wiedziałyśmy. To był jeden z powodów, dla których twoja babka nie zgadzała się na ślub. Twierdziła, że to człowiek bez pochodzenia. Harriet poznała go na jakimś przyjęciu. Nigdy nie zostali sobie właściwie przedstawieni, tak jakby sobie tego życzyła twoja babka.

- Na miłość boską, Agnes, przecież była wojna! Od pięciu lat! Czyżby to umknęło uwagi babci?

- Cóż, może miała swoje zasady i reguły, których się trzymała. Nie ma w tym nic złego.

- Nieważne. I matka się w nim zakochała.

- Po uszy.

- I pobrali się.

- Bez zgody pani Bruce.

- Ale wybaczyła Harriet?

- O, tak, ona nigdy nie pamiętała długo uraz. Zresztą wkrótce Harriet wróciła do domu. Bo musisz wiedzieć, że twój ojciec został wysłany... cóż, w tamtych czasach mówiono na to: „bliżej nieokreślone miejsce w Wielkiej Brytanii”. Ale naprawdę został wysłany do Francji... Trzeciego dnia po inwazji. Wkrótce potem zginął. I nigdy go już nie" widziałyśmy.

- Tak że byli małżeństwem...

- Trzy tygodnie. - Agnes przełknęła kulę, tkwiącą jej w gardle. - Ale mieli miodowy miesiąc i przez jakiś czas mieszkali razem.

- I moja matka zaszła w ciążę - dokończyła Selina.

Agnes wpatrywała się w nią w pełnym zdumienia milczeniu. Nie spodziewała się, że Selina może coś takiego powiedzieć na głos. Że w ogóle coś wie na ten temat.

- No... tak.

Twarz na obwołucie znowu przykuła uwagę niani. Poprawiła książkę, żeby leżała prosto, i wpatrywała się w łobuzerski błysk w ciemnych oczach mężczyzny. Brązowe, tak, były brązowe. Gerry Dawson. Czy to na pewno on? Z pewnością wyglądał jak Gerry Dawson, a przynajmniej tak jak dziś powinien wyglądać tamten chłopak, gdyby nie zginął tak wcześnie, tak młodo.

Wróciły uparte wspomnienia, nie wszystkie takie znowu okropne. Gerry Dawson dał Harriet radosny uśmiech, chęć do życia, o które Agnes nigdy by swojej podopiecznej nie podejrzewała. Z nią samą zaś flirtował na wesoło, a kiedy

nikt nie widział, wsuwał jej do ręki funta. Żaden powód do chluby, to jasne, co w niczym nie zmienia faktu, że ją to bawiło. Ta odrobina zabawy i śmiechu w czasach, kiedy życie stało się tak mało zabawne. Prawdziwy mężczyzna w tym domu kobiet. Tylko pani Bruce nie uległa jego czarowi.

- Nic niewarty lekkoduch - oświadczyła. - Widać z daleka. Kim jest? Czym jest? Wystarczy zabrać mu mundur i co zostanie? Przystojne zero. Za grosz poczucia odpowiedzialności. Nie myśli o przyszłości. Cóż taki może zaoferować Harriet?

Oczywiście w pewnym sensie przemawiała przez nią zażość. Lubiła dyrygować innymi, trzymać ich krótko i kontrolować ich zachowanie, ich pieniądze. Sama chciała znaleźć męża dla Harriet. Ale Gerry Dawson pod powłoką czarusa miał silną osobowość i upór równy zawziętości pani Bruce. I to on wygrał tę bitwę.

Potem, po jego śmierci, kiedy Harriet, straciwszy chęć do życia, także umarła, pani Bruce oświadczyła Agnes:

- Zmienię nazwisko małej z Dawson na Bruce. Rozmawiałam już na ten temat z panem Arthurstone'em. To chyba dość oczywiste.

Agnes była innego zdania, ale nigdy nie sprzeciwiała się pani Bruce.

- Tak, proszę pani - powiedziała.

- I, Agnes, wolałabym, żeby dziecko nie wiedziało nic o swoim ojcu. To by nie wyszło jej na dobre, czułaby się bardzo zagubiona. Ufam, Agnes, że mnie nie zawiedziesz.

Trzymała Selinę na kolanach. Uniosła wzrok i obie kobiety patrzyły sobie w oczy nad puszystą główką dziecka.

- Tak, proszę pani - powtórzyła Agnes po krótkiej chwili i została nagrodzona krótkim, chłodnym uśmiechem.

Pani Bruce podniosła Selinę i oddała Agnes.

- Czuję się teraz o wiele szczęśliwsza - stwierdziła. - Dziękuję,, Agnes.

- Uważasz, że to mój ojciec, prawda? - spytała Selina.
- Nie mogę tego twierdzić z całą pewnością, Selino, i to jest prawda.
- Dlaczego nigdy nie chciałaś powiedzieć, jak się nazywała?
- Obiecałam twojej babce, że tego nie zrobię. A teraz złamałam obietnicę.
- Nie miałaś wyboru.
- Nagle Agnes uderzyła pewna myśl.
- A skąd wiedziałaś, jak on wygląda?
- Znalazłam jego zdjęcie, wieki temu. Nigdy wam się do tego nie przyznałam.
- Nie... nie zamierzasz chyba nic robić w tej... tej sprawie. Głos Agnes zadrżał na samą myśl o tym.
- Mogłabym go odnaleźć - odparła Selina.
- I co by ci z tego przyszło? Nawet gdyby się okazało, że to rzeczywiście twój ojciec?
- Wiem, że to mój ojciec. Po prostu wiem. Wszystko na to wskazuje. Wszystko, co mi powiedziałaś. Wszystko, co mówiłaś...
- Skoro tak, to dlaczego po wojnie nie wrócił do Harriet?
- Skąd możemy wiedzieć? Może był ranny, stracił pamięć. Takie rzeczy się zdarzają.
- Agnes milczała.
- Może babka była dla niego okropna...
- Nie - odezwała się Agnes. - To nie zrobiłoby na nim żadnego wrażenia. Nie na panu Dawsonie.
- Na pewno chciałyby się dowiedzieć, że ma córkę. Że ma mnie. A ja chciałabym się dowiedzieć czegoś o nim. Jak wygląda, jak mówi, co myśli, co robi. Chcę czuć, że do kogoś należę. Ty nie rozumiesz, co to znaczy, kiedy człowiek do nikogo nie należy.
- Ale Agnes rozumiała, bo zawsze wiedziała, jak bardzo Selina pragnęła posiadać ojca, znała jej głód. Zawahała

się, po czym wysunęła jedyną propozycję, jaką potrafiła wymyślić.

- A może byś to omówiła z panem Acklandem?

\* \* \*

Biuro wydawcy mieściło się na najwyższym piętrze. Zadyyszana Selina dotarła tam po nieskończonej długiej podróży maleńką, trzęsącą się windą, wędrownice po stromych schodach, wąskich korytarzach i kolejnych schodach. Kiedy już miała wrażenie, że zaraz trafi prosto na dach, stanęła przed drzwiami z napisem: „A. G. Rutland”.

Zapukała. Nie usłyszała wezwania, jedynie stukot maszyny do pisania. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Dziewczyna, która pisała na maszynie, zerknęła na nią, przerwała stukanie i spytała:

- Pani do kogo?

- Chciałam się widzieć z panem Rutlandem.

- Jest pani umówiona?

- Dzwoniłam dziś rano. Nazywam się Bruce. Pan Rutland powiedział, że mogę przyjść koło wpół do jedenastej.

Spojrzała na zegarek. Wskazywał dwadzieścia po dziesiątej.

- W tym momencie ma gościa - odparła maszynistka. - Niech pani usiadzie i poczeka.

Wróciła do pisania. Selina weszła, zamknęła za sobą drzwi i usiadła na małym, twardym krześle. Z drugiego pomieszczenia dobiegał przytłumiony szmer męskich głosów. Mniej więcej po dwudziestu minutach głosy się ożywiły, słychać było szuranie odsuwanego krzesła i kroki. Drzwi gabinetu otworzyły się, wyszedł z nich mężczyzna, który wkładał płaszcz, rozsypując równocześnie plik kartek.

- Och, ależ ze mnie niezgraba... - Schylił się i zebrał kartki. - Dziękuję za wszystko, panie Rutland...

- Drobiazg. Niech pan wróci, kiedy wymyśli pan jakąś lepszą fabułę.

- Tak, oczywiście.

Pożegnali się. Wydawca już-już zniknął w gabinecie, zmuszając w ten sposób Selinę do działania. Wstała. Obejrzał się i zobaczył dziewczynę.

- Pani do mnie?

Był starszy, niż oczekiwała, zupełnie łysy. Na nosie miał okulary konferencyjne, przez które można spoglądać przez szkła i ponad nimi. Teraz patrzył nad szklami, mierząc Selinę belferskim spojrzeniem.

- Z-zdaje się, że byłam z panem umówiona.

- Doprawdy?

- Tak. Nazywam się Selina Bruce. Dzwoniłam dziś rano.

- Jestem ogromnie zajęty...

- Zajmę panu najwyżej pięć minut.

- Jest pani pisarką?

- Nie, nie, przyszłam do pana w zupełnie innej sprawie. Po prostu chciałam, żeby pomógł mi pan znaleźć... odpowiedź na kilka pytań.

Westchnął.

- No, dobrze, proszę.

Odsunął się, wpuszczając Selinę do gabinetu. Na jaskrawoczerwonej wykładzinie stało zaśmiecone biurko i półki, mnóstwo półek z książkami, a wszędzie - na biurku, krzesłach, nawet podłodze - piętrzyły się sterty książek i manuskryptów.

Nie przeprosił za bałagan. Najwyraźniej nie widział konieczności... I rzeczywiście nie było takiej potrzeby. Przysunął krzesło dla dziewczyny, sam usiadł za biurkiem. Nie zdążył się jeszcze usadowić, kiedy zaczęła przedstawiać swoją sprawę.

- Bardzo przepraszam, że zabieram panu czas. Postaram się załatwić moją sprawę jak najszybciej. Chodzi mi o książkę wydaną przez pana. „Fiesta w Cala Fuerte”.

- A, tak. George Dyer.

- Tak. Czy... Czy pan coś o nim wie?

Wyrzuciła z siebie pytanie i czekała. Pan Rutland milczał i mierzył ją obojętnym wejrzeniem znad okularów.

- Dlaczego? - odezwał się w końcu. - Czy pani go zna?

- Tak. A przynajmniej tak mi się wydaje. Był... Był przyjaciелеm mojej babki. Umarła sześć tygodni temu i chciałam... chciałam go o tym powiadomić.

- Może pani napisać do niego na adres wydawnictwa, a ja prześlę pani list dalej.

Selina głęboko zaczerpnęła tchu i przystąpiła do ataku z innej flanki.

- Dużo pan o nim wie?

- Zapewne tyle samo co pani. Rozumiem, że czytała pani książkę.

- To znaczy... To znaczy, że pan nigdy go nie widział osobiście?

- Nie - odparł pan Rutland. - Nie widziałem. Mieszka w Cala Fuerte koło San Antonio na Balearach. Zdaje się, że żyje tam od jakichś sześciu, siedmiu lat.

- I ani razu nie pojawił się w Londynie? Nawet kiedy wyszła książka?

Pan Rutland pokręcił głową. W łysej czaszce odbiło się słońce, które zaglądało przez okno.

- Nie wie pan..., nie wie pan, czy jest żonaty?

- Wtedy nie był. Teraz już może i jest.

- A ile ma lat?

- Nie mam pojęcia, ile lat może sobie liczyć. - W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Droga pani, mój czas jest cenny.

- Wiem. Przepraszam. Po prostu pomyślałam sobie, że mógłby mi pan pomóc. Sądziłam, że jest jakaś szansa, że może akurat być w Londynie i mogłabym się z nim spotkać.

- Nie, obawiam się, że nie.

Pan Rutland podniósł się zza biurka, wyraźnie dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za skończoną. Selina też wstała. Wydawca podszedł do drzwi i otworzył je.

- Ale jeśli chce się pani z nim skontaktować, bardzo chętnie prześlemy wszelką korespondencję zaadresowaną do pana Dyera.

- Przepraszam, że zabrałam panu czas. Dziękuję.
- Nie ma za co. Do widzenia pani.
- Do widzenia.

Ale kiedy wyszła z gabinetu i przechodziła przez biuro, wyglądała na tak załamana, że serce pana Rutlanda, wbrew jego woli, zmiękło. Zdjął okulary i zawołał:

- Panno Bruce!

Selina obejrzała się.

- Wszystkie listy wysyłamy na adres Jachtklubu w San Antonio, ale jego dom nazywa się Casa Barco, mieści się w Cala Fuerte. Zaoszczędziłaby pani czas, gdyby napisała pani do niego bezpośrednio. A gdyby już pani pisała, proszę mu przypomnieć, że nadal czekam na konspekt drugiej książki. Wysłałem do niego z tuzin listów, ale zdaje się, że ma wrodzoną awersję do odpisywania.

Selina uśmiechnęła się i wydawca był zaskoczony, jak bardzo ten uśmiech odmienił twarz dziewczyny.

- Och, bardzo dziękuję - powiedziała. - Jestem panu ogromnie wdzięczna.
- Drobiazg - zapewnił pan Rutland.

\* \* \*

Puste mieszkanie niezbyt się nadawało do rozmowy na tak zasadnicze tematy, ale Selina nie miała wyboru. Przerwała w pół słowa rozważania Rodneya nad wadami i zaletami gładkich bądź wzorzystych wykładzin.

- Rodney, muszę się ciebie poradzić.

Popatrzył na nią lekko rozdrażniony. Już w czasie lunchu i jazdy taksówką podejrzewał, że z Selina coś jest nie w porządku. Prawie nie tknęła jedzenia, wyglądała, jakby coś ją gnębiło i nie dawało spokoju. Co więcej, miała na sobie spódnice, która nie pasowała do jasnego płaszcza i bluzki, a w dodatku Rodney wypatrzył oczko lecące na łydce. Zwykle Selina była zorganizowana i dobrze ułożona jak syjamska kotka, tak że te drobiazgi świadczące o jej złym stanie bardzo go zaniepokoiły.

- Coś się stało? - spytał.

Selina próbowała spojrzeć mu w oczy, zaczerpnąć głęboko tchu i być całkowicie opanowana, ale serce waliło jej jak młotem, a żołądek kurczył się, jakby właśnie mknęła w górę szybką windą, zostawiwszy część wnętrzości na najniższym piętrze.

- Nie, nic się nie stało. Po prostu muszę z tobą porozmawiać.

Zmarszczył brwi.

- Czy to nie może poczekać do wieczora? To jedyna okazja, żeby wymierzyć po...

- Och, Rodney, proszę, wysłuchaj mnie.

Zawahał się, po czym ze zrezygnowaną miną złożył katalog z próbkami wykładzin i schował go do kieszeni.

- A więc? Słucham.

Seiina zwilżyła wargi. Puste mieszkanie odbierało jej odwagę. Głosy odbijały się echem, nie było mebli, żadnego drobiazgu, który można by obracać w palcach, żadnej poduszki, którą można by miętosić. Seiina miała wrażenie, że znalazła się na ogromnej, pustej scenie, bez dekoracji, bez suflera, i zapomniała swojej roli.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Chodzi o mojego ojca.

Wyraz twarzy Rodneya prawie się nie zmienił. Był dobrym prawnikiem, chętnie grywał w pokera. Znał historię Gerry'ego Dawsona, bowiem pani Bruce i pan Arthurstone już dawno temu uznali za konieczne wtajemniczenie go w tę rodzinną opowieść. Wiedział też, że Seiina nic nie wie o swoim ojcu. A także, że to nie on jej o tym opowie.

- To znaczy o co? - spytał wyrozumiale.

- Cóż... Wydaje mi się, że on żyje.

Rodney z ulgą wyciągnął ręce z kieszeni i parsknął krótkim, niedowierzającym śmiechem.

- Selino...

- Nie, nie mów tego. Nie mów, że on nie żyje. Tylko posłuchaj przez chwilkę. Pamiętasz tę książkę, którą wczoraj

mi podarowałaś? „Fiesta w Cala Fuerte”. Z tyłu jest zdjęcie autora, George'a Dyera. Widziałeś?

Rodney skinął głową.

- A więc... Chodzi o to... On wygląda dokładnie tak samo jak mój ojciec.

Rodney przetrawił tę informację i spytał:

- Skąd wiesz, jak wyglądał twój ojciec?

- Wiem, bo dawno temu znalazłam jego zdjęcie. I moim zdaniem to ta sama osoba.

- Uważasz, że George Dyer to... - W ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Gerry Dawson - triumfalnie dokończyła za niego Selina. Rodney miał wrażenie, że świat się zakołysał.

- A skąd znasz jego nazwisko? Miałaś nigdy się nie dowiedzieć, jak się nazywał.

- Agnes powiedziała mi wczoraj.

- Ale Agnes nie miała prawa...

- Och, Rodney, postaraj się zrozumieć! Nie możesz jej winić. Nie spodziewała się mojego ataku. Po prostu podsunęłam jej prosto przed nos zdjęcie z podobizną George'a Dyera. Omal nie zemdląca.

- Selino, chyba zdajesz sobie sprawę, że twój ojciec naprawdę nie żyje.

- Ależ, Rodney, nie rozumiesz, że on zaginął? Zaginął, uznano go za zabitego. Wszystko się mogło zdarzyć.

- W takim razie, czemu nie wrócił po wojnie?

- Może chorował? Może stracił pamięć? Może się dowiedział, że moja matka nie żyje?

- I co robił przez te wszystkie lata?

- Nie wiem. Przez ostatnie sześć mieszkał na wyspie.

Uświadomiła sobie, że Rodney spyta zaraz, gdzie się tego dowiedziała, więc dodała szybko:

- Można się tego dowiedzieć z książki.

Nie chciała, by odkrył, że zwróciła się do pana Rutlanda.

- Masz przy sobie fotografię ojca?

- Tej z książki nie.

- Nie tę miałem na myśli. Tę wcześniejszą.

Selina zawahała się lekko.

- Tak, mam.

- Pokaż mi.

- Ale... oddasz?

W głosie Rodneya zabrzmiała nutka zniecierpliwienia.

- Dziecino, za kogo ty mnie masz?

Natychmiast ogarnął ją wstyd, bo przecież Rodney nigdy by się nie splamił nikkzemnością. Przyniosła torebkę, wyjęła swą cenną pamiątkę i podała ją Rodneyowi. Podszedł z nią do okna, bliżej światła. Selina stanęła obok.

- Pewnie nie pamiętasz zdjęcia na obwolucie, ale to ta sama osoba, przysięgłabym. Wszystko się zgadza. Ten sam dołek w brodzie. I oczy... I te przylegające do czaszki uszy.

- Co powiedziała Agnes?

- Nie przyznała się głośno, ale jestem pewna, że jej zdaniem to mój ojciec.

Rodney nie odpowiedział. Kiedy ze ściągniętymi brwiami przyglądał się ciemnej, rozbawionej twarzy, stawiał czoło kilku troskom. Pierwsza, to prawdopodobieństwo utraty Seliny. Aż do bólu uczciwy Rodney nigdy nie łudził się, że ją kocha, ale, sam nie wiedział kiedy, stała się bardzo miłą częścią jego życia. Jej wygląd: te jedwabiste jasnokasztanowe włosy, delikatna cera, szafirowe oczy, wszystko to było czarujące i choć nie posiadała równie głębokich zainteresowań co on, okazywała rozbijającą gotowość do nauki.

Do tego dochodziła kwestia jej interesów. Po śmierci babki Selina stała się dość zamożną dziewczyną, dojrzałym owocem - jeśli to można tak określić - który łatwo wpadłby w ręce jakiegoś pozbawionego skrupułów mężczyzny. Obecnie Rodney wraz z panem Arthurstone'em zgodnie i jedno-myślnie zarządzali jej majątkiem. Za pół roku Selina skończy dwadzieścia jeden lat i potem wszelkie decyzje będą należały wyłącznie do niej. Rodneyowi robiło się zimno na samą myśl, że kontrola nad tymi pieniędzmi miałyby mu się wymknąć z rąk.

Obejrzał się lekko przez ramię i napotkał spojrzenie Senny. Nigdy jeszcze nie widział, żeby dziewczyna miała niebieskawe białka. Jak w reklamówkach proszków z detergentami. Pachniała lekko czymś, co przywodziło na myśl świeże cytryny... werbena. Wydawało mu się, że słyszy głos pani Bruce i jej niektóre kąśliwe uwagi pod adresem Gerry'ego Dawsona. Pozbawiony ambicji - to określenie najbardziej utkwiło Rodneyowi w pamięci. Po chwili przypomniał sobie inne epitety: nieodpowiedzialny, niegodny zaufania, bez zasobów finansowych.

Trzymał fotografię za rożek i postukiwał nią o wnętrze lewej dłoni. Wreszcie odezwał się ze śladem rozdrażnienia w głosie. Musiał kogoś oskarżyć o to, że znalazł się w takiej sytuacji.

- Oczywiście, to wszystko wina twojej babki. Nigdy nie powinna była robić takiej tajemnicy z tego, kim był twój ojciec. Ta zмова milczenia, to, że nie znałaś nawet jego imienia... Idiotyczna decyzja.

- Dlaczego? - spytała zaciekawiona Selina.

- Bo przez to zaczęłaś mieć obsesję na jego punkcie! - rzucił jej w twarz Rodney.

Selina wpatrywała się w niego. Widać było, jak zraniło ją to zdanie. Usta miała lekko rozchylone, jak u zaskoczonego dziecka.

- Masz obsesję na punkcie ojców, rodziny i w ogóle życia rodzinnego - ciągnął bezlitośnie Rodney. - Fakt, że znalazłaś fotografię i trzymałaś ją w ukryciu, to klasyczny objaw.

- Mówisz o tym, jakby to była odra.

- Próbuję tylko ci uświadomić, że masz kompleks swego zmarłego ojca.

- A może on żyje? - odparowała Selina. - A nawet jeśli mam taki kompleks, to sam przed chwilą przyznałeś, że nie z mojej winy. Zresztą co w tym złego? To nie są krosty ani zez. Nikt nie zobaczy.

- Sełino, to wcale nie jest śmieszne.

- Mnie też to się nie wydaje śmieszne.

Wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami, w których - jak sobie uświadomił Rodney - płonęła złość. Kłócili się. Nigdy jeszcze się nie pokłócili, a to z pewnością nie jest odpowiednia chwila, by zacząć.

- Kochanie, przepraszam - pokajał się szybko, schylając się, żeby pocałować Seline w usta, ale odwróciła głowę i pocałunek wylądował na policzku. - Nie rozumiesz, że chodzi mi tylko o ciebie? Nie chcę, żebyś nabijała sobie głowę jakimś facetem, leciała za nim na drugi koniec świata po to tylko, żeby się przekonać, że popełniłaś straszliwy błąd.

- Założmy jednak - nie ustępowała Selina - założmy, że to rzeczywiście mój ojciec. Który żyje i mieszka w Hiszpanii, na Balearach, w San Antonio. Pisze książki, pływa na małej żaglówce, przyjaźni się z krajowcami. Przecież byś chciała, żebym go poznała, prawda? Chciałbyś mieć teścia z prawdziwego zdarzenia?

To właśnie była ostatnia rzecz, jakiej Rodney by sobie życzył.

- Nie możemy myśleć wyłącznie o sobie - powiedział łagodnie. - Musimy też pomyśleć o nim, o George'u Dyerze, niezależnie od tego, czy jest twoim ojcem, czy też nie.

- Nie rozumiem.

- Teraz, po tych wszystkich latach ułożył sobie jakoś życie. Sam je sobie wybrał, takie właśnie chciał wieść. Gdyby zamierzał założyć rodzinę, mieć żonę, synów i... i córki... zrobiliby to już dawno...

- To znaczy, że twoim zdaniem by mnie nie chciał? Nie życzyliby sobie, żebym tam pojechała i go odnalazła?

Rodney był zszokowany.

- Chyba nie zamierzasz zrobić czegoś takiego?

- To dla mnie takie ważne. Moglibyśmy polecieć do San Antonio.

- My?

- Chciałabym, żebyś mi towarzyszył. Proszę.

- Wykluczone. A zresztą muszę jechać do Bournemouth, już ci mówiłem, i nie będzie mnie jakieś cztery, pięć dni.

- Czy pani Westman nie może poczekać?
- Oczywiście, że nie.
- Tak bardzo bym chciała, żebyś był ze mną. Pomóż mi, Rodney.

Rodney opacznie zrozumiał tę prośbę. Sądził, że mówiąc: „pomóż mi”, Selina miała na myśli kwestie praktyczne. Pomóż mi kupić bilet lotniczy, wsiąść do właściwego samolotu, przebrnąć przez odprawę celną, znaleźć taksówkę i tragarzy. Nigdy jeszcze nie podróżowała samotnie i Rodney żył w błogim przekonaniu, że nigdy nie będzie miała ochoty spróbować.

Rozprawił się z jej prośbą czarująco. Uśmiechnął się i ujął Selinę za rękę.

- Ale po co ten pośpiech? Cierpliwości. Rozumiem, że to musi być dla ciebie ogromnie podniecające: nagle uwierzyć, że ojciec żyje. Zdaję sobie także sprawę, że w twoim życiu istniała swego rodzaju próżnia. Miałem nadzieję, że uda mi się ją zapełnić.

Mówił jak człowiek szlachetny.

- Nie w tym rzecz, Rodney... - odparła Selina.
- Zrozum, przecież my nic nie wiemy o tym George'u Dyerze. Może powinniśmy najpierw zrobić dyskretny wywiad, zanim podejmiemy kroki, których moglibyśmy później żałować?

Przemawiał niczym członek rodziny królewskiej.

- Przyszłam na świat już po tym, kiedy uznano go za zaginionego. Nawet nie wie o moim istnieniu.

- No właśnie! - Rodney zaryzykował uderzenie w mocniejszą strunę. - Wiesz, Selino, jest takie stare przysłowie: nie budź licha, póki śpi.

- Nie uważam go za lichy. Po prostu myślę sobie, że może on żyje i że jest tym, kogo w życiu najbardziej pragnęłam. Zawsze. Nade wszystko.

Rodney nie wiedział, czy ma czuć się dotknięty, czy rozgniewany.

- Mówisz jak dziecko.

- Ze mną jest tak samo jak z groszem. Grosz ma dwie strony. Orła i reszkę. Ja też mam dwie strony. Stronę Bruce'ów i Dawsonów. Selina Dawson. Tak naprawdę brzmi moje nazwisko. Oto, kim naprawdę jestem.

Uśmiechnęła się do Rodneya, a on, mimo całego zmieszania, pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział u niej takiego uśmiechu.

- Czy kochasz Seline Dawson równie mocno jak Seline Bruce?

Nadal ścisnął w palcach fotografię jej ojca. Wyjęła mu ją z ręki i poszła schować do torebki.

- Tak, oczywiście, że tak - odparł Rodney, zaledwie o ułamek sekundy za późno wchodząc ze swoją kwestią.

Selina zamknęła torebkę i odłożyła ją na miejsce.

- Dobrze - powiedziała, strzepując przód spódnicy, jakby się szykowała do recytacji wiersza. - Czy nie pora już, byśmy się zajęli wymierzeniem podłogi?

# *Rozdział trzeci*

Na lotnisku w Barcelonie, nad którym zaświeciły blade promienie wschodzącego słońca, stały kałuże wody po niedawnej burzy, która goniła samolot przez Pireneje. Wiał silny wiatr od gór, od wszystkich pracowników lotniska pachniało czosnkiem,, a w hali głównej na ławkach i siedzeniach kulili się, owinięci w płaszcze i koce, zmęczeni wielogodzinnym oczekiwaniem pasażerowie z podpućniętymi oczami i jednodniowym zarostem. To była zła noc. Loty z Rzymu i Palma de Mallorca zostały odwołane. Loty z Madrytu opóźnione.

Selina, która jeszcze nie przysłała do siebie po emocjach lotu, przechodząc przez wahadłowe szklane drzwi, zastanawiała się, co dalej. Miała bilet do San Antonio, ale musiała załatwić drugą kartę pokładową. Za kontuarem jakiś zmęczony urzędnik ważył bagaże, podeszła więc i cierpliwie czekała, aż zwróci na nią uwagę. Po chwili podniósł wzrok.

- Czy mówi pan po angielsku? - spytała.
- *Si-* padła odpowiedź.
- Mam bilet do San Antonio.

Bez słowa wyciągnął po niego rękę, wyrwał odpowiednią stronę, wypisał kartę pokładową i oddał bilet Selinie.

- Dziękuję. O której odlatuje samolot?
- O wpół do ósmej.
- A moje bagaże?

- Oznakowano je tak, że mają trafić do San Antonio.
- A odprawa?
- Odprawa celna będzie w San Antonio.
- Rozumiem. Bardzo panu dziękuję.

Ale jej wysiłki zmierzające do wywołania uśmiechu na twarzy urzędnika spełzły na niczym. Mężczyzna miał za sobą ciężką noc i nie był w nastroju do wymiany uprzejmości.

Usiadła na ławce. Ledwo się trzymała na nogach ze zmęczenia, ale zbyt się denerwowała, by zasnąć. Samolot wyleciał z Londynu o drugiej nad ranem. Wpatrywała się w mrok i powtarzała sobie energicznie, że ma robić wszystko metodą małych kroków. Najpierw Barcelona. Potem San Antonio. Odprawa celna i paszportowa. Formalności. Później taksówka. Powinna ją znaleźć bez trudu. I w końcu Cala Fuerte. Cala Fuerte nie będzie zbyt wielka. „Gdzie tu mieszka Anglik, George Dyer?” - spyta, a mieszkańcy wskażą jej drogę do Casa Barco. Tam go znajdzie.

Burza zaatakowała ich, kiedy przelatywali nad Pirenejami. Kapitan został ostrzeżony, obsługa zbudziła pasażerów, kazano im zapiąć pasy bezpieczeństwa. Samolot gwałtownie opadał, kołysał się, wznosił i znowu opadał. Niektórzy chorowali. Selina przymknęła oczy, siłą woli panując nad mdościami, ale i jej niewiele już brakowało.

Gdy wreszcie schodzili nad Barcelonę, zamigotała błyskawica, tańcząc na końcach skrzydeł. W końcu przedarli się przez chmury i znaleźli w strugach deszczu, a gdy zmagając się z silnym, porywistym wiatrem, wylądowali w Barcelonie, okazało się, że pas stoi cały w wodzie, a w kaulkach odbijają się światła lamp. Spod kół szorujących po ziemi wytrysnęły kaskady wody. A kiedy w końcu samolot dotoczył się na stanowisko i zgaszono silniki, z piersi wszystkich pasażerów wyrwało się głośne westchnienie ulgi.

Selina dziwnie się czuła ze świadomością, że na lotnisku nikt nie będzie na nią czekał. Powinien stać kierowca, szofer w uniformie, z gotowym, ogrzanym samochodem. Albo

Agnes z ciepłym szalem i kocami. Powinien znaleźć się ktoś, kto by się zatroszczył o bagaże, poradził sobie z urzędnikami. Ale nie było nikogo. To Hiszpania. Barcelona o szóstej rano pewnego marcowego poranka. I Selina pozostawiona sama sobie.

Kiedy wskazówki zegarka doczłapały do siódmej, Selina poszła do baru i zamówiła kawę. Zapłaciła pesetami, do których zabrania namówił ją przewidujący pracownik banku. Kawa nie była najlepsza, ale za to gorąca. Selina siedziała, pijąc i przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze nad barem. Miała na sobie brązową dżersejową sukienkę, płaszcz w kolorze owsianki i jedwabną chustkę, która właśnie zsunęła się jej z włosów. Zestaw podróżny, jak tego rodzaju ubiór określała pani Bruce. Pani Bruce posiadała wyrobioną opinię na temat odzieży podróżnej. Dżersej jest wygodny i się nie gniece, płaszcz powinien zasłaniać całe ubranie. Buty muszą być lekkie, ale na tyle mocne, żeby wytrzymały długie spacerunki po wietrznych lotniskach. Torbka pojemna i pakowna. Selina automatycznie - nawet w dramatycznych chwilach - poszła za tymi doskonałymi, niezmiennymi radami, które na nic się nie zdały. I tak wyglądała okropnie i ledwo żyła. Bała się latania, a ubiór doświadczonych podróżników nie czyni z człowieka globtrotera ani nie rozwiewa obaw, że albo się zginie w katastrofie lotniczej, albo zgubi paszport. Samolot do San Antonio wydał jej się malutki, wyglądał na równie mało godny zaufania jak dziecinna zabawka.

O, nie, myślała Selina, idąc do niego.

Wiatr dmuchał prosto w twarz oparami benzyny, woda z kałuż nalewała się do butów. Leciało tylko kilka osób, które wsiadły do samolotu z ponurymi minami, jakby podzielały zdanie dziewczyny. Kiedy Selina zapięła już pasy bezpieczeństwa, poczęstowano ją cukierkiem. Ssała go, jakby był nowym, cudownym środkiem leczniczym na wszech-

ogarniający strach. Nie był, ale samolot jednak się nie rozleciał.

Warunki atmosferyczne się nie poprawiły. San Antonio zobaczyli dopiero, kiedy znaleźli się nad lądem. Najpierw nie było nic tylko chmury, kłęby szarej bawełny za oknami. Potem deszcz i później, nieoczekiwanie, pojawiły się pola, dachy domów, młyn, kilka sosen i czerwonawa ziemia. Wszystko to lśniło w kroplach deszczu. Lotnisko było nowe, po pasach startowych niedawno przejechał buldożer - teraz zamieniły się w morze czerwonego błota. Kiedy już wylądowali, dwóch pracowników przysunęło do samolotu schody. Mieli na sobie żółte sztormiaki, nogi do kolan pochłapane błotem. Nagle dziwnym trafem wszystkim przestało się spieszyć do opuszczenia samolotu. A kiedy wreszcie wyszli, poruszali się ostrożnie, balansując między kałużami.

San Antonio pachniało sosnami. Mokrymi, wonnymi sosnami. Deszcz ustał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Było ciepło, wiała lekka, łagodna bryza. Na horyzoncie żadnych ośnieżonych gór tylko ciepłe morze. Tak więc znalazła się w San Antonio. Lot się skończył, a ona mimo wszystko jeszcze żyje. Selina zdjęła chustkę z głowy pozwalając, by wiatr potargał jej włosy.

Do odprawy paszportowej ustawiła się kolejka. Policjanci z Guardia Civil stali obok, jakby się spodziewali napływu kryminalistów. Byli uzbrojeni w karabiny, które bynajmniej nie pełniły wyłącznie funkcji ozdobnej. Urzędnik imigracyjny pracował bez pośpiechu. Równocześnie prowadził rozmowę z kolegą. Rozmowa była długa i skomplikowana, wyglądała na sprzeczkę, przerywał ją od czasu od czasu, żeby niespiesznie, strona po stronie, obejrzeć dokładnie każdy obcy paszport. Selina stała trzecia i czekała dziesięć minut, zanim wreszcie urzędnik wbił jej do paszportu pieczętkę „ENTRADA” i oddał dokument.

- Mój bagaż...? - spytała nieśmiało.

Nie zrozumiał albo nie chciał zrozumieć i odprawił ją machnięciem ręki. Włożyła paszport do swej praktycznej to-

rebki i udała się na samodzielne poszukiwanie walizki. Jak na tak niewielki port lotniczy, San Antonio wydawało się wyjątkowo ożywione, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wczesną porę. Ale o wpół do dziesiątej barceñoński samolot wracał do Hiszpanii i lot ten cieszył się ogromną popularnością. Rodziny się gromadziły, dzieci płakały, matki krzyczały na nie, żeby się uspokoiły. Ojcowie sprzeczhali się z tragarzami, stali w kolejkach po bilety i karty pokładowe. Kochankowie trzymali się za ręce, czekając na właściwą chwilę, by się pożegnać, i stawali wszystkim na drodze. Hałas, jak panował w tym wysokim budynku, był ogłuszający.

- Przepraszam - powtarzała Selina, przedzierając się przez tłum. - Bardzo przepraszam... przepraszam...

Część jej współpasażerów już zgromadziła się pod znakiem z napisem *ADUANA* i Selina starała się do nich przyłączyć.

- Przepraszam.

Potknęła się o wypchany kosz i omal nie przewróciła głęstego dziecka w wydzierganym szydełkiem żółtym płaszczku.

- Bardzo państwa przepraszam, przepraszam.

Walizki już wyjeżdżały. Pracownik przynosił je do konduaru, sprawdzał nazwisko właściciela, a czasem i zawartość, wreszcie przekazywał celnikowi i oddawał pasażerowi.

Walizka Seliny jakoś się nie pokazała. Była dość charakterystyczna: granatowa z białym paskiem, łatwo rzucała się w oczy. Selina odczekała cała wieczność, kiedy w końcu zdała sobie sprawę, że to już wszystkie bagaże, że pozostali towarzysze podróży się rozproszyli i została tylko ona.

Celnik, któremu do tej pory skutecznie udawało się ją ignorować, teraz podparł się pod boki i uniósł brwi.

- Moja walizka... - odezwała się Selina. - Jest...

- *No hablo Inglese.*

- Moja walizka... Mówi pan po angielsku?

Wysunął się drugi mężczyzna.

- On mówi, że nie.

- W takim razie może pan zna angielski?

Mężczyzna ostentacyjnie wzruszył ramionami, gestem, którym mówił, że przymuszony, urzędnik w ostateczności może wydusić z siebie słowo albo dwa.

- Moja walizka. Torba. - Z rozpaczy przeszła na francuski. - *Mon bagage*.

- Nie ma?

- Nie.

- Skąd lot? - Przeciągał artystycznie „a” i „o”. - Skąd looot?

- Z Barcelony. A wcześniej z Londynu.

- Och!

Z jego tonu należało się domyślać, że Selina przekazała mu wiadomość ogromnej wagi. Odwrócił się do kolegi i zaczęli trajkotac po hiszpańsku. Brzmiało to jak prywatna rozmowa. Selina zaczęła się zastanawiać, czy nie wymieniają rodzinnych ploteczek. Potem ten, który znał angielski, jeszcze raz wzruszył ramionami i odezwał się do Seliny.

- Dowiem się.

Zniknął. Selina czekała. Urzędnik dłubał w zębach. Gdzieś zawodziło dziecko. A już na domiar wszystkich nieszczęść z głośników buchnęła głośna muzyka, która kojarzyła się z strzelaniną.

Urzędnik wrócił, uśmiechając się, jakby właśnie wyświadczał Selinie prawdziwą przysługę.

- Pani walizka zginęła.

- Zginęła! - Okrzyk przypominał rozpaczliwy jęk.

- Wydaje nam się, że jest teraz w Madrycie.

- Madrycie! A cóż ona robi w Madrycie?

- Niestety, w Barcelonie wrzucono ją na niewłaściwy wózek. Tak nam się wydaje. O tej samej porze wylatuje też samolot do Madrytu. Pani walizka jest chyba w Madrycie.

- Ale była nalepka, że ma lecieć do San Antonio. Przyklejona w Londynie.

Na dźwięk nazwy stolicy Anglii celnik znowu dobył z siebie ponury jęk. Selina miała ochotę go zabić.

- Bardzo mi przykro - powiedział urzędnik. - Wyślemy wiadomość do Madrytu, żeby odesłali walizkę do San Antonio.

- Ile to potrwa?

- Nie twierdzą, że jest w Madrycie - oświadczył mężczyzna, za wszelką cenę postanawiając nie poddać się. - Musimy to sprawdzić.

- W takim razie ile czasu zajmie sprawdzanie?

- Nie wiem. Może trzy albo cztery godziny.

Trzy, cztery godziny! Rozpłakałaby się, gdyby nie to, że była wściekła.

- Nie mogę tyle czekać.

- No to może pani zajrzy później. Na przykład jutro, żeby sprawdzić, czy walizka już dotarła. Z Madrytu.

- A nie mogłabym zadzwonić? Zatelefonować do pana?

Najwyraźniej uznał to za świetny żart.

- *Señorita*, u nas jest bardzo mało telefonów - udzielił informacji wśród promiennych uśmiechów.

- W takim razie muszę przyjechać tu jutro, żeby się dowiedzieć, czy odnaleziono moją walizkę?

- Albo pojutrze - oświadczył steward z miną człowieka tryskającego doskonałymi pomysłami.

Selina spróbowała ostatni raz.

- Ale w tej walizce są wszystkie moje rzeczy.

- Przykro mi.

Stał, wpatrując się w nią z uśmiechem. Selina miała wrażenie, że grunt usuwa jej się spod nóg. Wodziła wzrokiem od jednej twarzy do drugiej i wreszcie uświadomiła sobie, że nikt jej nie pomoże. Nikt nie może jej pomóc.

- Czy znajdę gdzieś taksówkę? - spytała głosem, który tylko odrobinę drżał.

- Ależ oczywiście. Na zewnątrz. Mamy całe mnóstwo taksówek.

Okazało się, że „całe mnóstwo” oznacza cztery. Selina, której zaczynało być gorąco w praktycznym płaszczu podróżnym, udała się na ich poszukiwanie. Ledwie się pojawi-

ła, kierowcy zaczęli trąbić, wymachiwać, krzyzczeć: „*Señorital*”, wyskakiwali z samochodów, próbując zwrócić uwagę turystki właśnie na siebie i swój wóz.

- Czy któryś z was mówi po angielsku? - zapytała głośno.
- *Si. Si. Si.*
- Chcę jechać do Cala Fuerte.
- Cala Fuerte, *si.*
- Wiecie, gdzie jest Cala Fuerte?
- *Si. Si.* - zapewnili jak jeden mąż.
- Och, czy nikt tu nie mówi po angielsku?
- Owszem - odezwał się jakiś głos. - Ja.

Był to kierowca czwartej taksówki. Podczas gdy jego koledzy próbowali oczarować Seline, on czekał, ze stoickim spokojem kończąc papierosa. Teraz upuścił śmierzącego peta, zdeptał go i ruszył w stronę dziewczyny. Jego wygląd nie budził zaufania. Taksówkarz był zwalistym mężczyzną, bardzo wysokim i grubym. Miał na sobie niebieską koszulę rozpiętą pod szyją, spod której sterczały gęste, ciemne włoski. Spodnie trzymały się na starym, zniszczonym skórzanym pasku. Miał też słomkowy kapelusz zsunięty na tył głowy, z rodzaju tych, co to je kupują turyści. Mimo wczesnej pory i chmur na jego nosie tkwiły ciemne okulary. Cienki czarny wąsik kazał się domyślać, że wbrew pozorom mężczyzna ów posiada jakieś głęboko ukryte cechy Don Juana. Wyglądał tak okropnie, że Selina aż się cofnęła.

- Ja mówię po angielsku - powiedział z silnym, amerykańskim akcentem. - Pracuję w Hiszpanii, w amerykańskiej bazie lotniczej. Mówię po angielsku.

- Och. No cóż... - Niewątpliwie każdy z pozostałych trzech taksówkarzy budził większe zaufanie od tego prymitywa. Anglik, nie Anglik!

Nie zwrócił uwagi na jej wahanie.

- Dokąd chce pani jechać?
- Do... Cala Fuerte. Ale jestem pewna...
- Zawiozę panią. To będzie kosztować sześćset peset.
- Och. No cóż...

Z nadzieją popatrzyła na pozostałych taksówkarzy, ale oni już stracili zapał. Jeden wrócił nawet do wozu i czyścił szybę starą szmatą.

Selina znowu spojrzała na potężnego mężczyznę w słomkowym kapeluszu. Uśmiechał się, pokazując połamane zęby. Przełknęła ślinę.

- Zgoda - powiedziała. - Sześćset peset.
- Gdzie pani bagaże?
- Zniknęły. Moją walizkę zgubiono w Barcelonie.
- To niedobrze.

- Tak, wrzucono ją do niewłaściwego samolotu. Dowiedzą się, gdzie teraz jest, i dostanę ją jutro albo pojutrze. Ale muszę jechać do Cala Fuerte już teraz, więc...

Na twarzy potężnego taksówkarza malował się tak dziwny wyraz, że przerwała w pół słowa. Wpatrywał się w torebkę Seliny. Poszła za jego wzrokiem i stwierdziła, że rzeczywiście, wydarzyło się coś niezwykłego. Mimo że dwa mocne paski nadal wisiały na ramieniu, torebka była szeroko otwarta. Paski z przodu odcięto starannie jak brzytwą. A ze środka zniknął portfel!

Taksówkarz nazywał się Toni. Przedstawił się formalnie, po czym pełnił funkcję tłumacza w czasie długiego i nużącego przesłuchania u policjanta.

- Tak, *señorita* została okradziona. W tłumie na lotnisku dziś rano krążył złodziej z brzytwą. Ukradziono jej wszystko. Wszystko, co ze sobą miała.

- A paszport?
- Nie, paszportu nie. Ale wszystkie pieniądze, hiszpańskie i angielskie, czeki podróżne, powrotny bilet do Londynu.

Policjant starannie przejrzał wewnątrz torebki Seliny.

- Czy *señorita* nic nie poczuła?
- Absolutnie nic. - Jak mogła coś czuć, przepychając się przez tłum?

- Paski wyglądają na odcięte brzytwą.
- Zgadza się. Brzytwa. Złodziej z brzytwą.
- Jak *señorita* się nazywa?

- Panna Selina Bruce z Londynu, podróżująca z brytyjskim paszportem.

- A jaki jest adres panny Bruce w San Antonio?

- Mieszka...

Tu Selina się zawahała, ale wypadki poszły już za daleko.

- W Casa Barco w Cala Fuerte.

- Jakiego koloru był portfel? Ile dokładnie pieniędzy znajdowało się w środku? Czy чеki podróżne były podpisane?

Selina ze znużeniem odpowiadała na pytania. Wskazówki zegara dowlokły się do dziesiątej, w pół do jedenastej, dochodziła jedenasta. Spełniły się jej najgorsze obawy. Zgubiono jej walizkę i została okradziona. A przed sobą ma jeszcze jazdę do Cala Fuerte.

Wreszcie było po wszystkim. Policjant uporządkował papiery i wstał. Selina podziękowała mu, uściśniła sobie dłonie. Wyglądał na zaskoczony, ale nadal się nie uśmiechnął.

Selina i Toni ruszyli razem przez opustoszałą halę lotniska, wyszli przez szklane drzwi i zatrzymali się, stając twarzą w twarz. Selina przerzuciła płaszcz przez ramię. Robiło jej się coraz bardziej gorąco. Patrzyła na taksówkarza, czekając na jego ruch.

Zdjął ciemne okulary.

- Nadal muszę się dostać do Cala Fuerte - powiedziała.

- Nie ma pani pieniędzy.

- Ale dostanie pan zapłatę za kurs, obiecuję. Kiedy znajdziemy się w Cala Fuerte, mój... ojciec ureguluje rachunek.

Toni ściągnął brwi.

- Pani ojciec? Ma pani tu ojca? Dlaczego pani od razu nie powiedziała?

- To by nie zmieniło sytuacji. Nie... nie moglibyśmy się z nim skontaktować, prawda?

- Pani ojciec mieszka w Cala Fuerte?

- Tak. W willi o nazwie Casa Barco. Jestem przekonana, że go zastanę i że panu zapłaci. - Toni przyglądał jej się po-

dejrzliwie, z niedowierzaniem. - Przecież nie może mnie pan tak zostawić. Nie mam nawet biletu powrotnego do Londynu.

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, potem uznał, że pora na papierosa. Nie okazywał żadnych uczuć, z jego twarzy niczego nie dawało się wyczytać.

- Powiedział pan, że mnie zawiezie - przypomniała Selina. - A ja już dopilnuję, żeby panu zapłacono.

Zapalił papierosa. Wydmuchnął kłąb dymu. Ciemne oczy znowu spoczęły na Selinie. Wyglądała na zaniepokojoną, była blada, ale równocześnie unosiła się wokół niej aura zamożności. Zniszczona torebka była z krokodylej skóry, pantofle tak samo. Szalik jedwabny, płaszcz i sukienka z dobrej wełny. Przy niektórych ruchach Toni widział błysk złotego łańcuszka, nosiła też złoty zegarek. Bez wątplenia tu były pieniądze. Nawet jeśli nie w torebce, to gdzieś blisko. A mamy dopiero marzec, nie należy odrzucać dobrego kursu. Dziewczyna zaś, ta Inglesa, nie wygląda na kogoś zdolnego do oszustwa.

Podjął decyzję.

- Dobra - odezwał się wreszcie. - Jedziemy.

# *Rozdział czwarty*

Padłszy ofiarą własnej dobroci, Toni rozgadał się na dobre.

- Jeszcze pięć lat temu połączenie z lądem było do niczego, tylko dwa razy w tygodniu pływał mały stateczek. Ale teraz dorobiliśmy się lotniska, tak że latem przyjeżdżają turyści i wszystko układa się coraz lepiej.

Selina pomyślała, że pierwsza rzecz, którą powinno się tutaj ułożyć lepiej, to drogi. Ta, którą jechali, była ubita, z wyłobionymi przez samochody koleinami, nie dla takiego wysłużonego oldsmobile'a jak taksówka Toniego. Wóz podskakiwał i kołysał się niczym statek na wzburzonym morzu. Trasa wiodła między niskimi, kamiennymi murami bez zaprawy, wśród wsi, podzielonych na niewielkie poletka. Ziemia wyglądała na kamienistą, nieurodzajną, ostre słońce wypaliło ściany domów na kolor jasnego piasku. Kobiety pracujące na polach nosiły czarne spódnice do kostek, na głowach miały przewiązane czarne szale. Mężczyźni w spłowiałych niebieskich ubraniach orali niewdzięczną glebę albo podskakiwali na drewnianych wózkach, zaprzężonych w muły. Widać było stada kóz, chude kurczaki, a co parę kilometrów można było natknąć się na cierpliwego konia z kłapkami na oczach, który włókł za sobą beczkę z wodą wylewającą się wiaderkami do rowów melioracyjnych.

- Przecież ubiegłej nocy padało - zdziwiła się na ten widok Selina.

- To był pierwszy deszcz od miesiący. Zawsze brakuje nam wody. Nie ma rzek, jedynie źródła. Słońce już mocno grzeje, a ziemia bardzo szybko wysycha.

- Wczoraj nad Pirenejami złapała nas burza.

- Od wielu dni nad Morzem Śródziemnym utrzymywała się zła pogoda.

- Zawsze tak jest w marcu?

- Nie, bywają bardzo ciepłe marce.

Jakby na potwierdzenie słów taksówkarza, w tej samej chwili przez szparę między chmurami przedarło się słońce i zalało wszystko delikatną, złocistą poświatą.

- Tam - ciągnął Toni - leży miasto San Antonio. Katedra na szczycie wzgórza jest bardzo stara, fortyfikowana.

- Fortyfikowana?

- Na wypadek ataku. Ze strony Fenicjan, piratów i Maurów. Maurowie przez wiele stuleci okupowali San Antonio.

Miasto wyglądało niczym jasny klejnot na ciemnym tle morza. Wzgórze pokryte białymi budynkami, znad których wystrzelały wieże obronne i dzwonnice katedry.

- Nie jedziemy przez miasto?

- Nie, jesteśmy na drodze do Cala Fuerte. Nigdy jeszcze nie była pani na wyspie? - spytał po chwili. - A pani ojciec mieszka tu na stałe?

Selina przyglądała się wolnym obrotom skrzydeł wiatraka.

- Nie. Nie, nigdy jeszcze tu nie byłam.

- Spodoba się pani w Cala Fuerte. To niewielka wioska, ale bardzo piękna. Przyjeżdża tam mnóstwo żeglarzy.

- Mój ojciec jest żeglarzem - odparła bez namysłu. Słowa same pchały się na usta, jakby raz wypowiedziane na głos, stawały się prawdą, rzeczywistością. *Mój ojciec mieszka w Cala Fuerte. W willi Casa Barco. Jest żeglarzem.*

Chmury dalej się rozpraszają, zza nich wyłoniło się słońce, wreszcie odpłynęły nad morze, gdzie zawisły, groźne i obrażone, nad horyzontem. Wyspa kąpała się w ciepłe. Selina podciągnęła i otworzyła okno i pozwoliła, by pachnący zakurzony wiatr

targał jej włosy. Mijali wioski, miasta ze złocistego kamienia, ciche i uśpione za zamkniętymi okiennicami. Drzwi domów były otwarte, wszędzie wisiały kotary ze sznurków. Na chodniku, wyprostowane, na drewnianych kuchennych stołkach siedziały stare kobiety, rozmawiając albo pilnując wnucząt. Ręce cały czas miały zajęte robieniem koronek lub haftem.

Dotarli do Curamayor, sennego miasta o wąskich uliczkach z kremowobiałymi domami. Toni otarł usta grzbietem dłoni i oświadczył, że chce mu się pić.

Selina, niepewna, co powinna zrobić, milczała.

- Przydałby się łyk piwa - ciągnął Toni.

- Chętnie... Chętnie bym postawiła panu piwo, ale nie mam pieniędzy.

- Ja kupię - odparł Toni.

Wąska uliczka poprowadziła ich na duży, wybrukowany plac, przy którym stał wysoki kościół i rosły cieniste drzewa. Było tam trochę sklepów. Toni krążył wokół, póki nie wypatrzył kawiarni, która znalazła uznanie w jego oczach.

- Nadaje się - oznajmił.

- Po... poczekam na pana.

- Pani też powinna się czegoś napić. Na dworze jest gorąco i sucho. Kupię pani coś. - Zaczęła protestować, ale dodał: - Pani ojciec mi zwróci.

Siadła na słońcu przy małym stoliku. Za jej plecami, w barze, Toni rozmawiał z właścicielem. Do kawiarenki zbliżała się grupka dzieci wracających ze szkoły. Wyglądały rozkosznie w niebieskich bawełnianych mundurkach i nieskazitelnie białych skarpetkach. Wszystkie były urocze: dziewczynki jak spod igły, z włosami gładko splecionymi w warkocze i złotymi kolczykami w uszach, z oliwkowymi, kształtnymi nóżkami. A kiedy się uśmiechały, błyskały białymi, ostrymi ząbkami.

Zauważyły, że Selina im się przygląda, i zaczęły chichotać. Dwie młodsze dziewczynki oderwały się od grupki i podeszły do niej. W ich ciemnych, okrągłych oczach tańczyły

iskierki śmiechu. Selina ogromnie chciała się z nimi zaprzyjaźnić, pod wpływem impulsu otworzyła torebkę i wyjęła z niej automatyczny ołówek, którego nigdy właściwie nie lubiła: długi prawie na osiem centymetrów, w zielono-niebieskie maźnięcia. Wyciągnęła go do dziewczynek, zapraszając, żeby któraś go sobie wzięła. Początkowo się wstydziły, ale po chwili dziewczynka z warkoczami nieśmiało, jakby ołówek mógł ugryźć, zabrała go z otwartej dłoni Seliny. Druga, rozbrajającym gestem, złożyła dłoń w ręce Seliny, jakby ofiarowywała jakiś dar. Rączka była tłuściutka, gładka, błyszcząca na niej złoty pierścienek.

W tym momencie zza kotary wynurzył się Toni ze swoim piwem i sokiem pomarańczowym dla Seliny. Dzieci spłoszyły się i rozpierchły niczym gołębie, zabierając ze sobą zdołbaczony ołówek. Selina przyglądała im się z zachwytem.

- Maleństwa - odezwał się Toni, a w jego głosie zabrzmiała taka duma i czułość, jakby mówił o własnych dzieciach.

Ruszyli w dalszą drogę. Charakter wyspy całkowicie się zmienił. Droga wiodła teraz u stóp pasma górskiego, podczas gdy bliżej morza pola opadały ku odległemu, zamglonemu horyzontowi łagodnym łukiem. Jechali już trzy godziny, kiedy Selina na szczycie wysokiej góry zobaczyła krzyż, rysujący się na tle nieba.

- Co to jest? - spytała.

- To krzyż świętego Sebastiana.

- Tylko krzyż? Na szczycie góry?

- Nie, jest tam ogromny klasztor. Zakon kontemplacyjny.

Miasteczko San Estaban leżało u stóp wzgórza, w cieniu klasztoru. Na skrzyżowaniu w centrum miasta stał drogowskaz, na którym wreszcie, po raz pierwszy w czasie ich podróży, pojawiła się nazwa Cala Fuerte. Toni skreślił w prawo. Droga opadała w dół, wijąc się wśród kaktusów, drzewek oliwnych i kęp wonnych eukaliptusów. Przed sobą widzieli wybrzeże: zwartą ścianę sosen. W miarę jednak jak się zbliżali, Selina dostrzegła białe punkty rozrzuconych

rzadko domów i jasnoróżowe, niebieskie i szkarłatne kropki kwitnących ogrodów.

- Czy to Cala Fuerte?

-*Si*.

- Nie jest podobna do innych wiosek.

- Nie, to kurort. Dla gości. Wiele osób ma tu wille, w których spędza wakacje. Przyjeżdżają latem, uciekając z Madrytu i Barcelony przed upałami.

- Rozumiem.

Otoczyły ich sosny, chłodny cień i zapach żywicy. Minęli gospodarstwo z gdczącymi kurami, jeden, dwa domy, mały sklepik z winem i wreszcie znaleźli się na niewielkim placu zbudowanym wokół samotnej rozłożystej sosny. Jedną stronę rynku zajmował sklep. Przy drzwiach piętrzyły się owoce, na wystawie leżały espadryle, błony fotograficzne, słomkowe kapelusze i pocztówki. Po drugiej stronie znajdował się duży budynek w mauretańskim stylu, o Iśniącobiałych ścianach. Przed nim rozciągał się zacieniony taras ze stolikami i krzesłami. Nad wejściem kołysał się napis: Hotel „Cala Fuerte”.

Toni zaparkował wóz w cieniu drzewa i wyłączył silnik. Kurz osiadł na samochodzie. Zapanowała głęboka cisza.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. - To Cala Fuerte.

Wysiedli. Z rozkoszą wystawili twarze na chłodny powiew morskiej bryzy. Na placu było niewiele osób. Ze sklepu wyszła kobieta, wyjęła z kosza kilka ziemniaków i wrzuciła je do papierowej torby. Kilkoro dzieci bawiło się z psem. Dwójka turystów w ręcznie robionych swetrach - z całą pewnością Angliki - siedziała na tarasie, pisząc pocztówki. Podnieśli wzrok i zobaczyli Seline. Rozpoznali w niej rodaczkę i szybko odwrócili spojrzenie.

Selina i Toni weszli do hotelu; Toni pierwszy. Za zasłoną z łańcuszków znajdował się bar, bardzo zadbane, czyste i chłodne, z bielutkimi ścianami, dywanami na kamiennej posadzce i drewnianą klatką schodową wiodącą na górę. Pod nią znajdowały się jeszcze inne drzwi, prowadzące na

zaplecze. Śniada dziewczyna z miotłą leniwie przemieszczała kurz z jednej części podłogi na drugą.

Zerknęła na wchodzących z uśmiechem.

- *Buenos dias.*

- *Dónde estd el propietario?*

Dziewczyna odstawiła miotłę.

- *Momento* - powiedziała i bezszelestnie zniknęła za drzwiami pod klatką schodową. Zatrzasnęły się za nią. Toni podszedł do baru i usadowił się na wysokim stołku. Po jakimś czasie drzwi się otworzyły i wyszedł z nich mężczyzna. Był drobny, dość młody, brodaty, z oczami przywodzącymi na myśl przyjacielską żabę. Miał na sobie białą koszulę, ciemne spodnie z paskiem i niebieskie espadryle.

- *Buenos dias*- odezwał się, wodząc wzrokiem od Toniego do Seliny, od Seliny do Toniego.

- Mówi pan po angielsku? - spytała szybko Selina.

- *Si, señorita.*

- Przepraszam, że panu przeszkadzamy, ale szukam pewnej osoby. Pana George'a Dyera.

- Tak?

- Zna go pan?

Uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Oczywiście. Szuka pani George'a? Czy on o tym wie?

- Nie. A powinien?

- Nie, jeśli mu pani powiedziała, że przyjeżdża.

- To niespodzianka - stwierdziła Selina, starając się, żeby to zabrzmiało jak żart.

Wyglądał na zaintrygowanego.

- Skąd pani przyjechała?

- Z Londynu. A ostatnio z lotniska w San Antonio.

Wskazała Toniego, który przysłuchiwał się temu z ponurą miną, jakby mu się nie podobało, że odebrano mu kontrolę nad biegiem wydarzeń.

- Przywiózł mnie ten taksówkarz.

- Nie widziałem George'a od wczoraj. Wybierał się do San Antonio.

- Ale przecież ja właśnie stamtąd przyjeżdżam.  
 - Zapewne wrócił już do domu. Nie jestem pewien. Nie widziałem, żeby wracał. - Uśmiechnął się szeroko. - Nigdy nie jesteśmy pewni, czy jego samochód poradzi sobie z tą trasą.

Toni odchrząknął i nachylił się ku właścicielowi hotelu.

- Gdzie możemy go znaleźć?

Brodacz wzruszył ramionami.

- Jeśli jest w Cala Fuerte, będzie w Casa Barco.

- A jak możemy znaleźć Casa Barco?

Gospodarz się skrzywił i Toni wyczuwając jego łagodną dezaprobatę, poczuł się w obowiązku wyjaśnić:

- Musimy znaleźć *señora* Dyera, bo w przeciwnym razie nie dostanę pieniędzy za kurs. Ta *señorita* nie ma pieniędzy...

Selina przełknęła ślinę.

- Tak... Niestety to prawda. Może nam pan powiedzieć, jak dotrzeć do Casa Barco?

- To zbyt skomplikowane. Sami byście nie trafili. Ale - dodał - mogę znaleźć kogoś, kto was tam zaprowadzi.

- To bardzo miło z pana strony. Bardzo panu dziękuję, panie...

- Rudolfo. Żaden pan, ani nic. Po prostu Rudolfo. Proszę chwilę poczekać, zobaczę, co da się zrobić.

Przeszedł przez zastłonę na drugą stronę placu i zniknął w sklepie. Toni przygarbił się na stołku, zbyt małym dla jego obfitych kształtów. Humor wyraźnie mu się pogorszył. Selinę ogarnął niepokój.

- Denerwujące jest takie opóźnienie, zwłaszcza że okazał mi pan tyle serca... - odezwała się, próbując go ugłaskać.

- Nie wiemy, czy ten cały *señor* Dyer będzie w Casa Barco. Nie widziano, żeby wracał z San Antonio.

- Cóż, jeśli go nie będzie, zawsze możemy troszeczkę poczekać...

Nie powinna była tego mówić.

- Ja nie mogę czekać. Jestem człowiekiem pracującym. Dla mnie czas to pieniądz.

- Tak, oczywiście. Oczywiście, doskonale rozumiem.

Prychnął, jakby chciał powiedzieć, że ona nie potrafi niczego zrozumieć, i odwrócił się do niej plecami niczym wyrośnięty, obrażony chłopczyk. Z prawdziwą ulgą przyjęła powrót Rudolfa. Umówił się, że syn właścicielki sklepu zaprowadzi ich do Casa Barco. Chłopiec miał duże zamówienie dla *señora* Dyera, które właśnie miał zawieźć rowerem. Jeśli chcą, mogą za nim pojechać taksówką.

- Tak, oczywiście, to będzie wspaniale. - Selina obróciła się do Toniego i oświadczyła z udaną pogodą: - I zapłaci panu za kurs, tak że będzie pan mógł od razu wrócić do San Antonio.

Toni nie wyglądał na przekonanego, ale podźwignął się ze stołka barowego i wyszedł za Seliną na skwer. Przy taksówce czekał kościsty chłopiec z rowerem. Po obu stronach kierownicy wisiały olbrzymie kosze, takie, jakich zwykle używają hiszpańscy chłopci. Wyłaniały się z nich owinięte byle jak paczki wszelkiego kształtu i wielkości. Długie bochny chleba, pęczek cebuli, szyjka butelki.

- To jest Tomeu, syn Marii - powiedział Rudolfo. - On pokaże państwu drogę.

Tomeu, niczym przewodnik stada, machnął ręką i poprowadził ich niewyobrażalnie krętą drogą wzdłuż morza. Na wyspie było pełno małych, intensywnie niebieskich zatoczek, nad skałami zaś dawało się dostrzec rozkoszne białe wille, niewielkie ogródki tonące w kwiatkach, tarasy do opalania się i trampoliny.

- Nie obraziłabym się, gdybym mogła tu mieszkać - odezwała się Selina, ale nastrój Toniego pogarszał się z minuty na minutę i nie raczył odpowiedzieć. Droga nie przypominała już drogi, ale szeroką aleję, wijącą się wśród porośniętych chryzantemami murków przed ogrodami. Podjechali na niewielki wzgórek, potem zjechali ku ostatniej, o wiele większej od pozostałych zatoczce, gdzie w maleńkiej przystani schroniły się kutry i spore jachty kołyszące się na głębokiej wodzie.

Aleja biegła teraz na tyłach domów. Tomeu, który ich wyprzedził, czekał na rowerze. Kiedy zobaczył taksówkę pnącą się po krawędzi wzgórza, zsiadł z siodełka, oparł rower o murek i zaczął wyładowywać kosze.

- To pewnie ten dom - powiedziała Selina.

Nie wyglądał zbyt imponująco. Tylna ściana była lśniącobiąta i ślepa z wyjątkiem maleńkiego okna i zamkniętych drzwi. Ocieśniała go gęsta, czarna sosna. Za domem droga się rozwidlała na prawo i lewo wzdłuż innych domów. Od czasu do czasu między budynkami ku morzu zbiegały wąskie schodki. Panowała tu miła, pełna swobody atmosfera. Na sznurach przy domach trzepotało pranie, tu i ówdzie widać było odwrócone suszące się kosze, koty wygrzewające się na słońcu albo myjące futerko.

Samochód Toniego uderzył o coś i obsunął się kawałek na nierównej drodze. Taksówkarz cały czas marudził, że nie będzie miał gdzie wykręcić, że jego wóz nie nadaje się na takie wertepy, a jeśli się okaże, że porysował lakier, zażąda zwrotu kosztów malowania.

Selina puszczała mimo uszu te narzekania. Tomeu otworzył zielone drzwi i zniknął w domu, wlokąc za sobą ciężkie kosze. Samochód ostro zahamował. Dziewczyna wygramoliła się z wozu.

- Pojadę dalej, żeby wykręcić i wrócę po pieniądze - powiedział Toni.

- Tak - odparła z roztargnieniem Selina, przyglądając się otwartym drzwiom. - Tak, niech pan tak zrobi.

Przyspieszył tak gwałtownie, że musiała się cofnąć, żeby nie przejechał jej po palcach nóg, ale kiedy zniknął, przeszła na drugą stronę uliczki i ukryta w cieniu sosny, ruszyła ostrożnie ku otwartym drzwiom Casa Barco.

Wyobraziła ją sobie jako niewielki domek, tymczasem znalazła się w obszernym, jednopokojowym, wysokim pomieszczeniu. Wszystkie okiennice były pozamykane, w mieszkaniu panował półmrok i chłód. Nie było kuchni, tylko niewielki kącik odgradzony przepierzeniem, czymś w rodzaju

małego barku. Za nim Selina zobaczyła klęczącego Tomeu, który wkładał zapasy do lodówki.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się, kiedy dziewczyna pochyliła się nad blatem.

- *Señor Dyer?* - spytała.

Potrząsnął głową.

- *No aquí.*

*No aquí.* Nie ma go tutaj. Selina poczuła, jak serce przestaje jej bić. Nie wrócił z San Antonio, a ona będzie musiała jakoś ułagodzić gniew Toniego przeprosinami i prośbą o okazanie cierpliwości, kiedy żadne z nich nie miało pojęcia, jak długo przyjdzie im czekać.

Tomeu powiedział coś. Selina wpatrywała się w niego nie rozumiejącym spojrzeniem. Żeby jej pokazać, o co mu chodzi, wyszedł z kuchni i zbliżył się do okna. Otworzył okiennice, rozchylając je szeroko. Do domu wpadło słońce i światło, wszystko nabrało kolorów. Południowa ściana z widokiem na zatokę niemal w całości była szklana, ale podwójne drzwi z żaluzjami prowadziły na taras z plecioną markizą. Na tarasie stał niski murek, kilka popękanych doniczek i pojemników z pelargoniami, za murkiem zaś rozciągało się jasnoniebieskie, połyskliwe morze.

Sam dom został urządzony w bardzo oryginalny sposób. Nie było żadnych ścian działowych, ale dach nad kuchnią tworzył swego rodzaju galerię z drewnianymi poręczami, na którą się wchodziło po drewnianych stopniach przypominających drabinę ze statku. Pod tymi schodami widać było drzwi, wiodące do miniaturowej łazienki. Znajdowała się tam umywalka, sedes, dość prymitywny prysznic i półka z buteleczkami, pastą do zębów i temu podobnymi drobiazgami. Oprócz tego jeszcze lustro i okrągła miednica na podłodze. Dopływ światła i świeżego powietrza zapewniała dziura pod sufitem.

Prawie całą powierzchnię mieszkania zajmował wysoki salon o wyjątkowej urodzie. Lśniące białe ściany, kamienna posadzka zarzucona barwnymi dywanami. W rogu stał duży,

trójkątny kominek. Na palenisku leżały pachnące resztki drewna, które wyglądały, jakby potrzebowały jedynie lekkiego dmuchnięcia, by na nowo rozjarzyć się ogniem. Występ muru tworzący palenisko znajdował się jakieś czterdzieści centymetrów nad podłogą, potem biegł wzdłuż całej ściany niczym swego rodzaju półka, na której stała lampa, leżały poduszki, chodniki, sterty książek, kawałek nie do końca uplecionego sznura, sterta gazet i miesięczników oraz skrzynka pustych butelek.

Przed kominkiem, tyłem do tarasu i morza, stała olbrzymia, pozapadana sofa, na której bez najmniejszych problemów zmieściłoby się sześć osób. Leżała na niej spłowiała niebieska pościel, przykryta narzutą w czerwono-białe pasy. W drugiej części pokoju, pod odpowiednim kątem do światła, stało tanie biurczko zavalone papierami, z maszyną do pisania, pudełkiem pełnym nie otwartych listów i lornetką na wierzchu. W maszynie tkwiła kartka. Selina nie potrafiła się oprzeć pokusie i zerknęła.

„Kolejna powieść George'a Dyera” - przeczytała. - „Leniwy lis przeskoczył nad czymś albo jeszcze inaczej.”

Potem rząd gwiazdek i wykrzykników.

Kąćki ust jej opadły. Próżne były nadzieje pana Rutlanda!

Między przepierzeniem, w którym znajdowała się kuchnia, a drzwiami wypatrzyła kamienną studnię, żelazny hak na wiadro i szeroką półkę, na której stały nie dokończona butelka wina i kaktus w doniczce. Selina zerknęła w dół i zobaczyła ciemną, połyskliwą toń. Poczuła zapach wody. Słodki, dobry. Zastanawiała się, czy woda nadaje się do picia. Ale babka zawsze powtarzała, że nie wolno pić nie przegotowanej wody za granicą, a nie pora teraz była na ryzykowanie zatrucia pokarmowego.

Zostawiła studnię i stanęła na środku pokoju, patrząc na galerię. Pokusa obejrzenia jej z bliska okazała się nie do odparcia. Dziewczyna wspięła się po drabinie i zobaczyła czarującą sypialnię z ukośnym dachem i olbrzymim rzeź-

bionym małżeńskim łóżem (jakim cudem udało im się je tutaj wnieść?) ustawionym pod szczytem gontowego dachu. Zostało niewiele miejsca na meble, ale przy niskich ścianach stały dopasowane szafki, a wypchnięta zasłona najwyraźniej pełniła rolę szafy. Za szafkę nocną służyła postawiona do góry dnem skrzynka po pomarańczach zavalona książkami. Znalazło się też miejsce na lampę, radio tranzytorowe i morski chronometr.

- *Señorita!* - zawołał z tarasu Tomeu.

Selina zeszła z góry i przyłączyła się do niego. Siedział na murku w towarzystwie ogromnego, białego persa. Z uśmiechem obrócił się do Seliny, wziął kota w objęcia, jakby chciał go jej podarować.

- *Señor* Dyer - powiedział, wskazując na kota, który miauknął z uczuciem i po krótkiej szamotaninie wymknął się z uścisku, po czym pomaszerował na płamę słońca, gdzie usadowił się z godnością, owijając ogon wokół przednich łap.

- Jest ogromny - odezwała się Selina.

Tomeu zmarszczył brwi.

- Olbrzymi - powtórzyła, rozkładając ręce, by pokazać kota wielkości tygrysa. - Olbrzymi.

Tomeu się roześmiał.

- *Si. Muy grande.*

- To kot *señora* Dyera?

- *Si*, *señor* Dyer.

Podeszła do chłopaka i przechyliła się nad murkiem, za którym rozciągał się mały, trójkątny skalny ogródek z dwoma czy trzema krzywymi drzewkami oliwnymi. Uświadomiła sobie, że, jak każdy dom budowany na stromym stoku, Casa Barco stawiano z pojedynczych elementów, a taras to tak naprawdę dach przystani z pochylniami wiodącymi prosto do wody. Z tarasu na niższy poziom prowadziły schody, a tuż pod nimi siedzieli mężczyźni oprawiający ryby. Patroszyli je precyzyjnymi ruchami noży, ostrza połyskiwały w blasku słońca. Płukali ryby w morzu, budząc nierucho-

ma, zielonkawą tafłę wody. Tomeu schylił się po kamyk i rzucił nim w mężczyzn. Dwie głowy obejrzały się, kto to. Uśmiechnęli się na widok Tomeu.

- *Hombre*, Tomeu!

Odpowiedział chyba jakimś żartem, bo roześmiali się i wrócili do swego zajęcia. Kamienny murek, o który opierała się Selina, był ciepły. Na sukience miała białe smugi wapiennego pyłu, jakby pobrudziła się kredą do tablicy. Usiadła na murku plecami do morza i zobaczyła rozciągnięty między dwoma hakami sznur, na którym wisiała rzędem suchutka bielizna. Wyblakła błękitna robocza koszula, para kąpielówek, jakieś białe spodnie z łatami na kolanach, stare rozlatujące się tenisówki dyndające na sznurówkach. Na tarasie zebrało się też kilka mebli, ale nie w stylu prezentowanym przez czasopisma typu „House & Garden”. Stary, zniszczony fotel bujany i drewniany stolik z odpryskującą farbą, staromodny leżak, który zapada się, ledwo człowiek na nim usiadzie. Selina żałowała, że nie zna hiszpańskiego i nie może porozmawiać z przyjacielskim Tomeu. Chciała się czegoś dowiedzieć o *señor* Dyerze. Jakim jest człowiekiem. Która z tych żaglówek należy do niego? Jak Tomeu sądzi, kiedy wróci z San Antonio? Ale zanim zdążyła nawiązać jakąkolwiek łączność z chłopcem, niczym dźwięk dzwonu bijącego na alarm rozległ się warkot taksówki Toniego. Zahamowała przy drzwiach i po chwili do domu z wściekłą miną wkroczył Toni, groźny, rozłoszczony. Selina uspokajała się w duchu, że przecież jej nie zje.

- *Señor* Dyer jeszcze nie wrócił - oświadczyła pewnym tonem.

Toni przyjął tę wiadomość w lodowatym milczeniu. Potem wyjął wykałaczkę i zajął się jakimś uporczywym kąskiem, który mu utkwiał w zębach trzonowych. Następnie wytarł wykałaczkę o siedzenie, schował ją do kieszeni i spytał:

- I co, do cholery, teraz?

- Poczekam tu. Na pewno niedługo wróci. Rudolfo powiedział, że niedługo będzie. Pan może albo tu ze mną poczekać, albo zostawić mi swoje nazwisko i adres i wrócić do San Antonio. Niezależnie od pana decyzji, dopilnuję, żeby pan otrzymał swoje pieniądze.

Nie zdając sobie z tego sprawy, przemówiła tonem babki i ku jej zaskoczeniu, to zadziałało. Toni pogodził się z losem. Przez chwilę cmokał, wysysając coś z zęba, po czym ogłosił swą decyzję.

- Ja też poczekam. Ale nie tu. W hotelu.

W hotelu był koniak, a w cieniu drzewa utnie sobie drzemkę w samochodzie. Minęło już w pół do trzeciej, a Toni nie lubił być o tej porze na nogach.

- Kiedy *señor* Dyer się pojawi, może pani tam przyjechać i mi powiedzieć.

Selina miała ochotę go uściskać. Tymczasem powiedziała tylko:

- Doskonale, z pewnością to zrobię. - A ponieważ wyglądał na bardzo przygnębionego, dodała: - Przykro mi, że tak wyszło, ale wszystko dobrze się skończy.

Ostentacyjnie wzruszył ramionami, westchnął i poszedł do samochodu. Słyszała, jak uruchamiał silnik i ruszał z powrotem do hotelu „Cala Fuerte”. Selina pomyślała przelotnie: „Biedny Rudolfo” i wróciła do Tomeu.

- Zostanę tutaj - oznajmiła.

Zmarszczył brwi.

- *Usted aqui.*

- Tak. Tutaj. - Pokazała podłogę. Tomeu uśmiechnął się szeroko na znak, że pojął, i poszedł zabrać puste kosze.

- Do widzenia, Tomeu, i dziękuję.

- *Adios, señorita.*

Zniknął i Selina została sama. Wysłała na taras i powtarzała sobie, że czeka na ojca, ale mimo wszystko ciągle nie potrafiła w to uwierzyć. Ciekawa była, czy on rozpozna od razu, kto przyjechał. A jeśli nie rozpozna, to jak mu o tym powiedzieć?

Zapanował straszny upał. Słońce prażyło mimo markizy. Selina nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek było jej tak gorąco. Nagle wydało jej się, że już ani chwili dłużej nie wytrzyma w nylonowych pończochach, skórzanych pantoflach i wełnianej sukience. Przestały być praktycznymi ubraniami, a stały się idiotyczne, nieodpowiednie - istne szaleństwo.

No, ale babka nie znosiła gołych nóg, nawet do letnich sukienek, a rękawiczki uważała za niezbędny element stroju. „Damę poznaje się po rękawiczkach. I cóż to za brak schludności - chodzenie bez kapelusza.”

Ale babka nie żyje. Kochana, nieodżałowana staruszka, ale bez cienia wątpliwości martwa. Jej głos umilkł na wieki, nigdy już nie wygłosi autorytatywnym tonem żadnej ze swoich uwag. Selina stała się panią swojego losu, mogła robić to, co chciała. W domu ojca. W świecie tak odmiennym od Queen's Gate. Weszła do domu, zdjęła pończochy, buty. Od razu zrobiło jej się chłodniej. Poczowała się cudownie wolna. Wyruszyła na poszukiwanie czegoś do jedzenia. W lodówce było masło, posmarowała nim kromkę chleba, wzięła pomidora i butelkę zimnej wody sodowej. Zjadła ten posiłek na tarasie, pochylona nad murkiem, przyglądając się statkom w zatoce. Potem ogarnęła ją senność. Nie chciała jednak, by ojciec znalazł ją uśpioną. Wtedy człowiek jest taki odsłonięty, bezradny. Musi usiąść na czymś twardym i niewygodnym, żeby nie zasnąć.

W końcu wdrapała się na schody wiodące do sypialni i usadowiła niezbyt wygodnie na najwyższym stopniu. Po jakimś czasie z dworu przyszedł ogromny biały pers i mrużąc, wbijając pazury w nogi Seliny, umościł się na jej kolanach.

Wskazówki zegarka poruszały się wolno wokół tarczy.

# *Rozdział piąty*

Wogóle nie rozumiem, czemu musisz wracać - oświadczyła Frances Dongen.

- Mówiłem ci: muszę nakarmić Perłę.

- Perła może się sama wyżywić. Wokół tego twojego domu jest dość zdechłych ryb, żeby wykarmić całą armię kotów. Zostań na jeszcze jedną noc, kochany.

- Chodzi nie tylko o Perłę, ale i o „Pełnię”.

- Ale przecież wytrzyma jeden sztorm...

- Nie wiem, czy wytrzyma, czy nie, poza tym znowu się zanoszą na złą pogodę...

- No, dobra - ustąpiła Frances i sięgnęła po kolejnego papierosa. - Skoro tak się boisz, to lepiej, żebyś wracał.

Wiele lat temu, kiedy jeszcze była małą dziewczynką z Cincinnati w stanie Ohio, matka powiedziała jej, że najlepszym sposobem na utrzymanie przy sobie mężczyzny jest wytworzenie w nim przekonania, że jest wolny. Co prawda nie doszła jeszcze do etapu „utrzymanie” George'a Dyera, jako że na razie nie zdążyła go złapać, ale jako stara wyga w tej fascynującej grze w ciepło-zimno postanowiła nie przyspieszać biegu wypadków.

Siedziała na niewielkim tarasie swojego domu, położonego w wyższej części San Antonio. Zaledwie kilkaset metrów dzieliło ją od katedry, poniżej rozciągała się płatanina brukowanych uliczek, wysokich, wąskich kamienic i kilometrów sznurów do bielizny, opasujących stare mury obronne.

Za murami znajdowały się nowsze dzielnice z szerokimi ulicami, placami, rzędami drzew, które prowadziły do zatoki. W zatoce kołysały się szkunery, białe jachty ze smukłymi masztami i parowiec, który właśnie dotarł do portu po swej cotygodniowej podróży z Barcelony.

Frances już dwa lata mieszkała w tym rozkosznym zakątku. San Antonio stanowiło jeden z punktów wycieczki, jaką odbywała na jachcie któregoś ze swoich zamożnych amerykańskich przyjaciół. Po sześciu tygodniach rejsu Frances znudziła się śmiertelnie kompanią i kiedy wszyscy zeszli na brzeg na jakieś przyjęcie, ona nie wróciła już na pokład. Po upojnej trzydniówce obudziła się z niewyobrażalnym kacem, w obcym łóżku i ze świadomością, że jacht wraz z całym towarzystwem opuścił San Antonio bez niej na pokładzie.

To bynajmniej nie zaniepokoiło Frances. Wyglądało na to, że przez te trzy dni zdołała nawiązać mnóstwo przyjaźni. Była bogata, dwukrotnie rozwiedziona, nigdzie nie zapuściła głębiej korzeni. San Antonio odpowiadało jej wręcz idealnie. Kręciło się tu mnóstwo malarzy, ludzi bez narodowości, pisarzy, bitowców i Frances, która kiedyś parę ładnych miesięcy przeżyła z niespełnionym artystą w Greenwich Village, czuła się tu jak w domu. Bardzo szybko znalazła sobie mieszkanie, a gdy już skończyła je urządzać, rozejrzała się za jakimś sposobem na zabicie czasu. Postanowiła otworzyć galerię. W miejscu gdzie spotykają się malarze i turyści, galeria malarstwa stanowiła niewątpliwie złoty interes. Kupiła stary sklepik rybny w zatoce, przerobiła go i kierowała nim z bystrością i sprytem odziedziczonymi nie tylko po ojcu, ale i po obu byłych mężach.

Dawno przekroczyła czterdziestkę, ale jej wygląd i sylwetka kpiły sobie z upływu lat. Wysoka, bardzo szczupła, opalona jak chłopak, z blond włosami opadającymi kaskadą loczków, nosiła - i zwykle uchodziło jej to bezkarnie - ubrania w powszechnej opinii zarezerwowane dla nastolatków. Obcisłe spodnie, męskie koszule i kostiumy bikini wiel-

kości chusteczki do nosa. Paliła jak lokomotywa, zdawała sobie sprawę, że za duże pije, ale na ogół, a dzisiejszego poranka na pewno, podobało jej się życie, jakie prowadziła.

Wczorajsze przyjęcie, wydane dla uczczenia pierwszej wystawy Olafa Svensena, było wyjątkowo udane. Olaf był najbrudniejszym człowiekiem pod słońcem, nawet jak na warunki San Antonio. Brodę miał zaropiałą, posklejaną, o paznokciach lepiej nie wspominać, ale na widok jego pop-artowskich rzeźb ludziom oczy wychodziły na wierzch, a Frances lubiła szokować publiczność. Sprawiało jej to sporą przyjemność. George Dyer oczywiście został zaproszony - od chwili wydania książki stał się swego rodzaju gwiazdą - ale nie było żadnej pewności, że się zjawi, dlatego Frances znalazła się w siódmym niebie, kiedy wszedł do zadymionej sali i zaczął się do niej przedzierać przez tłum. Wyjaśnił Frances, że przyjechał do San Antonio po jakieś brakujące części do łodzi żaglowej, a kiedy wypowiedział swoje zdanie na temat twórczości Olafa, gospodyni nabrała całkowitej pewności, że zjawił się tu skuszony perspektywą darmowych drinków. Ale co tam, grunt, że przyszedł, i co więcej, został, został do końca przyjęcia, a potem z nią. Frances znała George'a Dyera gdzieś od roku. Wiosną pojechała do Cala Fuerte, żeby zerknąć na prace młodego francuskiego malarza, który tam mieszkał. W końcu, co było nie do uniknięcia, wylądowała w barze Rudolfa, stawiając Francuzowi martini za martini, ale w chwili gdy do hotelu wszedł George Dyer, porzuciła malarza, który zasnął z głową na barze, i zaczęła rozmawiać z George'em. Skończyło się tym, że zjedli razem lunch i ciągle jeszcze siedzieli nad kawą, kiedy wybiła szósta i znowu mogli wrócić do brandy.

George przyjeżdżał do San Antonio mniej więcej raz w tygodniu, żeby odebrać korespondencję z jachtklubu, zajrzeć do banku, zaopatrzyć się w to, czego potrzebował dla łodzi. I zwykle przy okazji wpadał do Frances. Jedli razem kolację albo przyłączali się do jakiejś zabawy, która

właśnie w pełnym toku odbywała się w jednym z nadbrzeżnych barków. George ogromnie pociągał Frances - o wiele bardziej niż ona jego, co do tego nie miała złudzeń, ale to sprawiało, że stawał się jeszcze bardziej upragniony. Poza tym była zazdrosna o wszystko, co trzymało go z dala od niej. O jego pisanie, łódź, a przede wszystkim o samotny, odosobniony żywot, jaki wiódł w Cala Fuerte. Chciałaby, żeby jej potrzebował, ale on wyglądał na człowieka, który niczego nie potrzebuje. Jej pieniądze nie robiły na nim wrażenia, ale przepadał za jej ostrym, bardzo męskim poczuciem humoru. A teraz, przyglądając mu się, myślała z zadowoleniem, że to pierwszy prawdziwy mężczyzna, jakiego spotkała od lat.

Szykował się do wyjazdu, pakując swoje rzeczy do kosza. Sam widok opalonych rąk wykonujących te proste czynności wystarczył, by Frances ogarnęło przemożne pożądanie.

- Nie ma nic do jedzenia - odezwała się wbrew nakazowi rozsądku, w nadziei że zatrzyma George'a jeszcze chwilę dłużej.

- Zrobię sobie coś w domu.

W domu. Och, gdybyż tu był jego dom.

- Napijesz się? - spytała.

Roześmiał się i spojrzał na nią przekrwionymi oczami, rozbawiony jak wszyscy diabli.

- Słuchaj, żabko, czeka mnie trzygodzinna jazda.

- Jeden drink cię nie zabije.

Miała straszną ochotę na coś mocniejszego.

- Tak, ale wielka, brzydka ciężarówka mogłaby to zrobić, gdybym zasnęła za kierownicą.

Kosz został spakowany. George wstał i powiedział:

- Pora jechać.

Frances też wstała, schyliła się, żeby zgasić papierosa, i poszła pomóc kochankowi. George wziął ciężką skrzynkę ze śrubą do łodzi, Frances podniosła kosz i ruszyła pierwsza kamiennymi schodkami na dziedziniec, gdzie przy źródelku rosły drzewa cytrynowe. Otworzyła masywne, podwójne

drzwi wiodące na wąską uliczkę i wyszła na słońce. Tam na stromym zboczu stał zaparkowany ten wariacki wóz George'a - przedpotopowy kabriolet morris cowley z żółtymi kołami i złożonym dachem przypominającym budkę wózka dziecinnego. Załadowali wszystko, George odwrócił się, by ją pożegnać.

- Dobrze się bawiłem - powiedział.

- To dlatego, że niczego nie zaplanowaliśmy, kochanie. Jak to się mówi? Spontanicznie.

Pocałowała go w usta. Była tak wysoka, że nie musiała unosić głowy, żeby to zrobić. Przechyliła się tylko, zaskakując go tym pocałunkiem. Na ustach miała grubą warstwę jaszkrawej, słodkawej szminki, która została na jego wargach. Kiedy Frances się odsunęła, grzbietem dłoni starł szminkę. Wsiadł do samochodu.

- Do widzenia, kochany.

- Cześć, Frances.

- Cześć.

Zabrała kamień, którym, pokładając się ze śmiechu, wczorajszej nocy zablokowali przednie koło. George zwolnił hamulec i samochód potoczył się w dół wąską uliczką, nabierając zawrotnej prędkości, jadąc od jednego krawężnika do drugiego, rozganiając koty i kurczaki, wywołując u zmuszonych do odskoczenia pod ścianę policjantów Guardia Civil grymas niezadowolenia i groźne warknięcie.

Wracał do Cala Fuerte po zakurzonych drogach, mijając uprawiane troskliwie pola, wiatraki i cierpliwe konie przy kołach młyńskich. Dotarł do krętej drogi u stóp gór, gdzie wznosił się krzyż klasztoru świętego Sebastiana. Zerkał na morze, szukając zapowiedzi nadchodzącej burzy, i myślał o Frances. Myślał o przeniesieniu się do San Antonio i zamieszkaniu z nią, choćby dla samej satysfakcji napisania do Rutlanda, wydawcy, i powiedzenia mu, żeby poszedł w diabły, bo on, George, nie napisze już żadnej książki, będzie się żywił korzonkami i tym, co mu przyniesie morze, zostanie utrzymaniem bogatej Amerykanki.

W San Estaban sjesta już się skończyła, okiennice znowu otworzono na oścież, spokojni klienci siedzieli przed kafejkami. Mijając ich George zatrąbił. Zawołali: „Hombre!”, i pomachali do niego, bo wszyscy go znali, nawet jeśli nie osobiście, to z widzenia. Był tym zwariowanym Anglikiem, co to ma malutki samochód z żółtymi kołami, jeździ po wyspie w kapitańskiej czapce i czasem pisze książki.

Kiedy na jałowym biegu toczył się po ostatnim zjeździe przed Cala Fuerte, przez chwilę zastanawiał się, czyby nie zajrzeć do Rudolfa na drinka. W końcu, ku swemu zdziwieniu, postanowił, że nie. Pewnie spotkałby znajomych, został dłużej, niż zamierzał, wypił więcej, niż powinien. Nie dowierzał pogodzie, a Perła jest pewnie głodna. Dlatego kiedy mijał hotel, tylko nacisnął klakson i ogólnie pomachał w geście pozdrowienia w stronę przyjaciół, którzy mogli siedzieć na tarasie. Nie dostrzegł Rudolfa, ale jeden czy dwóch zaskoczonych pijaków odpowiedziało pozdrowieniem i George ogarnęło miło uczucie powrotu do domu. Zaczął pogwizdywać.

Gwizdał, kiedy wchodził do domu. Selina, nadal tkwiąca na schodach, słyszała samochód pokonujący wzgórze, zjeżdżający ze stoku i wreszcie hamujący z niemożliwym piśkiem przed Casa Barco. Siedziała nieruchomo z dużym, ciężkim białym kotem, który zasnął na jej kolanach. Silnik samochodu został wyłączony i wtedy Selina usłyszała pogwizdywanie. Drzwiczki zostały otwarte i zatrzaśnięte z hukiem. Gwizdanie nie ustało, rozlegało się coraz głośniej. Drzwi Casa Barco się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna.

W rękę niósł koszyk, pod pachą ścisnął kartonowe pudło, w zębach miał plik gazet. Zatrzasnął drzwi siedzeniem, postawił kosz na podłodze, wrzucił gazety do koszyka, potem zaniósł pudło na stół przy maszynie do pisania i ostrożnie je tam postawił. Selina nie widziała jego twarzy, zacienionej

zniszczoną, pachnącą morzem czapką. Mężczyzna otworzył pudło i sprawdził jego zawartość ukrytą pod cienkim papierem. Wyglądał na zadowolonego, kiedy sięgał po lornetkę, i zniknął na tarasie. Selina tkwiła bez ruchu na swoim stanowisku, ale kot zaczął się budzić. Pogłaskała go. Uspokajało ją to trochę, a poza tym nie chciała, żeby zwierzę uciekło. Po jakimś czasie mężczyzna wrócił do środka, odłożył okulary, zdjął czapkę i rzucił ją na stół. Miał ciemne włosy, bardzo gęste, leciutko przyprószone siwizną. Jasnoniebieska, spłowiała koszula przypominała ubranie tutejszych rolników, dżinsy były sprane, w kolorze khaki, na nogach nosił zakurzone espadryle. Nadal poświstując podszedł do koszyka i zaniósł go do kuchni, po raz kolejny znikając Selinie z oczu. Dobiegł ją odgłos otwierania i zamykania lodówki, syk otwieranej butelki, brzęczenie szklanek, bulgotanie nalewanej wody. Kiedy znowu się pojawił, trzymał szklaneczkę z jakimś płynem, wyglądającym na wodę sodową. Wyszedł na taras i zawołał:

- Perła!

Kot zaczął się podnosić.

- Perła! Perełka!

CMokał pieszczotliwie, przywołując zwierzę. Kot miauknął. Mężczyzna wrócił do środka.

- Perła.

Selina przeciągnęła językiem po suchych wargach, głęboko zaczerpnęła tchu.

- Szuka pan kota? - spytała.

George Dyer stanął jak wryty, podniósł wzrok i zobaczył dziewczynę siedzącą na szczycie schodów. Miała długie, gołe nogi, białe stopy, a Perła niczym ogromna, biała futrzana poducha spoczywała na jej kolanach.

Zmarszczył lekko brwi, usiłując sobie przypomnieć.

- Była tu pani, kiedy wszedłem?

- Tak.

- Nie widziałem pani.
- Tak, wiem, że pan mnie nie widział.

Przemknęło mu przez myśl, że dziewczyna ma świetnie wymodulowany głos, głos osoby doskonale wychowanej.

- Czy Perła to imię pańskiej kotki?
- Tak, przyjechałem ją nakarmić.
- Przesiedziała u mnie na kolanach całe popołudnie.
- Całe po... Jak długo pani tu siedzi?
- Od wpół do trzeciej.
- Wpół do trzeciej? - Zerknął na zegarek. - Ale przecież jest już po piątej.
- Tak, wiem.

Perła włączyła się do konwersacji, prostując się, przeciągając, dobywając z siebie żałosne miauknięcia. Wdzięcznie zeskoczyła z kolan dziewczyny i zbiegła po schodach. Mruczając głośno, owinęła się wokół nóg George'a, ale on wyjątkowo ją zignorował.

- Przyjechała tu pani w jakiejś sprawie?
- O tak, przyjechałam się z panem spotkać.
- Cóż, w takim razie może by pani zeszła z tych schodów?

Tak też uczyniła. Wstała, z trudem rozprostowując zdrętwiałe członki. Schodziła, stawiając obie nogi na każdym stopniu, próbując równocześnie odgarnąć włosy z czoła. Po opalonych mieszkankach San Antonio wydała mu się wyjątkowo blada, zwłaszcza przy jasnych włosach opadających do ramion i grzywce do brwi. Oczy miała niebieskie, teraz poszarzałe ze zmęczenia. George pomyślał, że dziewczyna jest w ogóle za młoda, by ją uznać za ładną.

- W ogóle pani nie znam... Bo nie znam?
- Nie. Nie zna mnie pan. Mam nadzieję, że nie gniewa się pan, że tak wtargnęłam do jego domu.
- Nie, nic się nie stało.
- Drzwi nie były zamknięte na klucz.
- W ogóle nie mają klucza.

Selina uśmiechnęła się, początkowo sądząc, że to żart, ale po chwili zorientowała się, że gospodarz mówi serio,

i uśmiech zniknął z jej twarzy. Nie wiedziała, co teraz powiedzieć. Podświadomie oczekiwała, że ją rozpozna, rzuci zdanie w stylu: „Pani mi kogoś przypomina”, albo: „Toż to oczywiste, musiałem gdzieś kiedyś panią spotkać”. Nie zanośliło się jednak na żadne tego typu stwierdzenie, poza tym wygląd mężczyzny zupełnie zbił ją z tropu. Nie było w nim ani cienia pogodnookiego, starannie ostrzyżonego młodego oficera, jej ojca. Spodziewała się, że będzie miał śniadą cerę, ale nie zdawała sobie sprawy, że będzie na niej tyle zmarszczek ani że oczy będą przekrwione. Kilkundniowy zarost nie tylko zasłaniał ładną linię szczęki i dołek w brodzie, ale także dodawał jego wyglądowi jakiejś dzikości. Co więcej, mężczyzna wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego jej zjawieniem się.

Przełknęła ślinę.

- Zapewne... Zapewne ciekawi pana, czemu tu się zjawiam.

- Cóż, owszem, ciekawi, ale nie wątpię, że w swoim czasie sama mi pani to zdradzi.

- Przyjechałam tu z Londynu... Dziś rano. Nie, ubiegłej nocy. Nie, dziś rano.

Nawiedziło go straszliwe podejrzenie.

- Czy to Rutland panią przysłał?

- Kto? Ach, pan Rutland, wydawca. Nie, nie przysłał, ale rzeczywiście wspomniał, że chciałby, żeby pan odpowiedział na jego listy.

- I jeszcze czego. - Przyszła mu do głowy kolejna myśl. - Ale zna go pani?

- O, tak, spotkałam się z nim, żeby go spytać, jak mogę pana znaleźć.

- Ale kim pani jest?

- Nazywam się Selina Bruce.

- A ja George Dyer, ale to pani zapewne już wie.

- Tak, wiem...

Znowu zapadła cisza. George'a nagle zaczęło to wszystko intrygować.

- Chyba nie jest pani moją wielbicielką? Nie jest pani wielce szanowną założycielką klubu miłośniczek George'a Dyera?

Selina potrząsnęła głową.

- No to może zatrzymała się pani w hotelu „Cala Fier-te” i tam przeczytała moją książkę?

Po raz kolejny potrząsnęła głową.

- To przypomina grę w dwadzieścia pytań, prawda? Jest pani sławna? Jest pani aktorką? Śpiewaczką?

- Nie, ale musiałam się z panem spotkać, bo...

Odwaga ją opuściła.

- Bo - podjęła - muszę pana poprosić o pożyczenie sześćset peset.

George Dyer poczuł, jak szczęka mu opada ze zdumienia, i pospiesznie odstawił szklankę z wodą sodową, zanim zdążył ją upuścić.

- Co pani powiedziała?

- Czy posiada pan - powtórzyła głośno i wyraźnie, jakby mówiła do głuchego - sześćset peset, które mógłby mi pan pożyczyć?

- Sześćset! - Roześmiał się. W jego śmiechu nie brzmiało rozbawienie. - Pani raczy żartować.

- Chciałabym móc żartować.

- Sześćset peset! Nie mam nawet dwudziestu!

- Ale ja muszę mieć sześćset peset, żeby zapłacić taksówkarzowi!

George rozejrzał się wokoło.

- A w którymż to momencie wkracza na scenę taksówkarz?

- Musiałam wziąć taksówkę z Aeropuerto do Cala Fier-te. Obiecałam taksówkarzowi, że pan mu zapłaci, bo ja nie mam pieniędzy. Ukradziono mi portfel, kiedy czekałam, żeby się dowiedzieć, czy odnaleziono moją walizkę... Niech pan spojrzy...

Przyniosła torebkę i pokazała mu równo odcięte paski.

- Policjanci twierdzili, że to musiał być bardzo doświad-

czony złodziej, ponieważ nic nie poczułam i zniknął wyłącznie portfel.

- Wyłącznie portfel. A co się znajdowało w tym portfelu?

- Moje czeki podróżne, trochę funtów, trochę peset. A także - dodała z miną osoby, która postanowiła nie owijać niczego w bawełnę - mój bilet powrotny.

- Rozumiem - stwierdził George.

- A taksówkarz czeka teraz w hotelu „Cala Fuerte”. Na pana. Aż pan mu zapłaci.

- To znaczy, że wzięła pani taksówkę z Aeropuerto do Cala Fuerte, żeby mnie znaleźć, bym zapłacił taksówkarzowi za kurs... To czyste szaleństwo.

- Przecież panu tłumaczyłam... Bo musi pan wiedzieć, że moja walizka się nie znalazła...

- Czyżby do tego wszystkiego zgubiła pani jeszcze walizkę?!

- Nie ja ją zgubiłam. Oni zgubili. Linie lotnicze.

- To się nazywa podróżować samolotem. Śniadanie w Londynie, lunch w Hiszpanii, walizka w Bombaju.

- Dotarła do Barcelony, ale na lotnisku powiedzieli mi, że zapewne wysłano ją do Madrytu.

- Tak więc - oświadczył George z miną doświadczonego konferansjera, który podsumowuje wyniki konkursu - pani walizka jest w Madrycie, portfel został ukradziony, a pani sama żąda ode mnie sześciuset peset na zapłacenie taksówkarzowi.

- Zgadza się - potaknęła Selina, uradowana, że gospodarz w końcu pojął, w czym rzecz.

- I jak się pani nazywa?

- Selina Bruce.

- Cóż, panno Bruce, choć szalenie miło było mi panią poznać i oczywiście ogromnie pani współczuję wyjątkowego pecha, jaki ją prześladuje, to nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Uważam, że to ma mnóstwo wspólnego z panem - zapewniła Selina.

- Ach? Czyżby?

- Tak. Bo musi pan wiedzieć... Sądzę, że jestem twoją córką.

- Sądzi pani...

W pierwszym momencie pomyślał, że ta dziewczyna jest szalona. Musi być szalona. To jedna z tych wariatek, które chodzą, podając się za cesarzową Eugenię, tyle że tej akurat odbiło na jego punkcie.

- Tak. Sądzę, że jesteś moim ojcem.

To nie wariatka. Dziewczyna była zupełnie niewinna i do głębi przekonana o prawdziwości swoich słów.

Musisz podejść do sprawy racjonalnie, nakazał sobie.

- Mam zdjęcie ojca. Sądziłam, że nie żyje. Ale on ma taką samą twarz jak ty.

- Miał facet pecha.

- O nie, to wcale nie był taki pech...

- Może ma pani je przy sobie?

- Tak, w torbie.

Schyliła się, żeby je wyjąć, a George zastanawiał się, ile dziewczyna może mieć lat. Rozpaczliwie, gwałtownie, jakby od tego zależało jego życie, usiłował sobie przypomnieć, zdecydować, czy istnieje najmniejsze prawdopodobieństwo, że to straszliwe oskarżenie jest prawdą.

- Jest tutaj... Zawsze je nosiłam przy sobie, od kiedy je znalazłam jakieś pięć lat temu. A kiedy zobaczyłam twoje zdjęcie na obwolucie książki...

Podąła mu fotografię. Wziął ją, nie odrywając wzroku od twarzy dziewczyny.

- Ile masz lat? - spytał.

- Dwadzieścia.

Poczuł taką ulgę, że omal kolana się pod nim nie ugięły. Żeby to ukryć, szybko zerknął na zdjęcie podane mu przez Seline. Nic nie powiedział. A potem, tak samo jak Rodney, kiedy Selina po raz pierwszy pokazała mu fotografię, George Dyer podszedł ze zdjęciem do światła.

- Jak się nazywał? - spytał po chwili.

Selina przełknęła ślinę.

- Gerry Dawson. Ale to te same inicjały, co twoje.

- Możesz mi coś o nim powiedzieć?

- Niewiele. Zawsze mi powtarzano, że zginął przed moim narodzeniem. Moja matka nazywała się Harriet Bruce i umarła zaraz po moim narodzeniu, więc wychowała mnie babka i dlatego nazywam się Bruce.

- Twoja babka. Matka twojej matki.

- Tak.

- I znalazłaś zdjęcie...?

- Pięć lat temu. W jednej z książek matki. A potem... dostałam „Fiestę w Cala Fuerte”, zobaczyłam twoją fotografię na obwolucie i wydawało mi się, że to ta sama. Chciałam powiedzieć, ta sama twarz. Ta sama twarz. Ta sama osoba.

George Dyer nie odpowiedział. Cofnął się od drzwi i oddał dziewczynie zdjęcie. Potem zapalił papierosa, a kiedy zgasił zapałkę, umieścił ją dokładnie na środku popielniczki.

- Mówiłaś, że ci powiedziano, że ojciec nie żyje. Co przez to rozumiesz?

- No, bo mi tak powiedziano. Ale zawsze wiedziałam, że babka go nie lubiła. Nie chciała, żeby mama za niego wyszła. A kiedy zobaczyłam zdjęcie, pomyślałam, że może zasza jakaś pomyłka. Że ojciec jednak nie zginął. Może był ranny albo coś takiego i stracił pamięć. Zdarzały się takie historie.

- Ale nie twojemu ojcu. Twój ojciec nie żyje.

- Przecież...

- Nie jestem twoim ojcem - powiedział bardzo łagodnie.

- Przecież...

- Masz dwadzieścia lat, ja trzydzieści siedem. Zapewne wyglądam na o wiele więcej, ale w rzeczywistości liczę sobie tylko trzydzieści siedem lat. I nigdy nie brałem udziału w wojnie, przynajmniej nie tamtej.

- Ale zdjęcia...

- Coś mi się majaczy, że Gerry Dawson był moim kuzynem w drugiej linii. To, że jesteśmy do siebie podobni, to

jeden z tych wybryków dziedziczenia. Choć zapewne wcale nie byliśmy tacy uderzająco do siebie podobni. Zdjęcie twojego ojca i fotografię na obwolucie dzieli wiele lat. I nawet w swoich najlepszych czasach nie byłem tak przystojny jak on na tej fotografii.

Selina wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Nigdy jeszcze nie widziała równie opalonego mężczyzny. I przydałoby się, żeby ktoś przyszył mu guzik do koszuli, bo była rozchylona aż do pasa, tak że wyglądały zza niej ciemne włoski porastające tors. Rękawy były tylko raz podwinięte, jakby mu się nie chciało porządnie tego zrobić. Selina poczuła się dziwnie, jakby całkowicie straciła panowanie nad swoim ciałem. Mogło sobie robić, co chciało, ona nie miała na to wpływu. Nogi mogły się pod nią uginać, oczy wypełniać łzami, mogła nawet uderzyć tego mężczyznę, który stał przed nią i mówił, że nie jest jej ojcem. Czyli to wszystko prawda i Gerry Dawson rzeczywiście nie żyje.

Mężczyzna nadal coś mówił, chyba starał się być dobry.

- ...przykro mi, że przejechałaś taki kawał drogi. Ale nie martw się aż tak... Taka pomyłka mogła rzeczywiście się zdarzyć... W końcu...

Selina czuła się, jakby w gardle utkwiła jej kula, której nie może przełknąć. Twarz mężczyzny, przysunięta tak blisko do jej twarzy, zaczęła się rozmazywać, kołysać, jakby opadała na dno jeziora. Do tej pory Selinie było strasznie gorąco, a teraz nagle ogarnął ją chłód, na ramionach, plecach, nawet na głowie poczuła gęsią skórę.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Selina miała wrażenie, że jego głos dochodzi z bardzo daleka, i wtem, ku swemu nieopisanemu zażenowaniu, zdała sobie sprawę, że jednak nie zemdleje ani nie rzuci się z wściekłością na mężczyznę, tylko po prostu haniebnie zaleje się łzami.

## *Rozdział szósty*

Zapewne nie masz czegoś takiego jak chusteczka do nosa? - spytała.

Nie miał, ale przyniósł duże pudełko chusteczek higienicznych. Wyciągnęła jeden płatek, wytarła nos i powiedziała:

- Wszystkie chyba nie będą mi potrzebne.
- Nie byłbym taki pewny.
- Przepraszam. Nie chciałam. Chodzi mi o ten płacz.
- Jestem przekonany, że nie.

Wyjęła jeszcze jedną chusteczkę i znowu wyczyściła nos.

- Tak długo czekałam. I nagle ogarnął mnie taki chłód.
- Ochłodziło się. Słońce się schowało. Było kolejne ostrzeżenie przed burzą. Chodź, usiądź.

Ujął ją pod łokieć i zaprowadził na ogromną sofę, a ponieważ nadal drżała, owinał jej wokół nóg czerwono-białą narzutę i oświadczył, że przyda jej się brandy. Selina odparła, że nie lubi brandy, ale on i tak poszedł do kuchni. Dziewczyna przyglądała się, jak krząta się za barkiem, wyjmując butelkę, szklanekę, nalewa alkohol.

- Tak naprawdę, przydałoby mi się coś do jedzenia - stwierdziła, kiedy wrócił.
- Najpierw wypij to.

Szklanka była nieduża, gruba, a brandy mocna. Selina wzdrygnęła się. Kiedy już wypić, George zabrał pustą szklaneczkę. W drodze do kuchni poruszył popiół w komin-

ku, dorzucił kawałek drewna. Popiół uniósł się i opadł, pokrywając drewno cienką warstwą szarego kurzu. Po chwili, na oczach Seliny, w kominku błysnął żar i pojawiły się małe płomienie.

- Nie trzeba nawet rozdmuchiwać żaru... - powiedziała zaskoczona. - Samo się pali.

- Tutaj znajdują się na budowie kominków. Co byś zjadła?

- Wszystko jedno.

- Zupa. Chleb z masłem. Zimna pieczeń. Owoce?

- Może zupę?

- Z puszek...

- A nie sprawi ci to kłopotu?

- Na pewno mniej niż widok ciebie tonącej we łzach.

Selina poczuła się dotknięta.

- Nie chciałam - odparła.

Kiedy zupa się podgrzewała, wrócił i usiadł przy kominku, żeby porozmawiać z Seliną.

- Gdzie mieszkasz? - spytał, sięgając po papierosa i zapalając go szczapką z ogniska.

- W Londynie.

- Z babką?

- Babka nie żyje.

- Ale nie mieszkasz sama?

- Nie. Mieszka ze mną Agnes.

- Kto to jest Agnes?

- Moja niania. - I natychmiast pożałowała, że **nie** ugryzła się w język. - To znaczy... Kiedyś była **moją nianią**.

- I nie masz nikogo poza tym?

- Mam. Rodneya.

- Kto to jest Rodney?

Selina otworzyła szerzej oczy.

- To mój... prawnik.

- Czy ktoś wie, że tu jesteś?

- Agnes wiedziała, że się tu wybieram.

- A ten prawnik...?

- Nie było go. Wyjechał służbowo.

- W takim razie nie ma nikogo, kto by się o ciebie niepokoił? Zastanawiał, gdzie się podziewasz?

- Nie.

- No, to już coś.

Zupa w rondlu zaczęła pyrkotać. George Dyer poszedł do kuchni po talerz i łyżkę.

- Podobna mi się twój dom - odezwała się Selina.

- Naprawdę?

- Tak. Ma się takie miłe uczucie, że po prostu wyrósł. Jakby nic nie było planowane.

Pomyślała o londyńskim mieszkaniu, w którym ona i Rodney zamieszkają po ślubie. O tym, ile czasu poświęcali kwestii wykładzin, zasłon, właściwego oświetlenia, poduszek, koszy na śmiecie, kuchni, garnków i patelni.

- Wydaje mi się, że tak właśnie powinien wyglądać dom. Powinien się rozwijać, rosnąć. Wraz ze swoimi mieszkańcami.

George Dyer nalewał sobie whisky z wodą sodową. Milczał.

- Oczywiście, pewne rzeczy są niezbędne - ciągnęła. - Trzeba mieć dach nad głową, ogień i... chyba jakieś miejsce do spania.

Wrócił z kuchni z talerzem zupy i sterczącą zeń łyżką w jednej ręce, w drugiej trzymał swojego drinka. Selina wzięła od niego talerz.

- Jakim cudem wniosłeś łóżko na górę? - spytała.

- W częściach. Skręciliśmy je już na gorze.

- Jest bardzo duże.

- W Hiszpanii takie łóżko nazywa się *matrimonio*. Łóżko małżeńskie.

Selina była lekko zażenowana.

- Nie miałam pojęcia, w jaki sposób zostało tam umieszczone. Nie... nie powinnam tam była zaglądać. Przepraszam, ale chciałam obejrzeć wszystko przed twoim przyjazdem.

- I co teraz zrobisz? - spytał.

Selina popatrzyła na zupę, pomieszała w niej łyżką. Zupa była jarzynowa z makaronem w kształcie literek pływającym wśród warzyw.

- Chyba powinnam wrócić do domu.

- Bez biletu i pieniędzy?

- Gdyby udało mi się pożyczyć trochę, mogłabym wrócić z Tonim do San Antonio. I złapałabym najbliższy lot do Londynu.

- Nie kłamałem, kiedy ci mówiłem, że nie mam tych sześciuset peset. Między innymi właśnie dlatego pojechałem wczoraj do San Antonio: żeby wziąć trochę gotówki. Ale w banku w Barcelonie były jakieś kłopoty z przelewem i w tym momencie jestem goły jak święty turecki.

- Ale co ja mam zrobić z taksówkarzem? Muszę mu zapłacić.

- Może Rudolf o z „Cala Fuerte” przyjdzie nam z pomocą.

- To nie byle jaka prośba.

- Przyzwyczał się do tego.

- Nie chodzi tylko o sześćset peset za taksówkę. Będę musiała kupić bilet lotniczy.

- Tak, wiem.

Zupa nadal była za gorąca. Selina znowu ją zamieszała.

- Pewnie uważasz mnie za skończoną idiotkę.

Nie zaprzeczył.

- Oczywiście, powinnam była napisać albo coś w tym rodzaju, ale nie mogłam znieść myśli o długim czekaniu.

Ciągle milczał, a ona czuła, że musi się jakoś wytłumaczyć.

- Myślisz sobie, że można się przyzwycząić do braku ojca, zwłaszcza jeśli nigdy się go nie znało. Ale ja nigdy się do tego nie przyzwycząiałam.' Ciągle o nim myślałam. Rodney uważał, że mam obsesję na tym punkcie.

- Całkiem znośna obsesja.

- Pokazałam fotografię na obwolucie książki Agnes: wyglądała, jak rażona piorunem, tak bardzo przypominałeś mojego ojca. Właśnie dlatego postanowiłam tu przyjechać.

Agnes doskonale go znała. I nie wyszłabym na taką idiotkę, gdyby nie to, że ukradli mi portfel. Do tamtej chwili całkiem nieźle sobie radziłam. Wsiadałam do właściwych samolotów, a to nie moja wina, że walizka pojechała do Madrytu.

- Nigdy przedtem nie podróżowałaś sama?

W jego głosie brzmiało niedowierzenie.

- Och, mnóstwo razy. Ale tylko pociągami, do szkoły albo gdzieś. - Coś w wyrazie jego twarzy zmuszało do całkowitej szczerości. - Tyle że zawsze ktoś na mnie czekał... - Wzruszyła ramionami. - Sam wiesz.

- Nie, nie wiem, ale wierzę ci na słowo.

Zaczęła jeść zupę.

- Skoro mój ojciec był twoim kuzynem w drugiej linii, to musimy być spokrewnieni.

- W drugim pokoleniu. Jestem twoim cioteczno ciotecznym wujem.

- Brzmi strasznie odległe, prawda? Prawie jak rodzina królewska. Znałeś go?

- Nie, nie znałem. - 'Zmarszczył brwi. - Jak, mówiłaś, masz na imię?

- Selina.

- Selina. Cóż, gdybym potrzebował dowodów na to, że nie jesteś moją córką, to ten jest najlepszy.

- Co masz na myśli?

- Nigdy bym nie skrzywdził córki takim imieniem.

- A jak byś ją nazwał?

- Mężczyźni rzadko marzą o córkach. Najczęściej myślą o synach. Może George Dyer Junior. - Uniósł szklankę w toaście do swego wyimaginowanego syna, dopił i odstawił. - A teraz kończ tę zupę i ruszemy na poszukiwanie twojego taksówkarza.

Podczas gdy on wstawiał talerz i szklanki do zlewu i karmił głodną Perłę, Selina obmyła twarz i ręce w łazience, uczesała się, włożyła pończochy i buty. Kiedy się wynurzyła, George znowu stał na tarasie z czapką zsuniętą na tył

głowy i przez lornetkę spoglądał na zatokę. Selina stanęła przy nim.

- Który z tych jachtów jest twój?

- Tamten.

- Jak się nazywa?

- „Pełnia”.

- Wygląda na spory statek. Chyba nie sterujesz nim sam?

- To prawda. Zwykle mam załogę. Zawsze się niepokoję przy takich gwałtownych zmianach pogody - dodał. - Chocierne dużo morza jest wokół tego przylądka, a „Pełnia” potrafi zerwać się z kotwicy.

- Ale tutaj na pewno nic jej nie grozi.

- Za dużo tu skał w wodzie, żebym mógł spać spokojnie.

Selina zerknęła na niebo. Było zaciągnięte chmurami, ołowiane.

- Będzie kolejny sztorm?

- Tak, wiatr się zmienił. Prognoza była fatalna. - Opuścił lornetkę i popatrzył na dziewczynę. - Czy dopadła was ta wczorajsza burza?

- Goniła nas przez Pireneje. Ledwo udało nam się wyładować w Barcelonie.

- Nie mam nic przeciwko sztormowi na morzu, ale jeśli w czasie burzy znajdę się w powietrzu, trzęsę się jak osika. Gotowa?

- Tak.

- Pojedziemy samochodem.

Weszli do domu, George odłożył lornetkę na biurko, Selina wzięła torebkę i w duchu przez cały czas myślała o tym, żeby tu przyjechać, a teraz, zaledwie po kilku godzinach, opuszcza ten dom. Na zawsze. Sięgnęła po płaszcz.

- A to po kiego licha?

- To mój płaszcz. W Londynie jest chłodno.

- Wiesz, zdążyłem już zapomnieć. Daj, wezmę. - Przerzucił sobie płaszcz przez ramię i dodał: - Jedną pozytywną

stroną tego, że zgubiłaś walizkę, jest, że przynajmniej nie targasz ze sobą mnóstwa bagażu.

Wyszli z domu. Selina nie miała pojęcia, czy wygląd samochodu to zasługa i chluba jego właściciela, czy nie. Takie rzeczy oglądało się na studenckich maskaradach. Miała straszną ochotę spytać, czy George sam pomalował koła na żółto, ale zabrakło jej odwagi. Wsiedli. George położył Selinie jej płaszcz na kolana, potem uruchomił silnik, wrzucił bieg i próbował zawrócić. Selinie włosy stawały dęba, kiedy wóz to szarpał w przód, to rzucał się do tyłu. Zawisła nad nimi groźba katastrofy. W pewnym momencie dziewczynie wydało się, że uderzyli w mur. Po chwili tylne koła samochodu podskakiwały na wybojach stromej alejki. Selina zacisnęła naprzód, pod górę, wokół unosił się silny zapach benzyny, a gdzieś pod nogami rozlegały się złowróżbne pyknięcia. W zapadniętych fotelach były dziury, a podłoga, która zapewne nie pamiętała już czasów, gdy przykrywała ją wykładzina, przypominała dno kosza na śmiecie. Przez wzgląd na bezpieczeństwo George'a, Selina żywiła nadzieję, że jego statek bardziej nadaje się do pływania niż ten pojazd do jeżdżenia.

A mimo to było coś bardzo przyjacielskiego w tej przejażdżce z George'em Dyerem. Dzieci piszczały ze śmiechu, machały, wykrzykując radosne powitania. Kobiety, które siedziały w ogrodach albo plotkowały w drzwiach domów, obracały się z uśmiechem i także pozdrawiały przejeżdżającego samochód. Wszyscy mężczyźni, i ci, którzy siedzieli przed kafejkami, i ci, którzy wracali z pracy, przystawali i rozstępowali się, robiąc miejsce dla rozklekotanego wozu i przyjaźnie wołali po hiszpańsku coś, czego Selina nie rozumiała, a George Dyer owszem.

- Co oni mówili?
- Pytali, gdzie znalazłem tę nową *señorite*.
- I to wszystko?
- A to nie wystarczy?

Z fantazją zajechali pod hotel „Cala Fuerte” i przystanęli tak gwałtownie, że spod kół zerwał się tuman białego kurzu, pokrywając stoliki i drinki klientów, którzy siedzieli na tarasie baru Rudolfa i rozkoszowali się pierwszym wieczornym aperitifem.

- Choroba jasna - dobiegło ich przekleństwo jakiegoś Anglika, ale George nie zwrócił na niego uwagi.

Wyskoczył z wozu, nie zwracając sobie głowy otwieraniem drzwi. Ruszył do baru, za kotarę z łańcuszków, Selina za nim.

- Rudolf o!

Rudolfo stał za kontuarem.

- Nie musisz się tak drzeć - powiedział po hiszpańsku.

- Rudolfo, gdzie taksówkarz?

Rudolfo się nie uśmiechał. Nalał drinki do szklanek stojących na tacy.

- Taksówkarz sobie pojechał - stwierdził.

- Pojechał? Bez pieniędzy?

- Owszem, z pieniędzmi. Z sześciuset pesetami.

- Kto mu zapłacił?

- Ja - odparł Rudolfo. - I chcę z tobą porozmawiać. Poczekaj, aż obsłużę klientów.

Wyszedł zza baru, minął ich bez słowa i zniknął za kotarą. Selina wpatrywała się w George'a.

- Czy jest zły?

- Powiedziałbym, że coś go rozdrażniło.

- Gdzie jest Toni?

- Pojechał. Rudolfo mu zapłacił.

Dopiero po kilku sekundach do Seliny dotarło, jakie to za sobą pociąga skutki.

- Ale skoro pojechał... To jak ja się dostanę z powrotem do San Antonio?

- Bóg raczy wiedzieć.

- Będziesz musiał mnie tam zawieźć.

- Nie ma mowy, żebym dziś wieczorem odwiózł cię do San Antonio. A nawet gdyby, to i tak nadal nie mamy za co kupić ci biletu lotniczego.

Selina przygryzła wargę.

- Przedtem Rudolfo wydawał się taki miły.

- Jak każdy - ma dobre i złe nastroje.

Wrócił Rudolfo, zachręściła za nim zasłona z łańcuszków, odstawił tacę i zwymyślał George'a.

Zrobił to po hiszpańsku, może i słusznie, bowiem słownictwo, jakiego używał, nie nadawało się dla delikatnych uszu młodej angielskiej *señority*. George odważnie stawiał mu czoło. W miarę jak ich okrzyki przybierały na sile, Selina - nie mogąc większość stwierdzeń odnosi się do niej - prosiła:

- Och, powiedzcie, o co chodzi.

Albo:

- Czy moglibyście choć część mówić po angielsku, żebym zrozumiała?

Ale żaden nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

W końcu kłótnię przerwało pojawienie się grubego Niemca, który życzył sobie kufel piwa. Podczas gdy Rudolfo poszedł za bar, żeby obsłużyć klienta, Selina skorzystała z okazji i pociągnęła George'a za rękaw.

- Co się stało? Powiedz, co się stało?

- Rudolfo jest wściekły, bo powiedziałaś, że będziesz czekać w Casa Barco, i sądził, że taksówkarz będzie czekał z tobą. Nie lubi, kiedy kierowcy tkwią u niego w barze i zalewają się w trupa. A ten wyjątkowo nie przypadł mu do gustu.

-Och.

- Właśnie, och.

- To wszystko?

- Nie, oczywiście, że nie. W końcu, żeby się pozbyć intruza, Rudolfo zapłacił taksówkarzowi. Teraz mówi, że jestem mu winny sześćset peset i jest cały w strachu, bo się boi, że mu ich nie oddam.

- Ależ ja mu zapłacę... Obiecuję...

- Nie w tym rzecz. On chce je dostać natychmiast.

Wyczuwając napiętą atmosferę, gruby Niemiec wyniósł się ze swoim piwem na dwór. Nie zdążył jeszcze na dobre

wyjść, kiedy Rudolfo i George szykowali się, by znowu skoczyć sobie do oczu, ale Selina szybko wkroczyła między nich.

- Och, proszę, panie... Chciałam powiedzieć: Rudolfo. To wszystko moja wina. Obiecuję, że odzyskasz pieniądze, tylko, że widzisz, ukradziono mi portfel, w którym były wszystkie...

Rudolfo już to kiedyś słyszał.

- Mówiłaś, że poczekaś w Casa Barco. Z taksówkarzem.

- Nie wiedziałam, że to tak długo potrwa.

- A w ogóle - znowu zaatakował George'a Rudolfo - gdzieś ty się podziewał? Jedźcie sobie taki do San Antonio, nie wraca, nikt nie wie, co się z nim dzieje...

- A co to cię, do cholery, obchodzi? Nie twój interes, gdzie jeżdżę i co robię!

- Mój interes, zwłaszcza jeśli muszę pokrywać twoje rachunki.

- Nikt cię prosił, żebyś płacił. Poza tym to nie był mój rachunek. I dodatkowo schrzaniłeś sprawę, bo teraz *señorita* nie ma jak wrócić do San Antonio.

- To sam ją sobie odwieź!

- Jeszcze czego! - ryknął George, po czym wypadł z baru, jednym susem pokonał schody tarasu i wskoczył do samochodu. Selina popędziła za nim.

- A co ze mną?

Obejrzał się na nią.

- To jak, jedziesz czy zostajesz?

- Nie chcę tu zostawać.

- W takim razie jazda.

Nie było wyboru. Pół miasteczka i wszyscy klienci Rudolfa rozkoszowali się tą scenką. George przechylił się, żeby otworzyć drzwiczki, i Selina usiadła obok niego.

W tej samej chwili, niczym na znak dany przez jakiegoś niebiańskiego inspicjenta, rozszalała się burza.

Niebo przecięła błyskawica, zadudnił grom, nagły poryw wiatru szarpał koronami sosen. Obrusy przykrywające stoli-

ki na tarasie „Cala Fuerte” załopotwały jak słabo naciągnięte żagle. Ze stojaka przed sklepem Marii zerwał się kapelusz i niczym ogromne różowo-żółte koło potoczył się główną ulicą. Znad drogi poderwał się wirujący kurz. Po wietrze lunął deszcz, nagły, silny. Krople były tak wielkie i ciężkie, że po chwili rynsztoki wypełniły się wodą.

Wszyscy popędzili do domów. Klienci Rudolfa, plotkujące kobiety, włączące się po placu dzieci, dwaj mężczyźni, którzy pracowali na drodze. Zapanowała atmosfera bliskiej klęski, jakby zawyła syrena przeciwlotnicza, i w jednej chwili plac opustoszał. Nie było na nim żywej duszy. Z wyjątkiem Seliny, George'a i maleńkiego samochodziku George'a.

Selina próbowała wysiąść, ale George zapalił silnik i pchnął ją z powrotem na siedzenie.

- Nie możemy się schować jak inni? - spytała.
- Po co? Chyba nie boisz się paru kropel deszczu?
- Paru kropel deszczu?

Siedział z kamienną miną, nie racząc odpowiedzieć.

- Czy tego dachu się nie podnosi?

Wrzucił bieg i ruszyli gwałtownie, niczym startująca rakietka.

- Gdzieś od dziesięciu lat - przekrzyczał hałas samochodu, deszczu i wiatru.

Byli już cali mokrzy, Selina miała wody po kostki. Zastanawiała się, czyby się nie ewakuować.

- W takim razie po co mieć kabriolet, skoro dach się nie podnosi?

- Och, przestań nudzić.
- Ja nie nudzę, tylko...

Przyspieszył i jej słowa zdławił okrzyk przerażenia. Pędzili drogą, z piskiem opon biorąc zakręty i rozchlapując wokół siebie kaskady żółtego błota. Morze nabrało koloru ołowiu, rozkoszne ogródki już zniszczył wiatr. W powietrzu ciągle coś się unosiło - liście, źdźbła trawy, kolki - a kiedy przejechali wzgórze i znaleźli się na drodze do Casa Barco,

woda ściśnięta między wysokimi murami przypominała głęboki strumień, a jazda samochodem George'a przywodziła na myśl spływ kajakowy. Dzięki sile grawitacji woda spływała po schodach wiodących do zatoki, ale i tak zdołała uszkodzić stary składzik na sieci, w którym George parkował samochód, a który był teraz całkowicie zalany.

Mimo to George wjechał do niego, zatrzymując się centymetr przed ścianą. Wyłączył silnik i wyskoczył, wołając:

- No, rusz się. Wyłaż i pomóż mi zamknąć drzwi.

Selina była zbyt przerażona, by się buntować. Wysiadła prosto w głęboką na dziesięć centymetrów, brudną, lodowatą wodę i pomogła George'owi zamknąć rozwalające się drzwi. W końcu udało im się je zatrzasać, kiedy się o nie oparli z całej siły. Dopiero wtedy George wsunął na miejsce prymitywny rygiel. To uczyniwszy, chwycił dziewczynę za rękę i pociągnął do Casa Barco. Niebo rozcięła kolejna błyskawica, po niej zahuczał grzmot tak blisko, że Selina bała się, czy dach się nie zawali.

Nawet w domu nie poczuła się bezpieczniej. George od razu wyszedł na taras i zaczął się zmagać z okiennicami. Wiatr był tak silny, że trzeba je było odrywać od ścian domu. Doniczki już się przewracały, część kwiatów została na brzegu murka, część spadła na taras, gdzie leżały wśród błota i kawałków potłuczonej gliny. Kiedy George w końcu uporał się z okiennicami i drzwiami, dom wydawał się ciemny, zupełnie inny. Gospodarz próbował zapalić światło, ale nie było prądu. Deszcz lejący się strugami na palenisko wygasił ogień, w studziencie bulgotało, jakby lada chwila woda miała wystąpić poza ocembrowanie.

- Nic nam się nie stanie? - niepokoila się Selina.

- A dlaczego miałoby coś się stać?

- Boję się grzmotów.

- Grzmot nic ci nie zrobi.

- Ale błyskawica owszem.

- W takim razie bój się błyskawic.

- Boję się. Błyskawic też się boję.

Uważała, że powinien ją przeprosić, ale on tylko pomacał się po kieszeni i wyciągnął z niej przemoczoną paczkę papierosów. Cisnął ją do mokrego paleniska i zaczął szukać po pokoju, w końcu natknął się na jedną w kuchni. Wyjął papierosa, zapalił, a skoro już tam był, nalał sobie solidną porcję whisky. Podszedł ze szklanką do studni, zanurzył wiadro w wodzie, wyciągnął pełne i z wprawą nabytą dzięki wieloletniej praktyce, nalał z niego do szklanki, nie roniąc ani kropli.

- Napijesz się czegoś? - spytał.

- Nie, dziękuję.

Wychylił łyk whisky i stał, przyglądając się dziewczynie, która nie wiedziała, czy śmieje się z niej, czy nie. Oboje byli mokrzy, jakby wpadli do basenu. Selina zrzuciła kompletnie zniszczone buty i stała teraz w powiększającej się kałuży wody. Ze spódnicy kapały krople, włosy zwisały w strąkach wokół twarzy i szyi. Ale przemoczenie najwyraźniej nie przeszkadzało George'owi Dyerowi tak bardzo, jak przeszkadzało jej.

- Sądzę, że jesteś przyzwyczajony do czegoś takiego - stwierdziła, próbując wyjąć dół sukienki. - To w ogóle nie było potrzebne. Równie dobrze mogliśmy się gdzieś schronić i przeczekać burzę. Rudolfo pozwoliłby nam...

George odstawił szklankę, aż zadzwieczała, przeszedł przez pokój i susami pobiegł na górę.

- Łap! - zawołał, zrzucając piżamę. - I to.

Za piżamą poleciał szlafrok frotte.

- I to.

Ręcznik. Mężczyzna stał oparty o poręcz i patrzył na Selinę.

- Idź do łazienki. Rozbierz się, wytrzyj porządnie i przebierz.

Selina zgarnęła rzeczy. Kiedy otwierała drzwi do łazienki, z galeryjki pofrunęła mokra koszula, a za nią kompletnie przemoczone dżinsy. Dziewczyna szybko zamknęła drzwi na zasuwkę.

Kiedy się wynurzyła - sucha, w o wiele za dużych ubraniach, z turbanem z ręcznika owiniętym wokół głowy - okazało się, że w pokoju zaszły pewne zmiany.

Ogień znowu płonął wesoło, paliły się trzy, cztery świece wetknięte w butelki po winie. Z radia tranzystorowego dobiegała muzyka flamenco, a George Dyer nie tylko się przebrał i obmył, ale także ogolił. Miał na sobie biały sweter polo, parę niebieskich spodni i czerwone skórzane kapcie. Siedział przed kominkiem, plecami do ognia, czytając jedno z brytyjskich czasopism. Mimo otoczenia wyglądał zupełnie jak angielski dżentelmen w swojej posiadłości wiejskiej. Zerknął na wchodzącą Selinę.

- Jesteś wreszcie.

- Co mam zrobić z moimi mokrymi rzeczami?

- Rzuć je na podłogę w łazience. Jutro rano zajmie się nimi Juanita.

- Kim jest Juanita?

- Moją sprzątaczką. To siostra Marii. Wiesz, kto **to jest** Maria? Prowadzi sklep spożywczy w miasteczku.

- Matka Tomeu.

- A więc poznałaś już Tomeu.

- Tomeu przyprowadził nas tutaj dzisiaj. Pilotował nas na rowerze.

- Wśród różnych rzeczy w jego koszu był też i kurczak. Teraz piecze się w piekarniku. Usiądź przy kominku, ogrzej się. Należę ci drinka.

- Nie chcę żadnego drinka.

- Nigdy nie pijesz?

- Moja babka tego nie pochwałała.

- Z twoich opowieści wynika, że ta **twoja babka to, jeśli** wybaczysz określenie, kawał starej jędzy.

Selina uśmiechnęła się mimowolnie.

- Ale nią nie była.

George'a zaskoczył ten uśmiech. Nie **odrywając od niego** wzroku, spytał:

- W której części Londynu mieszkasz?

- Na Queen's Gate.  
- Queen's Gate. SW7. Niezła dzielnica. I bardzo ładna. Pewnie niania zabierała cię na spacer do Kensington Gardens?

- Tak.

- Masz rodzeństwo?

- Nie.

- Wujów, ciotki?

- Nie. Nikogo.

- Nic dziwnego, że tak rozpaczliwie potrzebowałeś ojca.

- Nie potrzebowałam rozpaczliwie. Po prostu chciałam go mieć.

George zakołysał szklanką, przyglądając się migotliwemu, bursztynowemu płynowi.

- Wiesz, przyszło mi na myśl, że ludzie, którzy... są nam bliscy... żyją, dopóki jakiś wścibski głupiec nie przyjdzie i nie powie, że są już martwi.

- Już wiele lat temu powiedziano mi, że ojciec nie żyje.

- Wiem, ale dziś powiedziano ci to po raz drugi. I to ja go zabiłem.

- To nie była twoja wina.

- Ale mimo wszystko przepraszam. Może jednak przydałby ci się drink - dodał łagodniejszym tonem. - Na rozgrzewkę.

Pokręciła głową, więc dał spokój, ale poczuł się niezręcznie. Przyzwyczał do Frances, która dotrzymywała mu kroku, szklaneczką za szklaneczką, nawet jeśli pod koniec wieczoru zaczynała trochę niewyraźnie mówić i była gotowa czubić się o byle co; za to następnego dnia zawsze miała czysty umysł, lśniące oko, zdradzało ją jedynie leciutkie drżenie palców, kiedy sięgała po dziesiątego papierosa.

Dzieciak. Popatrzył na Selinę. Jej cera była barwy kości słoniowej, kremowa, bez śladu zmarszczek. Teraz zdjęła ręcznik i zaczęła wycierać włosy. Jej uszy - wzruszające, delikatne niczym skórka na szyjce niemowlęcia - odcinały się wyraźnie na ich tle.

- I co zrobimy? - spytała.
- Z czym?
- Z pieniędzmi. Oddaniem długu Rudolfowi, odesłaniem mnie do Londynu.
- Nie wiem. Będę musiał się nad tym zastanowić.
- Mogłabym nadać telegram do mojego banku w Londynie, żeby mi coś przysłali.
- Rzeczywiście, mogłabyś.
- Długo to potrwa?
- Trzy, cztery dni.
- A nie sądzisz, że powinnam może wynająć pokój w hotelu „Cala Fuerte”?
- Wątpię, żeby Rudolfo zgodził się cię przyjąć.
- Właściwie trudno go winić. Nawet trzeźwy Toni był dość okropny. Pijany musiał być naprawdę odrażający.
- Wątpię, żeby przestraszył Rudolfa.
- W takim razie... gdzie mam się zatrzymać?
- Chyba nie masz wyboru. Tutaj. Prześpisz się na *mattiniale*. Wyniosłbym się na „Pełnię”, ale nie przy tej pogodzie. Nie pierwszy raz spędzę noc na sofie.
- Jeśli już ktoś miałby spać na sofie, to ja.
- Jak sobie życzysz. Dla mnie to bez różnicy. Przykro mi, że Casa Barco nie jest wygodniej urządzone, ale w tej chwili niewiele mogę na to poradzić. Nigdy nie przypuszczałem, że będę tu gościł córkę.
- Ale ja nie jestem twoją córką.
- W takim razie umówmy się, że jesteś George'em Dy-  
erem Juniorem.

## *Rozdział siódmy*

Sześć lat temu, kiedy George Dyer przyjechał do Cala Fuerte, by tam zamieszkać na stałe, Juanita stawiała się u jego drzwi i z wielką godnością oświadczyła, że chciałaby u niego pracować. Była żoną rolnika z San Estaban, miała czwórkę dzieci, które chodziły do miejscowej szkółki i bieda zawsze była ich wierną towarzyszką. Juanita potrzebowała pracy, bo potrzebowała pieniędzy, ale nic w wyprostowanej, godnej postawie na to nie wskazywało. Drobna kobieta o krępej, kwadratowej sylwetce pracującej chłopki posiadała czarujący uśmiech, któremu fakt, że nigdy nie szorowała zębów, odbierał nieco urody.

Co rano wstawała o wpół do piątej, żeby oporządzić swój dom, nakarmić rodzinę, wysłać ją do pracy, a potem schodziła z San Estaban do Cala Fuerte i o wpół do ósmej pojawiała się przed Casa Barco. Sprzątała i gotowała u George, prała, prasowała, czesała kota, pielęła ogród i nie broniła się - jeśli taka była potrzeba - przed wsiadaniem na szalupę i popłynięciem na „Pełnię”, żeby tam wyszorować pokład.

Kiedy ukazała się „Fiesta w Cala Fuerte”, George podarował Juanicie jeden z egzemplarzy autorskich z dedykacją na stronie tytułowej: „Dla Juanity od George'a Dyera z wyrazami sympatii i szacunku”, i książka stała się dla niej chyba najcenniejszym skarbem po odziedziczonym po babce łożu małżeńskim i lnianych prześcieradłach, ciężkich

jak skóra, które sama wyhaftowała. Chłopka nie mówiła po angielsku, czytać nie potrafiła wcale, ale książka zajmowała honorowe miejsce w jej domu, ustawiona wśród koronek, niczym ołtarzyk. Juanita nigdy sama nie weszła do domu George'a. Uważałyby to za złamanie zasad dobrego wychowania. Dlatego siedziała na zewnątrz, na murku, z dłońmi złożonymi na kolanach, nogami skrzyżowanymi w kostkach, niczym królowa, czekając, aż Dyer wyjdzie, otworzy drzwi i wpuści ją do środka. Witał ją: *Buenos dias, Juanita*, wymieniali kilka grzecznościowych uwag o pogodzie, potem pytała, jak się *señorowi* spało. George nigdy nie zrozumiał, skąd się wziął ten przedziwny obyczaj, ale wolał nie pytać. Może miało to jakiś związek z tym, że nie był żonaty.

Tego ranka po burzy obudził się o siódmej. Spał na sofie, bo w końcu nie miał sumienia zaanektować wygodniejszego łóżka. Było bardzo cicho. Wiatr ucichł, a kiedy George wstał i poszedł na taras otworzyć okiennice, zobaczył, że poranek jest pogodny i spokojny, na niebie ani śladu chmurki. Świat pachniał wilgocią, unosił się zapach słodczy i deszczu, choć woda zatoki nadal była mętna po burzy i trzeba będzie usunąć część szkód wyrządzonych przez wichurę i ulewę. Na początek Dyer poustawiał bezlitośnie porozrzucane przez wiatr wiklinowe meble i starł z blatu stołu kałuże wody. Potem wrócił do domu, zapalił papierosa i pomyślał, że warto by zaparzyć kawy. Niestety, czajnik okazał się pusty, a George nie chciał wyciągać wody ze studni, żeby nie obudzić Seliny.

Rozejrzał się za ubraniami, ale sweter i spodnie, które miał na sobie wczoraj wieczorem, nie nadawały się, zajrzał więc na górę po coś innego. Selina spała jak dziecko, tonąc w piżamie George'a i olbrzymim łóżku. Poruszając się cicho, złapał pierwsze spodnie i koszulę, które mu wpadły pod rękę i zszedł z powrotem. Wziął prysznic (po wczorajszej ulewie woda była lodowata), ubrał się i poszedł otworzyć drzwi Juanicie. Jeszcze się nie pokazała, ale jeśli drzwi były szeroko otwarte, wchodziła do środka i od razu

zaczynała przyrządzać śniadanie. Potem znowu wyszedł na taras, zbiegł do przystani, odcumował szalupę i powiosłował do „Pełni”.

Wyglądało na to, że zniosła sztorm ze zwykłym spokojem. Sprawdził cumy, potem wyszedł na pokład. Okazało się, że wykazał się dużą przezornością, kiedy osłonił sterówkę brezentową płachtą, bo choć materiał nasiąkł wodą, w samym pomieszczeniu było dość sucho. Poluzował kilka naciągniętych fałów i zszedł pod pokład, by upewnić się, czy luki nie przepuściły deszczu. Uspokojony wrócił do sterówki, oparł się o listwę uszczelniającą luk i zapalił papierosa.

Zanosiło się na bardzo ciepły dzień. Już teraz para unosiła się znad mokrego pokładu i brezentowej płachty, którą rozciągnął do wysuszenia. Powietrze było tak przejrzyste, że widział o wiele dalej niż krzyż nad San Estaban, i tak spokojne, że George słyszał każde słowo, które po cichu mówił rybak do swego towarzysza na łodzi. Woda leciutko się marszczyła. Małe fale rozbijały się o dziób szalupy, ale jacht kołysał się lekko, jakby oddychał.

Wyciszony, uspokojony przez znajome otoczenie, zapachy i odgłosy, George czuł, jak się odpręża. Może spokojnie rozważyć to, co go dziś czeka, nadać jakąś hierarchię problemom, które go osaczyły.

Po pierwsze sprawa Rudolfa. Kłótnia to nic wielkiego; nie pierwsza i nie ostatnia. Ale Rudolfo nie jest zamożny i owe sześćset peset trzeba będzie oddać, i to szybko. George nie stać na ryzyko czekania, aż jego pieniądze dotrą z barcelońskiego banku. Takie opóźnienie zdarza się nie pierwszy raz, kiedyś musiał czekać na pieniądze prawie miesiąc. Jeśli zaś wyśle się telegram do banku Seliny, istnieje prawdopodobieństwo, że za jakieś trzy, cztery dni pieniądze znajdą się w San Antonio. Jeśli Rudolfo w to uwierzy, bardzo chętnie przyjmie Selinę do hotelu, dzięki czemu stanie się zadość przyzwoitości i nikt w Cala Fuerte nie ucierpi na skutek urażenia swych delikatnych uczuć.

Z drugiej strony jest jeszcze Frances. Frances pożyczyła-  
by mu sześćset peset i pieniądze na powrotny bilet dla Se-  
lmy, gdyby się zmusił, by ją poprosić. Ale Frances uznała-  
by, że to o czymś świadczy. Jeśliby zaciągnął u niej dług,  
nie zrobiłby tego dla Rudolfa ani dla tej dziewczyny, która  
przyjechała tu szukać ojca, ale na swój własny rachunek,  
bowiem tylko on mógłby go potem uregulować.

Zauważył jakiś ruch w Casa Barco. Dostrzegł Juanitę,  
która wieszła na tarasie biało-czerwona narzutę z sofy, że-  
by ją wywietrzyć. Juanita miała na sobie różową sukienkę  
i brązowy fartuch. Schowała się w domu, ale po chwili znów  
się zjawiła, tym razem ze szczotką, i zaczęła zmiatać po-  
tłuczone skorupy doniczek, rozbitych przez wczorajszą wi-  
churę.

George zastanawiał się, jak wyjaśnić obecność Seliny  
w swoim łóżku. Zawsze bardzo się pilnował, żeby nie doszło  
do takiej sytuacji, a jeśli chodzi o Juanitę, nie miał poję-  
cia, jak by na coś takiego zareagowała. Nie chciał jej oszu-  
kiwać, ale też nie chciał jej stracić. Powiedziałyby prawdę,  
ale brzmiała tak nieprawdopodobnie, że wątpił, by prostod-  
uszna Juanita to przełknęła. A może powiedzieć, że Seli-  
na to kuzynka, która wpadła go odwiedzić i ze względu na  
burzę nie mogła wrócić do hotelu. Po dłuższym namyśle  
uznał, że to najlepsza wersja, a poza tym mniej więcej bli-  
ska prawdy. Wyrzucił papierosa za burtę, zszedł do szalupy  
i niespiesznie popłynął do Casa Barco.

Juanita stała w kuchni, gotując wodę na kawę dla Geor-  
ge'a.

- *Buenos dias*, Juanita.

Odwróciła się z promiennym uśmiechem.

- *Buenos dias, señor*.

Postanowił chwycić byka za rogi.

- Nie obudziłaś *señority*, wyciągając wodę ze studni?

- Nie, *señor*, śpi jak aniołek.

George zerknął bystro na Juanitę. W jej głosie brzmiała  
liryczna nuta, oczy błyszczały ze wzruszenia. Szczerze mó-

wiać, spodziewał się innej reakcji. Nie zdążył nawet opowiedzieć historyjki o kuzynce, a tu Juanita już się rozplywa... Nad czym?

- W takim razie zagłądałaś do niej... na górę?

- *Si, señor*. Poszłam sprawdzić, czy się obudziła. Ale, *señor* - w jej głosie zadźwięczał łagodny wyrzut - dlaczego nigdy pan nie wspomniał, że ma córkę?

George sięgnął za siebie, żeby przytrzymać się sofy, potem na nią opadł.

- Nigdy ci nie wspomniałem? - powtórzył jak ten głupek.

- Nie, ani słówkiem. Kiedy Maria powiedziała mi dzisiaj rano, jakem przechodziła przez Cala Fuerte, że przyjechała do pana córka, nie wierzyłam. Ale widzę, że to prawda.

George przełknął ślinę.

- Maria ci powiedziała - odparł z wymuszonym spokojem. - A kto powiedział Marii?

- Tomeu.

- Tomeu?

- *Si, señor*. Panienkę przywiózł tu taksówkarz. Wiele godzin przesiedział w barze u Rudolfa i powiedział Rosicie, która tam pracuje, że zawiózł córkę *señor* Dyera do Casa Barco. Rosita powiedziała Tomeu, kiedy kupowała proszek do prania, Tomeu powiedział Marii, a Maria Juanicie.

- I reszcie wioski, założę się - mruknął George po angielsku, w duchu przeklinając Señinę.

- *Señor?*

- Nic takiego, Juanita.

- Nie cieszy się pan, że ma tu córkę?

- Tak, oczywiście.

- Nie wiedziałam, że *señor* był żonaty.

George zawahał się chwilę, wreszcie odparł:

- Jej matka nie żyje.

Juanita była zdruzgotana.

- *Señor*, nie wiedziałam. I kto się zajął *señorita*?

- Jej babka - odrzekł, zastanawiając się, jak długo uda

mu się unikać mówienia prawdy. - Juanito, powiedz... czy Rudolfo wie, że... że *señorita* to moja córka?

- Nie widziałam Rudolfa, *señor*.

Woda w czajniku się zagotowała i kobieta wlała ją do glinianego dzbanka, przeznaczonego wyłącznie do kawy. Napój pachniał wspaniale, ale to nie podniosło George'a na duchu. Juanita przykryła dzbanek wieczkiem.

- *Señor*, ona jest bardzo piękna - stwierdziła.

- Piękna?

Wydawał się zaskoczony i tak rzeczywiście było.

- Ależ oczywiście, że jest piękna.

Juanita przeszła obok niego z dzbankiem, który wynosiła na taras.

- *Señor* nie musi przede mną udawać.

Zjadł śniadanie. Pomarańcza, słodka ensamada i cały dzbanek kawy. Juanita kręciła się po domu. Słychać było ciche kroki, szuranie miotły - sprzątała. Po jakimś czasie wynurzyła się z okrągłym koszem brudnej bielizny.

- *Señorita* bardzo wczoraj przemokła, powiedziałem jej, żeby zostawiła ubrania na podłodze w łazience.

- Si, *señor*, znalazłam je.

- Upierz je jak najszybciej, Juanito. Panienska nie ma nic innego.

- Si, *señor*.

Minęła go i zeszła po stopniach do swej niewielkiej pralni, gdzie w ogromnej balii, dużą i twardą jak cegła kostką mydła, szorowała na tarze prześcieradła, skarpetki i koszule, wszystko bez różnicy w gorącej wodzie.

\* \* \*

Najważniejsze teraz to pójść do Rudolfa. George przemknął przez pomieszczenie, zerkając na górę, ale nie dobiegł stamtąd żaden odgłos, żaden ruch. W duchu przeklął swego gościa, ale nie budził dziewczyny i wyszedł, a ponieważ nie chciało mu się otwierać drzwi garażu i uruchamiać samochodu, postanowił się przespacerować.

I gorzko tego potem żałował. Bowiernie nie zdążył dojść do hotelu „Cala Fuerte”, kiedy co najmniej siedem osób pogratulowało mu, że przyjechała do niego córka. Po każdej takiej rozmowie George nieco przyspieszał kroku, jakby czekały go tajemnicze sprawy nie cierpiące zwłoki. Usiłował zachowywać się, jakby nie marzył o niczym innym, tylko o pogawędce na te nowe, radosne tematy, ale, niestety, czas go gonił. Dzięki temu do hotelu dotarł zasapany, mokry od potu, czując się schwyty w pułapkę. Dysząc ciężko stanął przed barem.

- Rudolfo! Mogę wejść? - zawołał.

Rudolfo stał za ladą, wycierając szklanki. Kiedy dostrzegł George'a, jego dłonie zatrzymały się w pół ruchu. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- George, drogi przyjacielu.

Odstawił szklankę i wyszedł zza baru, jakby chciał uściskać swego druha. George ostrożnie mierzył go wzrokiem.

- Nie uderzysz mnie?

- To ty powinienesz mnie uderzyć. O niczym nie wiedziałem. Dopiero dziś rano Rosita oznajmiła mi, że *señorita* jest twoją córką. Dlaczegoś mi tego nie powiedział wczoraj? Że to twoje dziecko? Nawet nie wiedziałem, że masz dziecko. I do tego takie piękne...

- Rudolfo, doszło do pewnego nieporozumienia...

- I to ja zbłądziłem. Wybacz mi, proszę. Co byś sobie o mnie pomyślał? Przecież nie będę nękał starego przyjaciela i jego dziecka!

-Ale...

Rudolfo uniósł dłoń.

- Nie ma żadnego „ale”. Sześćset peset, cóż... - Wzruszył ramionami. - Piechotą nie chodzi, ale nie zbankrutuję od tego.

- Rudolfo...

- Drogi przyjacielu, jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, to pomyślę, że mi nie przebaczyłeś. Chodź, napijmy się razem. Stawiam koniak.

Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Rudolfo nie chciał słuchać prawdy, a George nie będzie mu jej na siłę wpychał do gardła.

- Wolałbym kawy - odparł słabo.

Rudolfo pobiegł na zaplecze zamawiając kawę, a George usiadł na jednym ze stołków i zapalił papierosa.

- Dostaniesz swoje pieniądze - powiedział, kiedy tamten wrócił. - Wyślemy telegram do Londynu...

- Będziesz musiał pojechać do San Antonio, żeby go nadać.

- Cóż, wszystko jedno. Jak sądzisz, ile to może potrwać?  
Rudolf o wzduszał ramionami.

- Dwa, trzy dni. Może tydzień. To bez znaczenia. Mogę poczekać tydzień na sześćset peset.

- Dobry z ciebie człowiek, Rudolfo.

- Ale łatwo wpadam w gniew. Wiesz o tym.

- I tak dobry z ciebie człowiek.

Zjawiła się kawa, przyniesiona przez Rositę, nieświadome niczego źródło kłopotów. George przyglądał się, jak stawia przed nim mikroskopijną filiżaneczkę, i jęknął w duchu, że wpadł na całego. I nagle, z lekkim ściśnięciem serca uświadomił sobie, że teraz już nie musi prosić o drugą przysługę. Skoro Selina jest jego córką, nie ma sensu, by prznosiła się do hotelu „Cala Fuerte”.

\* \* \*

Dopiero Perła przebudziła Selinę. Kotka całą noc spędziła na dworze i teraz przyszła zmęczona po polowaniu, szukając jakiegoś miękkiego miejsca do drzemki. Przez taras weszła do domu, leciutko wbiegła na górę i prawie bezszelestnie wskoczyła na łóżko. Selina otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą biały, puszysty pyszczek Perły. Ślepia Perła miała jasnozielone, źrenice niczym dwie szparki, tryskające zadowoleniem. Przez chwilę mościła się na łóżku, wijąc sobie gniazdko, po czym wtuliła miękkie, delikatne ciało w Selinę i błogo zasnęła.

Selina przekręciła się na bok i poszła w jej ślady.

Drugim razem przebudzono ją bardziej gwałtownie.

- Ej, wstawaj, czas się obudzić. Już jedenasta. Wstawaj.

Ktoś nią potrząsał i kiedy uchyliła powieki, zobaczyła George'a Dyera siedzącego na brzegu łóżka.

- Czas się obudzić - powtórzył.

- Mmmm?

Kotka nadal leżała na kołdrze, rozkosznie ciężka i ciepła. George wydawał się olbrzymi. Był ubrany w niebieską bawełnianą koszulę, na twarzy zagościł ponury wyraz. Selina w duchu aż lepszej pory.

- Wstawaj.

- A która to?

- Mówiłem ci. Dochodzi jedenasta. Muszę z tobą porozmawiać.

- Och!

Podciągnęła się, szukając poduszek, które dziwnym trafem zniknęły. George wstał, podniósł je z podłogi i wsunął jej pod plecy.

- A teraz słuchaj - zaczął. - Byłem u Rudolfa...

- Ciągłe się gniewa?

- Nie, nie gniewa się już. Musisz wiedzieć, że Rudolfo, a oprócz niego cała wioska, uważa cię za moją córkę. Domyślasz się, czemu tak sądzą, prawda? Bo twój zapijaczony taksówkarz, niech go kaczki podepczą, tak im powiedział.

- Och - powtórzyła Selina.

- Właśnie. Och. Naprawdę powiedziałaś taksówkarzowi, że jestem twoim ojcem?

- Tak - przyznała.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Musiałam go jakoś namówić, żeby mnie tu przywiózł. Powiedziałam: „Mój ojciec panu zapłaci”, i tylko to go przekonało.

- Nie miałaś prawa tak postąpić. Wciągać niewinnego człowieka...

- Ciebie?

- Tak, nie. Tkwę w tym teraz po uszy.

- Nie sądziłam, że rozpowie o tym po całej wiosce.

- On nie. Powiedział tylko Rosicie, dziewczynie, która pracuje w barze u Rudolfa. A Rosita powiedziała Tomeu. A Tomeu swojej matce. Maria zaś to jedyna oficjalna stacja nadawczo-odbiorcza w tej części wyspy.

- Rozumiem - odparła Selina. - Przepraszam. Ale czy nie możemy powiedzieć prawdy?

- Nie teraz.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo tutejsi ludzie... - Ostrożnie dobierał słowa. - Tutejsi mieszkańcy mają bardzo zdecydowane poglądy w kwestii moralności.

- W takim razie dlaczego mnie przenocowałeś?

Miał już wszystkiego dość.

- Bo była burza. Bo się pokłóciłem z Rudolfem. Bo nie miałem wyboru.

- I potwierdziłeś, że jestem twoją córką?

- Nie zaprzeczyłem.

- Przecież jesteś na to o wiele za młody, sam wczoraj mi udowodniłeś.

- I nikt więcej nie może się o tym dowiedzieć.

- Ale to nieprawda.

- I nie było prawdą, kiedy pochwaliłaś się taksówkarzowi.

- Tak, ale ja wtedy nie wiedziałam, że to nieprawda!

- A ja wiem. O to ci chodzi? Przykro mi, że uraziłem twe szlachetne uczucia, ale ci ludzie to moi przyjaciele i nie chcą rozwiewać ich złudzeń. Co prawda niewiele ich mają na mój temat, ale przynajmniej nie uważają mnie za kłamcę.

Nadal wyglądała na zaniepokojoną, więc zmienił temat.

- Teraz, jeśli chodzi o pieniądze. Mówiłaś, że możesz wysłać telegram do banku...

- Tak.

- Ale nie z Cala Fuerte. Musimy pojechać do San Antonio i stamtąd go nadać. Możemy go wysłać albo bezpośrednio

nio do banku, albo, wpadłem na to w drodze do domu, moglibyśmy spróbować się skontaktować z twoim prawnikiem...

- O, nie - zaprotestowała Selina tak gwałtownie, że George uniósł brwi ze zdumienia.

- Dlaczego?

- Wyślijmy tylko telegram do banku.

- Ale twój prawnik mógłby przekazać pieniądze o wiele szybciej.

- Nie chcę zawiadamiać Rodneya.

- Nie lubisz go?

- Nie w tym rzecz. Tylko chodzi o to, że... Cóż, uważał tę całą wyprawę na poszukiwanie ojca za czyste szaleństwo.

- I, jak się okazało, miał rację.

- Nie chcę, żeby się dowiedział, jakim fiaskiem to wszystko się skończyło. Postaraj się zrozumieć.

- Cóż, jasne, że rozumiem, ale gdyby to oznaczało, że pieniądze przyjdą szybciej...

Na twarzy dziewczyny malował się upór i George, nagle strasznie zmęczony całą tą historią, nie próbował już jej przekonywać.

- Dobra, w końcu to twoje pieniądze i twój czas. I twoja reputacja.

Selina puściła jego stwierdzenie mimo uszu.

- Chcesz jechać do San Antonio już dzisiaj?

- Kiedy tylko się ubierzesz. Głodna jesteś?

- Niezbyt.

- Co byś powiedziała na kawę?

- Jeśli masz gotową.

- Zaparzę ci.

Był już w połowie schodów, kiedy znowu go zawołała. Odwrócił się. Widać było tylko jego głowę i ramiona.

- Nie mam w co się ubrać.

- Porozmawiam z Juanitą.

Znalazł ją na tarasie. Prasowała. Sznur od żelazka ciągnął się przez otwarte okno.

- Juanita.
- Słucham, *señor*.
- Co z rzeczami *señority*? Są już gotowe?
- *Si, señor*.

Rozpromieniła się, dumna ze swego tempa, i podała mu stertę starannie złożonych ubrań. Podziękował jej, wrócił do domu, gdzie zastał potarganą Selinę, w piżamie schodzącą po schodach. Wyglądała na zasnęłą.

- Proszę - powiedział, dając jej garderobę.
- Och, cudownie!
- To tylko jedna z wielu usług, jakie świadczy nasz hotel.
- Tak szybko się uwinęła... Nie sądziłam...

Słowa zamarty jej na ustach. George się zmarszczył. Selina wzięła z wierzchu sukienkę. A raczej to, co z niej zostało. Juanita potraktowała dobrą angielską wełnę tym samym co wszystkie prane przez siebie rzeczy: gorącą wodą, twardym mydłem i ostrym szorowaniem. Selina wyciągnęła sukienkę przed siebie. Pasowałyby na drobną sześciolatkę i jedyne, po czym dawało się ją poznać, to jedwabna metka Fortnum & Mason przyszyta do kołnierzyka.

Zapadła długa cisza.

- Prawdziwa mała brązowa - przerwał milczenie George.
- Uprała ją! Po co ją prała? Nie trzeba było jej prać! Była tylko trochę wilgotna...

-Jeśli to czysa wina, to moja. Powiedziałem Juanicie, żeby ją wyprała, a ona jeśli już coś robi, to z całego serca.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Tobie dobrze się śmiać, ale co ja na siebie włożę?
- A co można zrobić, jeśli się nie śmiać?
- Mogłabym płakać.
- To nic nie pomoże.
- Nie mogę paradować cały dzień w piżamie!
- Czemu nie? Bardzo ci w niej do twarzy.
- Nie mogę pojechać do San Antonio w piżamie.

Nadal rozbawiony do łez, ale próbujący mimo wszystko znaleźć jakieś rozsądne wyjście, George podrapał się po głowie.

- A co byś powiedziała na swój płaszcz?

- Ugotowałamby się w nim. Och, dlaczego musiały mi się przytrafić wszystkie te okropne okropności?

- Posłuchaj... - próbował ją uspokoić.

- Nie posłucham!

Był to klasyczny przykład zgubnych skutków wdawania się w dyskusje z kobietą i George stracił w końcu cierpliwość.

- Dobra, nie słuchaj. Idź, schowaj się do łóżka i przeplacz tam sobie cały dzień, jeśli chcesz, ale zanim się temu oddasz, chodź, pomóż mi ułożyć telegram do banku. Sam zawiozę go do San Antonio, a ty siedź sobie tutaj i się dąsaj.

- To najwstrętniejsze, najokropniejsze słowa, jakie...

- Zgoda, mała, są okropne. Może mówię okropne rzeczy, bo sam jestem okropny. Dobrze, żeś się w porę dowiedziała. A teraz siadaj, wyteż swój ptasi mózdzek i napiszmy wreszcie ten telegram.

- Nie mam ptasiego mózdzku - broniła się Selina. - A nawet gdybym miała, to za krótko mnie znasz, żeby coś na ten temat wiedzieć. Ja ci tylko tłumaczę, że nie mogę cały dzień chodzić w samej bieliźnie...

- Słuchaj, tu jest Cala Fuerte koło San Antonio, a nie Queen's Gate, ekskluzywna dzielnica Londynu. Jeśli chodzi o mnie, możesz sobie chodzić zupełnie nago, ale chciałbym jak najszybciej dostać te pieniądze i jak najprędzej wysłać cię całą i nie naruszoną do piaskownicy i niani.

Pochylał się nad biurkiem, szukając czystej kartki i ołówka, ale teraz podniósł wzrok. Popatrzył na dziewczynę nieprzeniknionym wzrokiem i dodał:

- Gdybyś była starsza i bardziej doświadczona, spodziewam się, że dostałbym już w twarz.

Selina powiedziała w duchu, że jeśli teraz się rozpłacze

- z gniewu albo innych powodów - nigdy sobie tego nie wybaczy.

- Nawet nie przyszło mi to na myśl - odparła głosem, który drżał tylko odrobinę.

- Dobrze. I niech ci nadal nie przychodzi.

Usiadł przy biurku i wziął czystą kartkę.

- A teraz podaj mi nazwę swojego banku...

## *Rozdział ósmy*

Po chłodnej, tonącej w cieniu drzew, cichej Cala Fuerte, tamtego popołudnia San Antonio wydawało się gorące, zakurzone i wyjątkowo tłoczne. Na ulicach panował ogromny ruch. Trąbiące samochody, motorowery, drewniane konne wózki, rowery. Na wąskich chodnikach byk) tylu przechodniów, że ci mniej przywiązani do życia wylewali się na ulicę i George szybko przekonał się, że nie sposób posuwać się choć trochę naprzód, jeśli właściwie bez przerwy nie będzie się trzymało ręki na klaksonie.

Telegraf i bank George'a mieściły się na głównym placu miasta. Stały naprzeciwko, rozdzielone alejami, wzdłuż których rosły drzewa, i fontannami. Dyer zaparkował w cieniu, zapalił papierosa i najpierw ruszył do banku, żeby sprawdzić, czy jakimś cudem jego pieniądze nie dotarły już z Barcelony. Gdyby stał się cud, zamierzał wziąć grubszą porcję gotówki, podrzeć telegram Seliny, udać się na lotnisko i kupić dla niej bilet do Londynu.

Ale pieniądze nadał nie przyszły. Kasjer zaproponował uprzejmie, że jeśli George zechciałby usiąść i poczekać jakieś cztery, pięć godzin, to on spróbowałby skontaktować się z Barceloną i dowiedzieć, co się stało. George spytał ze zdumieniem, czemu miałby czekać tak długo, i dowiedział się, że zepsuł się telefon i nie został jeszcze naprawiony.

Po sześciu latach mieszkania na wyspie nadal nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, ilekroć bezpośrednio spoty-

kał się z tutejszym stosunkiem do czasu, ale powiedział, że to nieważne, poradzi sobie bez pieniędzy, po czym wyszedł z banku, udał się na drugą stronę placu i wszedł po imponujących schodach, do wyłożonych marmurem sal biura telegrafu.

Przepisał wiadomość na formularz, potem stanął w wolno posuwającej się kolejce. Kiedy wreszcie dotarł do okienka, jego cierpliwość była już na wyczerpaniu. Mężczyzna przy aparacie miał ulizane brązowe włosy, brodawkę na nosie i nie mówił po angielsku. Długo trwało, zanim przeczytał tekst, policzył słowa, skonsultował się z podręcznikiem. Wreszcie podstemplował druczek i oświadczył, że telegram będzie kosztował dziewięćdziesiąt pięć peset.

George zapłacił.

- Kiedy telegram dojdzie do Londynu?

Urzędnik spojrział na zegar.

- Dziś wieczorem... może.

- Nadacie go od razu?

Mężczyzna z brodawką nie **raczył odpowiedzieć. Popatrzył** nad ramieniem George'a.

- Następnym, proszę.

Nic więcej nie można było zrobić. George wyszedł na zewnątrz, zapalił papierosa i dumiał nad kolejnym ruchem. W końcu postanowił, że warto by zajrzeć do jachtklubu po pocztę, ale nie ma sensu zabierać samochodu. Ruszył spacerkiem.

W tłumie dostawał klaustrofobii, maszerował więc środkiem ulicy, co jakiś czas odskakując na bok, żeby przepuścić pojazdy. Nad jego głową na niewielkich balkonikach tętniło życie. Masywne babcie spowite w czerń, siedzące z robótką, wygrzewające się na wiosennym słończku. Gromadki dzieci z oczami niczym ciemne winogrona, które przyciskały buzie do metalowych barierek i poręczy. Pranie łopocące nad ulicą niczym sztandary i ciągnące się zygzakami od jednego balkonu do drugiego. I ten charakterystyczny zapach San Antonio. Mieszanka woni rynsztoków, ryb,

cedru i papierosów marki Ideales, a nad tym wszystkim górujący nieuchwytny aromat morza, płynący znad zatoki. George dotarł do niewielkiego skrzyżowania i zatrzymał się przy krawężniku, czekając, aż samochody przejadą i będzie mógł przejść. W malutkiej budce siedział kaleka, sprzedawał kupony loterii, w budynku na rogu zaś mieścił się sklep. Na wystawie wisiały haftowane bluzki, bawełniane sukienki, kapelusze plażowe, buty i kostiumy kąpielowe.

George pomyślał o Selinie. Nie mógł się doczekać, żeby wsadzić ją do samolotu udającego się do Londynu i wreszcie się jej pozbyć, ale przecież ta smarkata nigdzie nie pojedzie, jeśli nie będzie miała odpowiedniego ubrania. Może powinien kupić jej sukienkę? Ale w chwili kiedy przekraczał próg sklepu, wpadł mu do głowy inny, znacznie zabawniejszy pomysł.

- *Buenos dias, señor* - przywitała go ruda sprzedawczyni, wychodząc zza małej szklanej ludy.

- *Buenos dias* - odparł i ze śmiertelną powagą wyjaśnił, o co mu chodzi.

Pięć minut później znowu wylądował na zatłoczonych uliczkach z małą paczuszką owiniętą prześlicznie w papier w różowo-białe paski. Ciągłe jeszcze się do siebie uśmiechał, kiedy za nim rozległo się trąbienie. Zaklął, uciekł z drogi, a obok przejechał czarny, długi citroen, prawie ocierając się o jego siedzenie. Samochód stanął.

- Proszę, proszę - odezwał się znajomy, charakterystyczny głos. - Któż to przyjechał do miasta.

To była Frances. Siedziała w otwartym samochodzie, wyglądała na zaskoczoną i zadowoloną. Miała okulary słoneczne, nasunięty na nos słomkowy kapelusz i jasnoróżową bluzkę. Przechyliła się i otworzyła drzwiczki.

- Wskakuj, podwoję cię.

Usiadł obok niej. Skórzana tapicerka była tak gorąca, że miał wrażenie, że się upiecze. Nie zdążył domknąć drzwi, Frances już ruszyła, wolno przedzierając się przez zapchane ulice.

- Nie spodziewałam się, że tak szybko cię zobaczę.
- A ja nie spodziewałem się, że tu przyjadę.
- Od jak dawna jesteś w mieście?
- Pół godziny, może więcej. Musiałem nadać telegram.

Frances nie skomentowała. Przed nimi wyrosła kolejna grupa przechodniów. Grube kobiety w bawełnianych sukienkach, białych swetrach, z nowiutkimi kapeluszami słomkowymi na głowach, ocieniającymi czerwone, spalone twarze. Frances znowu ostro zatrąbiła. Turystki oderwały wzrok od pocztówek, które właśnie wybierały i bez urazy cofnęły się na chodnik, który i tak już kipiał od ludzi.

- Skąd, u licha, tyle się tego nazbierało? - zastanawiał się George.

- Przyjechał statek wycieczkowy. Pierwszy w tym sezonie.
- O, Boże, już się zaczęło?

Frances wzruszyła ramionami.

- Trzeba się pogodzić z losem. Przynajmniej do miasta napływają pieniądze. - Zerknęła na paczuszkę, którą trzymał na kolanach. - Co kupowałeś u Teresy?

- Skąd wiesz, że u Teresy?
- Ten papier w biało-różowe paski. Jestem zaintrygowana. George chwilę się zastanawiał.
- Chusteczki do nosa - odparł.
- Nie wiedziałam, że używasz.

Wyjechali na główną ulicę, arterię, na której ruchu pilnowali wredni, nawiedzeni policjanci. Frances wyhamowała do drugiego biegu.

- Gdzie cię podrzucić?
- Może są jakieś listy w jachtklubie.
- Nie odebrałeś wczoraj poczty?
- Odebrałem, ale może przyszło coś jeszcze.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Nie miałeś kłopotów w drodze powrotnej?
- Jasne, że nie.
- Statek w porządku?
- Tak, wszystko dobrze. U was też była wczoraj ta burza?

- Nie, ominęła nas.
- Mielicie szczęście. Łało jak z cebra.

Czekali, aż czerwone światło zmieni się na zielone, potem Frances skręciła w wąską drogę, następnie w szeroką aleję wiodącą do zatoki. Tę dzielnicę San Antonio George lubił najbardziej: pełna radosnych barów nad samą wodą, sklepów żeglarskich pachnących dziegciem, farbami i parafiną. W zatoce było pełno statków. Szkunery, jachty, barceloński parowiec, szykujący się do drogi i statek wycieczkowy z Bremy, przycumowany przy północnym nabrzeżu.

Zauważył nowy jacht, którego wczoraj tu nie było.

- Płynie pod holenderską banderą - powiedział.
- Młode małżeństwo, niejacy Van Trikkerowie, którzy wybrali się w podróż dokoła świata.

Frances zawsze starała się być na bieżąco.

- Przez Morze Śródziemne?
- A czemuż by nie? Od tego jest Kanał Sueski.

Uśmiechnął się szeroko. Frances schyliła się po pudełko papierosów z deski rozdzielczej, podała mu. Wziął i zapalił jednego papierosa dla niej, jednego dla siebie. Kiedy dotarli do jachtklubu, poszedł do środka po pocztę, a Frances czekała na niego w wozie.

- Dokąd teraz? - spytała, kiedy wrócił z dwoma listami wepchniętymi do tylnej kieszeni spodni.

- Muszę się czegoś napić.
- Pojadę z tobą.
- A nie powinnaś sprzedawać tym rozkosznym turystom oryginalnych Olafów Svensenów?
- Zatrudniłam młodą studentkę. Zajmie się Niemcami.
- Zawróciła „na raz”. - A ja o wiele bardziej wolę zająć się tobą.

Pojechali do Pedra, niedaleko stamtąd. Pedro wystawił na szeroki chodnik kilka stolików i krzesła, więc usiedli w cieniu drzewa. George zamówił piwo dla siebie i koniak dla Frances.

- Kochanie, skąd u ciebie ta nagła abstynencja?

- Chce mi się tylko pić.
- Mam nadzieję, że to nie boli.

Sięgnęła mu do kieszeni spodni, wyjęła listy i położyła przed nim na stoliku.

- Otwórz je - rozkazała.
- Dlaczego?

- Dlatego że jestem ciekawa. Lubię wiedzieć, co jest w listach, zwłaszcza cudzych. Nie lubię myśleć o nich, jak się starzeją, niczym dobrze wychowane starsze panie. Masz... - Wzięła nóż spośród niestarannie rzuconych sztućców i rozcięła koperty. - Teraz pozostało ci jedynie wyjąć je i przeczytać.

Czyniąc zadość jej zachciance, George wyjął listy. Pierwszy przyszedł z czasopisma żeglarskiego, które zawiadamiło, że zapłaca mu osiem funtów i dziesięć szylingów za artykuł, który im przysłał. Podał kartkę Frances, która przeczytała i stwierdziła:

- A widzisz? Nie mówiłam. Dobre wiadomości.
- Lepszy rydz niż nic.

Wyjął drugi list.

- O czym był ten artykuł?
- O urządzeniach samosterujących.

Poklepała go po plecach.

- Proszę, proszę, jaki mądry chłopczyk. A ten drugi od kogo?

List był od wydawcy, ale zajęty czytaniem George nie usłyszał pytania.

*Szanowny Pan George Dyer  
Klub Nautica  
San Antonio  
Baleary, Hiszpania*

*Szanowny Panie,*

*w ciągu ostatnich czterech miesięcy napisałem do Pana co najmniej pięć listów, w nadziei że zechce Pan przysłać nam*

*przynajmniej pobieżny szkic drugiej książki, ciągu dalszego „Fiesty w Cala Fuerte”. Na żaden nie otrzymałem odpowiedzi. Wszystkie listy wysłałem na adres Klubu Nautica w San Antonio i zaczynam się zastanawiać, czy może klub ten nie przestał pełnić funkcji Pana poste restante.*

*Jak to podkreślałem, kiedy doszliśmy do porozumienia w kwestii wydania pańskiej „Fiesty w Cala Fuerte”, aby utrzymać zainteresowanie czytelników dla pańskiej twórczości, konieczne jest wydanie ciągu dalszego. „Cala Fuerte” sprzedała się dobrze, drukujemy trzeci rzut, toczą się też negocjacje w sprawie wydania książki w miękkiej oprawie; jeśli jednak nie chce Pan, by nakład zalegał na półkach, musimy wkrótce dostać od Pana kolejną książkę.*

*Bardzo żałuję, że nie możemy się spotkać osobiście, by przedyskutować tę kwestię, sądzę jednak, że wyraźnie dałem Panu do zrozumienia, że wydajemy „Fiestę w Cala Fuerte” pod warunkiem, iż będzie to pierwsza książka z cyklu, i odniosłem wrażenie, że Pan to zrozumiał.*

*W każdym razie wdzięczny będę za odpowiedź.*

*Z poważaniem  
ARTHUR RUTLAND*

George przeczytał list dwukrotnie, potem rzucił go na stolik. Kelner przyniósł napoje. Piwo było tak zimne, że oszraśniało wąską szklanekę, a kiedy George po nią sięgnął, omal nie cofnął ręki. Miał wrażenie, że dotyka sopła lodu.

- Od kogo to? - spytała Frances.
- Przeczytaj.
- Nie będę czytać, jeśli sobie tego nie życzysz.
- Och, przeczytajże.

Posłuchała. On w tym czasie sączył piwo. Dotarła do końca strony.

- No, ładny liścik. Za kogo on siebie ma?
- Za mojego wydawcę.
- Na miłość boską, nie podpisałeś z nimi kontraktu!
- Wydawcy nie lubią autorów, którzy poprzestają na

jednej książce, Frances. Chcą mieć albo nic, albo porządny, równy strumień.

- Pisał do ciebie wcześniej?

- Tak, oczywiście że pisał. Nie daje mi spokoju od jakichś czterech, pięciu miesięcy. Dlatego przestałem otwierać listy.

- A próbowałaś chociaż napisać tę drugą książkę?

- Czy próbowałem? Omal się nie nabawiłem przepukliny od tego próbowania. O czym, do cholery, mam pisać? Napisałem pierwszą, bo sądziłem, że kończą mi się pieniądze, a była właśnie długa, mroźna zima. Nigdy nie sądziłem, że ktoś ją wyda.

- Przecież zwiedziłeś kawał świata, George... Tyle rzeczy robiłeś... Ten rejs po Morzu Egejskim...

- A myślisz, że nie próbowałem o tym pisać? Przez trzy tygodnie bębniłem po klawiaturze i czytało się to z takim samym znużeniem, jak pisało. Zresztą, to już było. Wszystko już było.

Frances ostatni raz zaciągnęła się dymem i starannie zgasiła papierosa w popielniczce. Miała szerokie, niemal męskie, opalone ręce, duże paznokcie pomalowane jaskrawoczerwonym lakierem. Nosiła masywną, złotą bransoletkę, która zadzwęczała o stół.

- Czy to naprawdę aż takie straszne nieszczęście? - spytała ostrożnie. - W końcu miałaś jedną książkę, która odniosła sukces, a jeśli nie możesz napisać drugiej, to cóż, nic na to nie poradzisz.

Z przystani przy klubie wypływał jacht. Nad wodą poniosło się echo chrzęszczących łańcuchów i na maszcie zawisł żagiel. Przez chwilę wisiał smutno, ale wtedy chłopak przy sterownicy obrócił łódź, żagiel drgnął, nabrał wiatru, rozprostował się i naprężył. Jacht zakołysał się i popłynął naprzód, ustawił się bardziej do wiatru i jeszcze bardziej przechylił.

- Nie lubię nie dotrzymywać obietnic - powiedział wolno George.

- Och, kochany, mówisz, jakby chodziło o sprawy osobiste.  
 - A to nie to samo?  
 - Nie, to są interesy.  
 - A czy ty byś ot, tak sobie, złamała obietnicę daną  
 wspólnikowi?

- Oczywiście że nie. Ale pisanie to nie to samo, co sprzedawanie towarów czy robienie rachunków. To działalność twórcza i nie obowiązują w niej te same zasady. Jeśli chwilowo brak ci weny twórczej, nic na to nie poradzisz.

- Chwilowy brak weny twórczej - powtórzył gorzko George. - Tak to się nazywa?

Położyła rękę na jego ramieniu, zaciążyła mu jej bransoletka.

- Dlaczego po prostu o tym nie zapomnisz? Napisz do panna... - zerknęła na podpis na dole strony - Rutlanda i powiedz: Dobra, skoro pan tak uważa, niech się pan wypcha, nie będzie więcej książek.

- Ty naprawdę uważasz, że mógłbym tak zrobić. I co potem?

Wzruszyła ramionami.

- Cóż... - Zaczęła mówić bardziej rozwlekle. - Są inne rozrywki.

- Na przykład.

- Za dwa tygodnie Wielkanoc. - Wzięła do ręki nóż, którym przedtem rozcięła koperty i czubkiem ostrza wodziła po stole. - Zaproszono mnie do Malagaru na korridę w świąteczną niedzielę. Mam tam przyjaciół, Amerykanów. To ogromni *aficionados*. W Malagarze znajdziesz najlepsze byki i najlepszych *toreros* w Hiszpanii. No i dzień i noc trwają zabawy.

- Brzmi to jak ziszczony sen agenta biura turystycznego.

- Kochanie, nie bądź taki kąśliwy. To nie ja napisałam ten list. Ja go tylko przeczytałam.

- Wiem. Przepraszam.

- Pojedziesz ze mną? Do Malagaru?

Kelner kręcił się w pobliżu. George przywołał go, zapłacił, chłopak zabrał szklanki, George dał mu napiwek, a kie-

dy tamten zniknął, wziął czapkę, paczuszkę w biało-różowe paski i oba listy.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Wstał, trzymając się oparcia krzesła.

- Zdaje się, że zapomniałaś, że ja nigdy nie należałem do *aficionado*. Mdleję na sam widok krwi.

- Chcę, żebyś tam był... - upierała się jak dziecko.

- Zepsułbym wam zabawę.

Odwróciła wzrok, starając się nie okazać rozczarowania.

- Gdzie teraz jedziesz? - zapytała.

- Z powrotem do Cala Fuerte.

- Nie możesz zostać?

- Nie, muszę wracać.

- Nie mów, że znowu musisz nakarmić to kocisko.

- Mam coś więcej do nakarmienia, nie tylko kota. - Musnął jej ramię w geście pożegnania. - Dzięki, że mnie podrzuciłaś.

\* \* \*

Zapadł już zmrok, kiedy George zbliżał się do Cala Fuerte. Ledwo słońce zniknęło za horyzontem, a zrobiło się chłodno, więc George zatrzymał się przy samotnym domu i włożył sweter, który zabrał na wszelki wypadek. Nagle zauważył żonę gospodarza, która wyszła z domu, by nabrać wody ze studni. Z otwartych drzwi padała złocista poświata, na której tle wyraźnie rysowała się sylwetka gospodyni.

- *Buenas tardes!* - zawołał George.

Kobieta podeszła, żeby z nim chwilę pogawędzić. Dzban oparła o biodro i wypytywała, gdzie George był i co porabiał.

Bardzo chciało mu się pić, więc wychylił łyk wody z dzbana i ruszył dalej, światłami rozcinając szafirową noc. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy; leżące u stóp góry San Estaban stanowiło skupisko świateł, a kiedy wóz minął ostatnie skrzyżowanie i ruszył już prosto do Cala Fuerte, wiatr przyniósł zapach morza i świeżą, żywiczną woń sosen.

Choć George na to nie liczył, także i dziś świadomość, że wraca do domu, podniosła go na duchu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaki zmęczony i przygnębiony czuł się cały dzień. Właściwie nic mu się nie udało. List od pana Rutlanda obudził wyrzuty sumienia, do tego nadal ma na głowie tę pannicę z Queen's Gate. Zastanawiał się, jak spędziła dzień, choć oczywiście wcale go to nie obchodziło. Zjeżdżając z ostatniego zbrocza przed Casa Barco, miał tylko nadzieję, że nie będzie się już dąsać.

Wstawił samochód do garażu, wyłączył silnik, zerknął na zegarek. Już po ósmej. Wsiadł, przeszedł przez uliczkę i otworzył drzwi. Wyglądało na to, że nikogo nie ma w środku, ale w domu zobaczył ślady czyjejs troskliwej ręki. W kominku płonął ogień, paliły się lampy, niski stolik przed paleniskiem był przykryty niebiesko-białym obrusem (George nawet nie wiedział, że takowy posiada), leżały na nim sztuczce i stały kieliszki, zauważył także wazon polnych kwiatów. W powietrzu unosił się niebiański zapach gotującego się jedzenia. George odłożył czapkę i wyszedł na taras. Był w espadrylach - prawie nie było słychać jego kroków. Taras okazał się pusty, nigdzie śladu dziewczyny. Przechylił się przez murek, ale tam także nie dostrzegł gościa, słychać było jedynie szept wody i skrzypienie szalupy przycumowanej do brzegu. Z jednej z pobliskich kafejek dobiegły łagodne dźwięki gitary, jakaś kobieta zaczęła śpiewać dziwną melodię, dziedzictwo wpływów mauretańskich.

George ściągnął brwi, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć i wrócił do domu. Galeryjka tonęła w mroku, ale w kuchni się świeciło. Przechylił się nad barkiem i ku swemu zaskoczeniu zobaczył Selinę, która, przykucnięta przed piekarnikiem, z ogromnym skupieniem mieszała w rondlu.

- Dobry wieczór - przemówił do czubka jej głowy.

Selina obejrzała się. Nie zaskoczył jej i zdał sobie sprawę, że ona od początku wiedziała o jego obecności. To go zaniepokoiło. Poczul się, jakby w ten sposób dziewczyna zyskała nad nim pewną przewagę.

- Cześć - przywitała go.
- Co robisz?
- Gotuję kolację.
- Nieźle pachnie.
- Mam nadzieję, że mi się udała. Obawiam się, że gotowanie nie jest moją najmocniejszą stroną.
- Co to?
- Wołowina z cebulą, papryką i jarzynami.
- Nie wiedziałem, że mamy w domu coś do jedzenia.
- Nie mieliśmy. Poszłam do Marii i kupiłam.
- Naprawdę? - Był pod wrażeniem. - Przecież Maria nie zna angielskiego.
- Wiem. Ale w szufladzie twojego biurka znalazłam słownik.
- A czym zapłaciłaś?
- Obawiam się, że to poszło na twój rachunek. I kupiłam sobie parę espadryli. Kosztowały osiem peset. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.
- Nie, wcale.
- Krytycznym wzrokiem zmierzyła garnek.
- Myślisz, że to dobrze wygląda?
- Wygląda wspaniale.
- Najpierw myślałam, żeby mięso upiec, ale nie znalazłam żadnego tłuszczu z wyjątkiem oliwy, a jakoś wydawało mi się, że to nie pasuje.
- Przykryła garnek i wsunęła całe to pachnące danie z powrotem do piekarnika. Zatrzasnęła drzwiczki i wstała. Patrzyli na siebie oddzieleni barkiem.
- Dobry miałeś dzień?
- Wobec tej domowej atmosfery George zapomniał o swoich kłopotach.
- Co? A, tak. Tak, udany.
- Nadałeś telegram?
- Tak. Tak, nadałem telegram.
- Miała na nosie piegi, a w świetle lampy w gładkich włosach połyskiwały nieoczekiwane jaśniejsze pasemka.

- Ile, ich zdaniem, to może potrwać?

- Tak jak przypuszczaliśmy, trzy, cztery dni. - Skrzyżował ramiona i spytał: - A jak ty spędziłaś dzień?

- Och...

Wyglądała na zdenerwowaną i żeby czymś zająć ręce, niczym przykładowa barmanka, wytarła tą samą ścierką blat.

- Więc zaprzyjaźniłam się z Juanitą, umyłam włosy, siedziałam na tarasie, wygrzewając się na słońcu.

- Masz piegi.

- Tak, wiem. Czyż to nie okropne? A potem poszłam do wioski po zakupy. Myślałam, że nigdy nie wrócę, bo wszyscy chcieli ze mną rozmawiać, a ja oczywiście nie rozumiałam ani słowa. Potem wróciłam, przygotowałam warzywa...

- ...rozpaliłam ogień - wpadł jej w słowo George - ułożyłam kwiaty...

- Zauważyłeś! Do jutra zwiędną, to polne, zerwałam je wracając z wioski.

Nic nie odpowiedział, więc podjęła szybko, jakby się bała każdej przerwy w rozmowie.

- Jadłeś coś dzisiaj?

- Nie, darowałem sobie lunch. Koło czwartej wypilem szklankę piwa.

- Jesteś głodny?

- Jak wilk.

- Muszę tylko przygotować sałatę. Będzie gotowa za dziesięć minut.

- Czyżbyś dawała mi do zrozumienia, że powinienem pójść włożyć smoking i muszkę?

- Nie, nic takiego nie sugerowałam.

Uśmiechnął się do niej szeroko, wyprostował się, przeciągnął.

- Zawrzyjmy układ. Ja pójdę umyć uszy, a ty przygotujesz mi drinka.

Łypnęła na niego spod oka.

- Jakiego drinka?

- Szkocką z wodą sodową. Z lodem.

- Nie wiem, ile wlać szkockiej.

- Na dwa palce. - Pokazał jej, ile to będzie. - Właściwie u ciebie to będą trzy palce. Załapałaś?

- Mogę spróbować.

- Grzeczna dziewczynka. Spróbuj.

Znalazł czystą koszulę, wziął szybki, lodowaty prysznic, ubrał się i właśnie się czesał, kiedy jego odbicie w lustrze powiedziało mu, że przydałoby się ogolić.

George oparł się odbiciu i oświadczył mu, że o wiele bardziej przydałby mu się drink.

Odbicie odezwało się nowym, namaszczonym i surowym tonem:

„Jeśli ona może nakryć do stołu i nawet zebrać kwiaty, to ty możesz się ogolić”.

„Nie prosiłem jej, żeby zbierała te cholerne chwasty”.

„O ugotowanie kolacji też nie prosiłeś, co ci nie przeszkodzi zaraz jej zjeść.”

„Och, zamknij się!”, padła wściekła odpowiedź George’a.

Sięgnął po maszynkę.

Ogolił się elegancko, na koniec wklepał nawet trochę wody po goleniu, której tak rzadko używał, że powoli zmieniała się w żel.

„No, ślicznie”, oświadczyło odbicie, cofając się, żeby podziwiać tego przystojnego mężczyznę.

„Zadowolony?”, spytał George i odbicie posłało mu złośliwy uśmieszek.

Whisky czekała już na niego na stoliku przy kominku, ale Selina wróciła do kuchni, gdzie mieszała sałatę w dużej drewnianej misce. George przyniósł radio tranzystorowe i usiadł tyłem do ognia, próbując znaleźć jakąś muzykę, której mogliby słuchać.

- Zdaje się, że nad zatoką jest jakaś zabawa - odezwała się Selina. - Słychać śpiew.

- Tak, wiem. Oryginalny, prawda?

- Nie przypomina normalnych melodii.

- I nie powinien. To muzyka mauretańska.

Po długim kręceniu, trzaskach i szumach, udało się trafić na miłą, ciepłą, gitarową muzykę. George odstawił radio, wziął szklanke.

- Mam nadzieję, że drink jest taki, jak trzeba.

Skosztował. Był za mocny.

- Doskonały - powiedział.

- Pozostaje mi mieć nadzieję, że kolacja też będzie doskonała. Powinnam była też kupić u Marii chleba, ale wydawało mi się, że w domu są całe góry, więc nie kupiłam.

- Juanita cierpi na ukryte uzależnienie chlebowe. Codziennie zjada po paręnaście kanapek z kozim serem, popijając to winem. Nie mam pojęcia, jakim cudem trzyma się na nogach.

Selina wzięła miskę z sałatą i wyszła zza barku, żeby postawić ją na stole. Miała na sobie koszulę w niebiesko-zielone paski, której George aż do dziś nie znosił, granatowe spodnie, bardzo eleganckie, starannie uprasowane, ściągnięte wokół talii cienkim skórzanym paskiem. George zdążył już zapomnieć, o co tak się posprzeczali rano; cała ta idiotyczna afera wyleciała mu z głowy, ale teraz jego podświadomość nagle się przebudziła. Rozpoznał na Selinie swój pasek i kiedy chciała zawrócić do kuchni, złapał za niego i przytrzymał dziewczynę.

- Skąd masz te spodnie?

- To twoje - odparła Selina, jak szczeniak złapany za ogon.

Jej beztroski ton nie zwiódł George'a.

- Moje?

Owszem, jego. To były jego najlepsze, granatowe spodnie z serży. Odstawił szklanke i obrócił Selinę twarzą do siebie.

- Ale one na ciebie pasują.

Popatrzyła mu w oczy, ale szybko umknęła.

- Coś ty zrobiła z moimi najlepszymi spodniami!

- Cóż... - Spojrzała na niego niewinnie. - Kiedy pojechałaś rano, nie miałam nic do roboty, więc zaczęłam sprzątać

i zauważyłam, że te spodnie, które wczoraj nosiłeś, są dość brudne. No, wiesz, miały na nogawce jakąś plamę, po sosie czy czymś takim. Więc zaniósłam je Juanicie i Juanita je uprała. No i się zbiegły.

Opowiedziawszy tę obrzydliwą, sfabrykowaną historyjkę, miała dość sumienia, żeby wyglądać na lekko zawstydzoną.

- To wierutne kłamstwa i ty doskonale o tym wiesz - stwierdził George. - Spodnie dopiero co były w pralni, a od kiedy wróciłem z San Antonio, wyglądałaś bardzo podejrzanie. A ja, biedny naiwny głupiec, myślałem, że byłaś taka mądra i ugotowałaś pocziwemu, staremu George'owi dobrą kolacyjkę. Ale nie dlatego ją ugotowałaś?

- Ale ja nie miałam co na siebie włożyć! Zupełnie nic - skarżyła się Selina.

- Więc zemściłaś się na moich najlepszych spodniach.

- To nie była zemsta.

- Tylko dlatego, że nie znasz się na żartach.

- Cóż, wygląda, że ty także nie.

- To zupełnie co innego.

- Czyżby?

Mierzył ją wściekłym wzrokiem, ale czuł już, jak pierwsza złość go opuszcza, a zaczyna do niego docierać zabawna strona tej sytuacji. A poza tym w oczach Seliny pojawił się błysk, który kazał domyślać się zupełnie niespodziewanych cech u tej cichej dziewczyny.

- Nie spodziewałem się, że będziesz miała dość odwagi, by się bronić.

- To dlatego jesteś zły...?

- Nie, nie jestem. Cieszę się, że masz odwagę. A poza tym - dodał, z rozkoszą uświadamiając sobie, że zaraz się na niej odegra za ten brzydki kawał - mam coś dla ciebie.

- Naprawdę?

-Tak.

Rzucił paczuszkę razem z czapką, teraz po nią poszedł.

- W San Antonio kupiłem ci prezent. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Podejrzliwie przyglądała się paczce.

- To nie może być ubranie...

- Otwórz, to się przekonasz - odparł George, znowu biorąc do ręki szklanke.

Posłusznie otworzyła, starannie rozwiązując supełki. Papier się rozchylił i uniosła w palcach dwie części miniaturowego, różowego kostiumu bikini.

- Dziś rano wyglądałaś na ogromnie zatroskaną brakiem odzieży - stwierdził z ogromną powagą George. - Mam nadzieję, że w tym kolorze będzie ci do twarzy.

Selina nie wiedziała, co odpowiedzieć. Bikini wydawało jej się szokujące i wyzywające. A to, że dostała je od George'a Dyera jeszcze bardziej ją żenowało. Nie przypuszczał chyba, że ona kiedykolwiek włoży na siebie coś takiego?

Zarumieniona, nie patrząc na niego, wydusiła:

- Dziękuję.

Zaczął się śmiać. Zerknęła na George'a, ściągając brwi.

- Czy nikt nigdy sobie z ciebie nie zażartował? - spytał w miarę łagodnie.

Selina czuła się jak skończona idiotka. Potrząsnęła głową.

- Nawet niania? - zapiszczał i nagle sytuacja przestała być niezręczna, stała się zabawna.

- Och, daj spokój niani - burknęła Selina, ale jego rozbawienie było zaraźliwe jak odra.

- Nie próbuj powstrzymywać uśmiechu - powiedział. - Powinnaś się uśmiechać cały czas. Jesteś wtedy naprawdę bardzo ładna.

## Rozdział dziewiąty

Następnego ranka o wpół do ósmej George Dyer otworzył drzwi Juanicie. Gosposia jak zwykle siedziała na murku z dłońmi złożonymi na podołku, z koszykiem u stóp. Koszyk był zasłonięty czystą białą ściereczką i Juanita nie zdawała sobie sprawy, jaką radością promieniała jej twarz, gdy brała go i wchodziła do domu.

- Acóż ty tam takiego masz, Juanito? - spytał George.

- Prezent dla *señority*. Trochę pomarańczy z drzewa Pepe, męża Marii.

- Czy to Maria je przysłała?

- *Si, señor*.

- Bardzo miło z jej strony.

- *Señorita* jeszcze śpi?

- Chyba tak. Nie zaglądałem do niej.

Podczas gdy Juanita wyciągała ze studni wodę na kawę, on otworzył okiennice i wpuścił do domu światło poranka. Wyszedł na taras, kamienna posadzka chłodziła stopy. Rozejrzał się. „Pełnia” kołysała się spokojnie, jej białe maszty rysowały się wyraźnie na tle sosen, rosnących na drugim brzegu zatoki. Pomyślał, że może by tak wypróbować nową śrubę. Poza tym nie miał dziś żadnych obowiązków. Dzień rozciągał się przed nim rozkosznie pusty, może go spędzić, jak mu się spodoba. Spojrzał na niebo, wyglądało dobrze. Nad wyspą, w okolicach San Estaban, pokazało się co prawda trochę chmur, ale deszcz zawsze zbierał się wokół najwyż-

szych szczytów gór, a niebo nad morzem było czyste i bezchmurne.

Grzechotanie wiadra spuszczanego do studni przebudziło Seline i wkrótce przyłączyła się do George'a. Miała na sobie tę samą koszulę, którą wczoraj pożyczyła, i najwyraźniej niewiele poza tym. Długie, zgrabne nogi nie były już blade, ale leciutko opalone na kolor świeżego jajka. Włosy związała w niestaranny kok, z którego wysuwały się dwa długie pasma. Kiedy stanęła obok niego, opierając się o murek, zauważył na jej szyi cienki złoty łańcuszek, na którym wisiał zapewne kluczyk z czasów dzieciństwa albo krzyżyk od konfirmacji. George nigdy nie przepadał za słowem „niewinność”, które kojarzyło mu się wyłącznie z tłustymi, różowymi niemowlętami i błyszczącymi pocztówkami z kociekami. Teraz to słowo nagle wyskoczyło z pamięci i rozbrzmiało czystym, jasnym echem niczym dźwięk dzwonu.

Dziewczyna przyglądała się Perle, która usadowiwszy się na małej płamie słońca, dokonywała porannych ablucji. Co jakiś czas na płyciźnie wyprysnęła ryba, Perła zatrzymywała się w pół liźnięcia, nieruchomiała z wyprostowanymi tylnymi łapami, po czym wracała do poprzedniego zajęcia.

- Tego dnia, kiedy Tomeu przywiózł nas do Casa Barco, tam na dole było dwóch rybaków, czyszczących ryby. Tomeu z nimi rozmawiał - odezwała się Selina.

- To był Rafael, krewniak Tomeu. Jego łódź stoi obok mojej.

- Czy w tej wiosce wszyscy są ze sobą spokrewnieni?

- Mniej więcej. Juanita przyniosła dla ciebie upominek.

Obróciła ku niemu głowę, pasemka włosów zakołysały się jak dwa chwościki.

- Naprawdę? Co?

- Pójdź, sama zobacz.

- Już się z nią witałam, ale nie wspomniała nic o prezencie.

- Bo nie mówi po angielsku. No, idź, nie może się doczekać, żeby ci go dać.

Selina zniknęła w domu. Po chwili dobiegły stamtąd odgłosy dziwnej wymiany zdań i Selina znowu wyszła na taras, niosąc koszyk z białą ściereczką.

- Pomarańcze.

- *Las naranjas* - powiedział George.

- To tak się nazywają po hiszpańsku pomarańcze? Chyba powiedziała, że to od Marii.

- Mąż Marii sam je wyhodował.

- Czyż to nie miło z ich strony?

- Musisz pójść jej podziękować.

- Nie poradzę sobie, jeśli nie nauczę się choć trochę po hiszpańsku. Ile czasu tobie to zajęło?

Wzruszył ramionami.

- Cztery miesiące mieszkania tutaj. Przedtem nie znałem ani słowa.

- Tylko francuski.

- A, tak, francuski. I odrobinę włoskiego. Włoski ogromnie się przydaje.

- Muszę się nauczyć choć kilku słów.

- Mam gramatykę. Pożyczę ci, to będziesz umiała sklecić parę słów.

- Wiem, że *buenos dias* to dzień dobry...

- A *buenas tardes* dobry wieczór, a *buenas noches* dobranoc.

- I *si*. To też już umiem. *Si* znaczy tak.

- A *no* znaczy nie, a to o wiele bardziej przydatne słowo dla takiej młodej dziewczyny jak ty.

- Nawet ktoś z ptasim mózdzkiem tyle zapamięta.

- Nie bądź taka pewna siebie.

Zjawiła się Juanita z tacą ze śniadaniem i zaczęła rozstawiać filiżanki, talerze, dzbanek z kawą, śmietankę i ciasteczki. George powiedział jej, że *señorita* wprost uszczęśliwił dar Marii i że panienka później uda się do miasta, by osobiście jej podziękować. Juanita jeszcze bardziej się rozpromieniła, pokręciła głową i wróciła do kuchni. Selina wzięła do ręki *ensamada*, pytając:

- Co to jest?

- Piecze je co rano piekarz w San Estaban, a Juanita kupuje je po drodze i przynosi mi świeże do śniadania.

- *Ensamadas*.

Ugryzła jedną bułeczkę i na jej wargach zostały okruszki delikatnego chrupkiego chleba i cukru.

- Czy Juanita pracuje tylko u ciebie, czy jeszcze gdzieś?

- Pracuje u męża i dzieci. Na polu i w domu. Całe życie tylko pracowała. Pracowała, wyszła za męża, chodziła do kościoła i rodziła dzieci.

- Wydaje się taka zadowolona, prawda? Ciągłe się uśmiecha.

- Ma najkrótsze nogi na świecie. Zauważyłaś?

- Ale posiadanie krótkich nóg nie ma żadnego związku ze szczęściem.

- Nie, ale dzięki temu jest jedną z nielicznych kobiet na świecie, które mogą szorować podłogę nie kłękając.

Kiedy już skończyli śniadanie, zanim jeszcze zrobiło się za gorąco, podążyli do wioski po zakupy. Selina włożyła skurczone w praniu granatowe spodnie George'a i espadryle, które kupiła wczoraj u Marii. George niósł kosze i w drodze uczył ją, jak powiedzieć: *Muchas gracias para las naranjas*.

Weszli do sklepu Marii głównym wejściem, mijając sterety słomkowych kapeluszy, olejki do opalania, filmy fotograficzne i ręczniki kąpielowe i skierowali się wprost do wysokiego, ciemnego pomieszczenia w głębi. Tam w chłodzie stały baryłki wina, kosze słodko pachnących owoców i wazy, bochny chleba długości całej ręki. Maria, jej mąż Pepe i Tomeu uwijali się obsługując klientów, ale i tak kilka osób czekało; kiedy jednak zjawili się George i Selina, wszyscy umilkli i popatrzyli po sobie. George szturchnął Selinę znacząco.

- Maria, *muchas gracias para las naranjas* - wyrecytowała.

Na co wszyscy zaczęli się głośno zaśmiewać i poklepywać po plecach, jakby dziewczyna zrobiła coś wyjątkowo mądrego.

Kosze zostały napełnione różnorakim jedzeniem, przyprawami, butelkami wina, chlebem i owocami; Tomeu miał je dostarczyć na rowerze do Casa Barco. George przyjął kieliszek brandy, którym poczęstował go Pepe, potem razem z Seliną poszedł do hotelu „Cala Fuerte” porozmawiać z Rudolfem. Usiedli przy barze, Rudolfo poczęstował ich kawą, za co zrewanżowali mu się wiadomością, że został wysłany telegram do Anglii i już za parę dni będą mogli mu oddać pieniądze. Rudolfo jednak tylko się roześmiał i powiedział, że nieważne, jak długo będzie czekał. George wypił jeszcze jeden kieliszek brandy, pożegnali się i wyruszyli do domu.

W Casa Barco George wygrzebał skądś swój podręcznik gramatyki hiszpańskiej, który pomógł mu przebrnąć przez początki nauki języka, i dał go Selinie.

- Zaczne natychmiast - stwierdziła.

- Cóż, ale zanim się weźmiesz do nauki... Wybieram się na „Pełnię”. Chcesz się przyłączyć?

- Płyniesz gdzieś dalej?

- Płynąć gdzieś dalej? To nie Frinton, zapomniałaś? - Komicznie naśladował cockneyowską wymowę. - Raz wokół wispy, zarzucim kotwice.

- Po prostu sądziłam, że gdzieś się wybierasz łodzią.

- A więc się nie wybieram. - Złagodniał. - Ale muszę kiedyś wreszcie zawieźć tę nową śrubę i równie dobrze mogę to zrobić dziś. Będiesz mogła popływać, jeśli masz ochotę, ale ostrzegam, że woda będzie lodowata.

- Mogę wziąć ze sobą gramatykę?

- Weź, co tylko zechcesz. Może byśmy wzięli też coś do jedzenia? Urządzimy sobie piknik.

- Piknik!

- Juanita na pewno zapakuje nam coś dobrego do koszyka. Nie będzie to co prawda ta sama klasa co Fortnum & Mason, ale...

- Och, poproś ją. Wtedy nie musielibyśmy wracać na lunch.

Pół godziny później znaleźli się w łódce. Selina usiadła za sterem z pudłem ze śrubą między kolanami. Zabrała ze sobą podręcznik gramatyki, słownik i ręcznik, w razie gdyby miała ochotę popływać. Koszyk z jedzeniem leżał na dnie łódki, u stóp George'a, który wziął się do wiosłowania. Kiedy odbijali od brzegu, Juanita przewiesiła się przez murek i powiewała ścierką, jakby się z nimi żegnała na zawsze, a Perła krążyła nad krawędzią wody miauczac żałośnie, bo ona też chciała popłynąć.

- Dlaczego nie możemy jej zabrać? - chciała wiedzieć Selina.

- Kiedy już byśmy dotarli na miejsce, chciałyby wracać. Nie lubi, jak dookoła jest za dużo wody.

Selina zanurzyła rękę w wodzie i zapatrzyła się na kołyszące się pod powierzchnią zielone wodorosty.

- Przypominają trawę, prawda? Albo las na wietrze.

Woda była bardzo zimna. Wyjęła rękę i odwróciła się, żeby popatrzeć na Casa Barco, oczarowana zupełnie nową perspektywą, z jakiej nań spoglądała.

- Różni się kształtem od pozostałych domów.

- To był hangar na łodzie. *Barco* znaczy łódź.

- Czy był nim, kiedy tu się sprowadziłeś?

George oparł się na wiosłach.

- Jak na członka-założyciela klubu wielbicieli George'a Dyera słabo znasz moją książkę. Musiałaś ją czytać wyjątkowo mało uważnie. A może w ogóle do niej nie zajrzałaś?

- Owszem, czytałam, ale szukałam wyłącznie informacji o tobie, bo sądziłam, że możesz być moim ojcem. A, oczywiście, o sobie właściwie nie napisałaś nic. Tylko o wiosce, za toce, „Pełni” i reszcie.

George wrócił do wiosłowania.

- Pierwszy raz zobaczyłem Cala Fuerte od strony morza. Przypłynąłem z Marsylii, sam, bo nie udało mi się zebrać załogi i urobiłem się po łokcie, zanim znalazłem port. W końcu wprowadziłem „Pełnię” i zarzuciłem kotwicę prawie w tym samym miejscu, w którym teraz stoi.

- Czy już wtedy pomyślałeś, że tu zostaniesz, zamieszkasz, tu założysz swój dom?

- Nie wiem, co wtedy pomyślałem. Byłem zbyt zmęczony, by myśleć. Ale pamiętam, jak wspaniale pachniały sosny wczesnym rankiem.

Dopłynęli pod dziób „Pełni”, George wstał, złapał linę i trzymając się cumy, wspiał się na górę. Przywiązał szalupę i wrócił pomóc Selinie rozładować rzeczy. Podała mu ręcznik, książkę, koszyk z jedzeniem, potem jakoś się wdrapała, podczas gdy George wrócił do łódki, żeby zmagać się z ciężkim kartonem ze śrubą.

Brezentowa płachta osłaniająca sterówkę nadal leżała rozciągnięta, tak jak ją George zostawił, tyle że nie ociekała już wodą, ale była sucha jak pieprz. Selina zeszła do kabiny i położyła koszyk na jednym z siedzeń. Rozglądała się wokół ze zmieszaniem połączonym z podziwem, charakterystycznym dla osób, które nigdy nie postawiły nogi na niewielkim statku.

- Wydaje się strasznie mały - powiedziała.

- A czego się spodziewałaś? „Queen Mary”?

George upuścił pudło ze śrubą na podłogę i, żeby nie przeszkadzało, schylił się, próbując je wepchnąć pod jedno z drewnianych krzeseł zrobionych z listewek.

- Nie, oczywiście że nie.

Wyprostował się.

- Chodź, oprowadzę cię.

Zejście z głównego włazu prowadziło do kuchni, z części wygoszparowano miejsce na stół nawigacyjny z szufladami, w których mieściły się mapy. Dalej znajdowała się kabina z dwiema kojami po obu stronach składanego stołu. Selina spytała, czy właśnie tutaj George sypia, a kiedy potwierdził, zwróciła mu uwagę, że on mierzy dobre metr osiemdziesiąt, podczas gdy koje najwyżej półtora. George z miną magika pokazał, że łóżko się rozciąga za podparcia.

- Aha, rozumiem. A więc śpisz z nogami w dziurze.

- Na tym polega cały dowcip. I jakie to przytulne.

W kabinie znalazło się też miejsce na mnóstwo książek; dzięki metalowym poprzeczkom nie wypadały z półek. Poduszki na kojach były niebiesko-czerwone, na ścianie wisiała lampa naftowa, a obok niej zdjęcia „Pełni” z rozwiniętymi żaglami i wybrzuszonym balonem spinakera. Szafa była otwarta, wystawały się z niej żółte sztormiaki. George ruszył dalej, przeciskając się obok białej kolumny masztu, Selina poszła za nim; w maleńkim, trójkątnym forpiku mieściła się łazienka, leżał też łańcuch i zapasowe żagle.

- Wszystko wydaje się takie małe. Nie wyobrażam sobie, jak można żyć w takiej ciasnocie - odezwała się Selina.

, - Człowiek się przyzwyczaja. I można mieszkać w kabinie, jeśli się płynie w pojedynkę. Dlatego kuchnia jest tak poręcznie umieszczona. Można równocześnie sterować i złać coś do jedzenia. Chodź, wracamy na górę.

Selina poszła przodem, George chwilę się zatrzymał, odkręcił śruby świetlika i otworzył. Znalazłszy się w kuchni, dziewczyna wyciągnęła rękę przez właz i zabrała koszyk z jedzeniem ze słońca. W koszu leżała smukła butelka wina, niestety nagrzana. Kiedy Selina powiedziała o tym George'owi, wyjął sznurek, obwiązał go wokół szyjki i wrzucił butelkę do wody. Potem znowu zniknął pod pokładem i po chwili wrócił, niosąc jeden z gąbkowych materacy z koi.

- A to po co?

- Wydawało mi się, że miałaś ochotę się opalać.

Wyciągnął materac na dach sterówki.

- Co będziesz robił? Chcesz zamontować śrubę?

- Nie, poczekam, aż morze będzie cieplejsze, albo najmę kogoś, żeby to zrobił.

Kolejny raz zniknął w kabinie. Selina wzięła gramatykę hiszpańską, weszła na dach i ułożyła się wygodnie na materacu. Otworzyła książkę.

- „Rzeczowniki są rodzaju męskiego albo żeńskiego. Zawsze powinien je poprzedzać odpowiedni rodzajnik” - czytała na głos.

Było bardzo ciepło. Selina opuściła głowę na otwartą książkę i zamknęła oczy. Woda cicho szumiała, w powietrzu unosił się zapach sosen, słońce grzało przyjemnie. Rozłożyła ramiona, dłonie, palce, by lepiej czuć dotyk promieni, świat odpłynął w niebyt, pozostało tylko tu i teraz, biały jacht zakotwiczony w lazuruwej zatoce, George Dyer, który krzątał się w kabinie, otwierając i zamykając szafki, klnąc od czasu do czasu, kiedy coś upuścił.

- George - powiedziała jakiś czas potem, otwierając oczy.
- Mmmm...?

Siedział w sterówce rozebrany do pasa, ćmiąc papierosa i zwijając sznur w idealnie równy zwój.

- Już wiem, że jest rodzaj męski i żeński.
- Cóż, całkiem niezły start.
- Pomyślałam sobie, że mogłabym popływać.
- To popływaj.

Wstała, odgarniając włosy z twarzy.

- A woda będzie strasznie zimna?
- Po Frinton nic nie będzie zimne.
- Skąd wiesz, że jeździłam do Frinton?
- Powiedział mi mój mały paluszek. Oczami wyobraźni widzę, jak spędzałaś tam wakacje z nianią. Sina z zimna, trzęsąca się jak galareta.

- Oczywiście masz rację. I plaża była kamienista, a na kostium kąpielowy zawsze wkładałam olbrzymi sweter. Agnes też nienawidziła tych wyjazdów. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego nas tam wysyłali.

Wstała i zaczęła rozpinać koszulę.

- Woda jest bardzo głęboka. Umiesz pływać?
- Oczywiście, że umiem.
- Będę trzymał w gotowości harpun, w razie gdyby pojawił się jakiś rekin-ludojad.
- Uśmiełam się do łez.

Zdjęła koszulę. Pod nią miała bikini ofiarowane przez George'a.

- Dobry Boże - powiedział, bo to miał być żart i ani

przez chwilę nie przypuszczał, że dziewczyna będzie miała dość odwagi, by ten kostium włożyć. Teraz żart obrócił się przeciw żartownisiowi i George czuł się, jakby stał z bitą śmietaną spływającą po twarzy.

Znowu odezwało się to nie ulubiane słowo „niewinność” i uderzyło go jak grom. Pomyślał, niewdzięcznik, o Frances, jej opalonym na brąz, osmaganym wiatrem ciele i modnych bikini, które na niej zawsze wyglądały wulgarnie i nic poza tym.

Nie wiedział, czy Selina usłyszała ten okrzyk zdumienia, bo w tej samej chwili zanurkowała. Przyglądał się, jak gładko, bez plusnięcia zniknęła w wodzie, jak jej długie włosy kołysały się pod powierzchnią, niczym nowa, piękna odmiana wodorostów.

Kiedy wreszcie wdrapała się na pokład, dygocąc z zimna, rzucił jej ręcznik i szedł do kuchni poszukać dla niej czegoś do jedzenia. Kromka chleba z kozim serem Juanity. Kiedy wrócił, już siedziała na dachu, wygrzewając się na słońcu i wycierając włosy ręcznikiem. Przypominała mu Perłę. Dał jej kanapkę.

- We Frinton dostawałam zawsze piernika. Agnes nazywała je przekąską zmarzłuchów.

- To w jej stylu.

- Nie masz prawa tak mówić. Nawet jej nie znasz.

- Przepraszam.

- Pewnie byś ją polubił. Przypuszczam, że okazałoby się, że wiele was łączy. Agnes zawsze stroi groźne miny, ale nigdy nic z tego nie wynika. Szczeka znacznie groźniej, niż gryzie.

- Dziękuję ci uprzejmie.

- To miał być komplement. Agnes jest mi bardzo droga.

- Jeśli nauczę się robić na drutach, może i ja stanę ci się bardzo drogi.

- Zostało jeszcze trochę chleba? Jestem ciągle głodna.

Zszedł do kuchni, a kiedy wrócił, znowu leżała na brzuchu z otwartą książką przed sobą.

- *Yo* - ja, *Tu* - ty, *Usted* - ty (formalnie).

- Nie *Usted*. *Usteth...* - pokazał jej prawidłową, hiszpańską, bezdźwięczną wymowę.

- *Usteth...*

Wzięła od niego chleb i automatycznie zaczęła jeść.

- Wiesz, to zabawne... Choć ty tak dużo wiesz o mnie... Oczywiście musiałam ci powiedzieć, no bo myślałam, że jesteś moim ojcem. Więc, choć ty tak dużo wiesz o mnie, ja nie wiem o tobie właściwie nic.

Kiedy nie odpowiedział, przekręciła się na bok i spojrzała na niego. Stał w sterówce, głowy mieli na tej samej wysokości, pół metra od siebie, ale on nie patrzył na nią. Obserwował jeden z kutrów, płynący po niebieskozielonej wodzie ku morzu i Selina widziała jedynie brązową linię czoła, policzka i szczęki. Nie obrócił głowy, nawet kiedy się odezwała. Odparł dopiero po chwili.

- Tak, nie sądzę, żebyś wiedziała.

- I miałam rację, prawda? „Fiesta w Cala Fuerte” nie opowiada o tobie. Prawie wcale się tam nie pojawiaasz.

Kuter wcisnął się między brzegi głębokiego kanału.

- A czegoż to tak bardzo chciałabyś się dowiedzieć?

- Niczego.

Zdażyła już pożałować, że w ogóle poruszyła ten temat.

- Niczego szczególnego.

Zagięła róg kartki podręcznika, potem szybko go wygładziła, bo nauczono ją, że to zły nawyk.

- Pewnie jestem wścibska. To Rodney, mój prawnik, wiesz, wspominałam ci o nim, ofiarował mi twoją książkę. A kiedy powiedziałam, że wydaje mi się, że jesteś moim ojcem i że chcę pojechać cię odnaleźć, stwierdził, że nie powinien budzić licha, póki śpi.

- Nie spodziewałem się po Rodneyu tak wymyślnego porównania.

Kuter minął ich, skierował się na głęboką wodę, przyspieszył i popłynął na otwarte morze. George obrócił się twarzą do Seliny.

- Czy ja byłem lichem?
- Właściwie nie. Nie chciałem, żebyś ruszyła lawinę.
- Nie posłuchałaś jego rady.
- Nie. Wiem o tym.
- I co chcesz przez to wszystko powiedzieć?
- Że chyba jestem z natury ciekawska. Przepraszam.
- Nie mam nic do ukrycia.
- Lubię poznawać ludzi. Ich rodziny, rodziców.
- Mój ojciec zginął w czterdziestym roku.
- A więc twój ojciec też zginął?
- Jego niszczyciel został storpedowany na Atlantyku przez U-boota.
- Czy służył w marynarce? - George skinął głową. - Ile lat wtedy miałeś?
- Dwanaście.
- Miałeś rodzeństwo?
- Nie.
- I co się potem z tobą działo?
- Zaraz, niech się zastanowię... Skończyłem szkołę, odbyłem służbę wojskową, potem postanowiłem zostać zawodowym żołnierzem i oficerem, co też uczyniłem.
- Nie chciałeś służyć w marynarce, jak twój ojciec?
- Nie, uważałem, że wojska lądowe mogą być zabawniejsze.
- I tak było?
- Częściowo. Nie zawsze. Po jakimś czasie wuj George zaproponował, żebym - jako że nie miał synów - może poprowadził rodzinny interes.
- Co to było?
- Przędzalnie w okręgu West Riding w hrabstwie York.
- I poszedłeś na to?
- Tak. Wydawało mi się, że to mój obowiązek.
- Ale nie chciałeś tego robić?
- Nie.
- I co się stało potem?
- Zawahałem się.

- Cóż, nic. Odsiedziałem w Bradderford pięć lat, tak jak obiecałem, potem sprzedałem swoje udziały w firmie i odszedłem.

- A wuj George nie protestował?

- Nie był szczególnie zachwycony.

- I co robiłeś później?

- Z zysków kupiłem „Pełnię” i po kilku latach błąkania się po świecie zawinałem tu na stałe, po czym żyłem długo i szczęśliwie.

- No i napisałeś książkę.

- Tak, oczywiście, napisałem książkę.

- To było w tym wszystkim najważniejsze.

- Dlaczego najważniejsze?

- Bo to coś twórczego. Coś, co wypłynęło z ciebie. Umiejętność pisania to dar. Ja nie potrafię sklecić dwóch zdań.

- Ja też nie potrafię - odparł George. - Właśnie dlatego pan Rutland za twoim pośrednictwem przekazał mi to tajemnicze przesłanie.

- Nie napiszesz już więcej książek?

- Wierz mi, napisałbym, gdybym mógł. Zacząłem, ale okazało się to okropne, nie nadawało się do czytania, tak że podarłem wszystko w strzępy i urządziłem sobie rodzaj rytualnego stosu pogrzebowego. Najłagodniej da się to określić, że ów płód nie był obiecujący. A umówiłem się ze starszkiem, że w ciągu roku przedstawię mu drugie dzieło, choćby tylko szkic. Powiedziano mi, że cierpię na chwilowy brak weny twórczej, co, jeśli cię to interesuje, równa się najgorszej chorobie umysłowej.

- O czym próbowałeś napisać tę drugą książkę?

- O podróży po Morzu Egejskim, którą odbyłem, zanim się osiedliłem tutaj.

- Co nie wypaliło?

- Książka wyszła mi nudna. Podróż była ekstra, ale z mojej pisaniny wynikało, że była równie podniecająca jak jazda autobusem przez Leeds w deszczową listopadową niedzielę. Zresztą, nic oryginalnego.

- Ale nie w tym rzecz. Na pewno uda ci się znaleźć nowe podejście, inne spojrzenie. W końcu przecież na tym to polega, prawda?

- No tak, oczywiście. - Uśmiechnął się do niej. - Może i wyglądasz jak młody głąb kapuściany, ale nie jest z tobą aż tak źle.

- Umiesz mówić miłe rzeczy w przeokropny sposób.

- Wiem. Jestem pokręcony i pokrętny. Dobra, a co sły-  
chać u zaimków osobowych?

Selina z powrotem zajęła się nauką.

- *Usted. Ty. El. On. Ella...*

- Dwa „l” wymawia się, jakby było po nich „j”. Elja.

- Elja - powtórzyła Selina i znowu spojrzała na George'a. - Nigdy się nie ożeniłeś?

Nie odpowiedział od razu, ale twarz mu się napięła, jak-  
by Selina zapaliła latarkę i przysunęła mu ją do oczu.

- Nigdy się nie ożeniłem. Ale byłem kiedyś zaręczony -  
odparł po chwili dość spokojnie. Selina czekała i, może za-  
chęcony jej milczeniem, podjął: - To było wtedy, kiedy pra-  
cowałem w Bradderford. Jej rodzice byli jego typowymi  
mieszkańcami: bardzo bogaci, bardzo dobrzy, ludzie, którzy  
dorobili się o własnych siłach. Prawdziwa sól ziemi. Ojciec  
jeździł bentleyem, matka jaguarem, a Jenny miała konia  
wysokości prawie trzech metrów. Zimą spędzali na nartach  
w San Moritz, latem opalali się w Formentor, odwiedzali  
też festiwal muzyczny w Leeds, bo sądzili, że tego się od  
nich oczekuje.

- Sama nie wiem, czy jesteś wobec nich łagodny, czy  
okrutny.

- Ja też nie wiem.

- Ale dlaczego ona z tobą zerwała?! - wykrzyknęła zdumiona.

- To nie ona zerwała, tylko ja. Na dwa tygodnie przed  
najwspanialszym weseliskiem, jakie Bradderford widziało.  
Przez kilka miesięcy nie mogłem się przedrzeć do Jenny  
przez druhny, wyprawę panny młodej, firmy organizujące

przyjęcia, fotografów, prezenty ślubne. O, Boże! Te prezenty ślubne! I w końcu to zaczęło przypominać wielką, wysoką ścianę, która nas rozdzieliła, tak że nie mogłem do Jenny dotrzeć. A kiedy uświadomiłem sobie, że jej ta ściana bynajmniej nie przeszkadza, że nawet nie zdaje sobie sprawy z jej istnienia... Cóż, nigdy nie żywiłem do siebie szczególnego szacunku, ale chciałem zachować choć tyle, ile go miałem.

- Powiedziałeś jej, że się z nią nie ożenisz?

- Tak. Poszedłem do niej. Powiedziałem Jenny, a potem jej rodzicom. A wszystko to odbyło się w pokoju pełnym skrzynek, pudełek, bibułki, srebrnych świeczników, salaterek, zestawów do herbaty i setek kieliszków. Coś straszniego. Makabryczne. - Wzdrygnął się na samo wspomnienie. - Czuję się jak morderca.

Selina pomyślała o nowym mieszkaniu, wykładzinach, muślinie, obowiązkowej białej sukni, ślubie w kościele i panu Arthurstonie, który ma ją poprowadzić do ołtarza. Panika, jaka ją nagle ogarnęła, przypominała nieopanowany strach towarzyszący koszmarom. Człowiek się zgubił i wiedział o tym. Zdawał sobie sprawę, że w którymś miejscu źle skręcił i dalej czekają go tylko nieszczęścia, urwiste zbocza i wszelkie możliwe, nie nazwane lęki. Chciała się zerwać na nogi i biec, uciekać od wszystkiego, w co się pakowała, co robiła z musu.

- Czy... czy to wtedy opuściłeś Bradderford?

- Nie bądź taka przerażona. Nie, nie wtedy. Zostały mi jeszcze dwa lata do odsłużenia. Spędziłem je w charakterze *persona non grata* u wszystkich matek panien na wydaniu, spotykając się z afrontami ze strony osób, od których najmniej bym się tego spodziewał. W pewnym sensie było to ogromnie interesujące: człowiek się przekonywał, kto naprawdę jest jego przyjacielem... - Przynurzył się i oparł łokciem o dach. - Ale to w niczym nie pomoże ci doskonać się w bezbłędnej kastylijskiej hiszpańszczyźnie. Zobaczmy, czy umiesz odmienić w czasie teraźniejszym *Hablar*.

- *Hablo*. Mówię - zaczęła Selina. - *Usted habla*. Mówisz. Kochałeś ją?

George zerknął na nią, ale w jego ciemnych oczach nie było gniewu, lecz ból. Potem opaloną dłonią zasłonił otwarty podręcznik gramatyki i powiedział łagodnie:

- Bez zagładania. Nie wolno oszukiwać.

Citroen dotarł do Cala Fuerte w najgorętszej porze dnia. Słońce świeciło na błękitnym, bezchmurnym niebie, cienie były czarne, kurz i domy bardzo białe. W pobliżu ani żywej duszy. Wszystkie okiennice pozamykane. Kiedy Frances zamknęła przed budynkiem hotelu „Cala Fuerte” i wyłączyła silnik potężnej maszyny, zapadła całkowita cisza, przerywana jedynie szelestem sosen, kołyszących się w powiewach jakiegoś tajemniczego, niewyczuwalnego wiatru.

Frances wysiadła z samochodu, głośno zatrzasnęła drzwiczki i weszła do hotelu, kierując się prosto do baru Rudolfa. Po ostrych promieniach słońca potrzebowała chwili, żeby się przyzwyczaić do mroku, ale Rudolfo był na miejscu, spędzając sjęstę w jednym w wysokich trzcinyowych foteli. Obudził się i poderwał, zaspany, zdziwiony.

- Ej, witaj, *amigo* - powiedziała.

Przetarł oczy.

- Francesca! Co ty tu robisz?

- Właśnie przyjechałam z San Antonio. Zrobiłbyś mi coś do picia?

Staął za barem.

- Czego sobie życzysz?

- Może zimne piwo?

Podciągnęła się na stołek, wyjęła papierosa i zapaliła go zapałką z pudełka, które po blacie przesunął jej Rudolfo. Otworzył piwo i nalał je ostrożnie, bez piany.

- To nie najlepsza pora dnia na jazdę w kabriolecticie - stwierdził.

- Nie przeszkadzało mi.

- Bardzo gorąco jak na tę porę roku.

- Jak dotąd to najgorętszy dzień w tym roku. San Antonio przypomina puszkę sardynek; to prawdziwa ulga wyrwać się poza miasto.

- Dlatego tu przyjechałaś?

- Nie tylko. Przyjechałam odwiedzić George'a.

Rudolfo odpowiedział swoim charakterystycznym gestem: wzruszył ramionami i opuścił kąciki ust. Zdawał się sugerować, że coś nie jest w porządku, i Frances zmarszczyła brwi.

- Nie ma go?

- Ależ oczywiście, że jest. - W oczach Hiszpana błysnęła iskierka złośliwości. - Wiedziałaś, że ma w Casa Barco gościa?

- Gościa?

- Córkę.

- Córkę?!

Frances przez moment milczała zdumiona, potem wybuchnęła śmiechem.

- Zwariowałeś?

t, - Nie zwariowałem. Jest tutaj jego córka.

- Ale... Ale George nigdy nie był żonaty.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Rudolfo.

- Na miłość boską, ileż ona ma lat?

Znowu wzruszył ramionami.

- Siedemnaście? - strzelił.

- Ależ to niemożliwe...

Rudolfo stracił cierpliwość.

- Powiadam ci, Francesco, ona jest tutaj.

- Wczoraj spotkałam George'a w San Antonio. Dlaczego nic o tym nie wspomniał?

- Ani słowem? Nie dał ci do zrozumienia w jakiś sposób?

- Nie, nie dał.

Nie powiedziała całej prawdy, bowiem całe jego wczorajsze zachowanie odbiegało od normy i dlatego Frances uznała je za lekko podejrzanę. Ta nagła potrzeba wysłania telegramu, skoro zaledwie dzień wcześniej był w mieście, zaku-

py w sklepie Teresy - najbardziej kobiecym w mieście - i ta ostatnia uwaga, że teraz nie tylko kota musi nakarmić po powrocie do Cala Fuerte. Cały wieczór i większą część nocy Frances przetrawiała te trzy fakty, przekonana, że wszystkie one prowadzą do jednego wniosku: dzieje się coś, o czym powinna wiedzieć. Rano, nie mogąc już dłużej znieść pozostawania w niewiedzy, postanowiła wyruszyć do Cala Fuerte i sprawdzić, co tam się dzieje. Nawet jeśli się okaże, że nic, przynajmniej spotka się z George'em. Poza tym zapchane ulice i chodniki San Antonio rzeczywiście zaczynały działać jej na nerwy, a perspektywa pustej, niebieskiej zatoki i ożywczego aromatu sosen była bardzo zachęcająca.

I proszę. To jego córka. George ma córkę. Frances zgasiła papierosa. Zauważyła, że ręka jej się trzęsie.

- Jak się nazywa? - spytała najswobodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- *Señorita?* Selina.

- Selina.

Wypowiedziała to imię z obrzydzeniem, jakby pozostawiało nieprzyjemny smak w ustach.

- Jest naprawdę czarująca.

Frances dokończyła piwo. Odstawiła pustą szklanekę.

- Chyba powinnam pojechać i sama się przekonać.

- Powinnaś.

Zsunęła się z wysokiego stołka, zabrała torebkę i ruszyła do wyjścia. Ale w progu stanęła i obróciła się. Rudolfo patrzył za nią z rozbawieniem w wyłupiastych oczach.

- Rudolfo... Gdybym została na noc... Przygotujesz dla mnie pokój?

- Oczywiście, Francesco. Pokój będzie przygotowany.

\* \* \*

Wzbijając tumany kurzu pojechała do Casa Barco, znalazła cień, tam zaparkowała wóz i przeszła alejką do domu. Otworzyła zielone drzwi wejściowe.

- Jest tu kto? - zawołała, ale nikt nie odpowiedział.

Weszła do środka.

Mieszkanie było puste. Pachniało słodko, popiołem z drewna i owocami. Panował w nim chłód: zasługa lekkiego wiatorku od morza, który wpadał przez otwarte okna. Frances rzuciła torebkę na najbliższe krzesło i kręciła się, szukając śladów obecności rywalki. Nie znalazła żadnego. Z góry dobiegł cichy odgłos, ale kiedy zaskoczona spojrzała w tamtą stronę, zobaczyła, że to tylko ten idiotyczny biały kot George'a zeskoczył z łóżka i teraz zbiega po stopniach na powitanie gościa. Frances nie przepadała za kotami, a już za tym w szczególności, i stopą odepchnęła zwierzę, ale Perła nie straciła swej godności. Odeszła obrażonym krokiem, każdym ruchem okazując dezaprobatę, i wymaszerowała na taras. Po chwili namysłu Frances ruszyła jej śladem. Przechodząc obok biurka George'a, wzięła jego lornetkę. „Pełnia” spokojnie stała na kotwicy. Frances przysunęła szkła do oczu, wyregulowała ostrość i zobaczyła wyraźnie żaglowiec wraz z jego załogą. George siedział rozparty na krześle w sterówce, czapkę miał nasuniętą na czoło, na piersi spoczywała jakaś książka. Dziewczyna upozowała się na dachu kabiny - długie, smukłe nogi i masa jasnokasztanowych włosów. Ubrana była w koszulę, która wyglądała na własność George'a. Frances nie widziała jej twarzy. Ta scenka świadczyła o zadowoleniu i zażyłości i gdy Frances opuszczała lornetkę, na jej czole pojawiła się zmarszczka. Odniosła lornetkę na biurko, potem nalała sobie szklankę słodkiej, chłodnej, źródlanej wody George'a. Ze szklanką w dłoni wróciła na taras, przesunęła najbardziej ażurowe na krzesła George'a w cień trzcinowej markizy, przeciągnęła się i rozpoczęła oczekiwanie.

\* \* \*

- Nie śpisz? - spytał George.

-Nie.

- Chyba powinniśmy przejść do pozycji pionowej i wracać. Wystarczająco długo wygrzewałaś się na słońcu.

Selina usiadła, przeciągnęła się.

- Zasnęłam.

- Wiem.

- To przez to cudowne wino.

- Tak, pewnie tak.

Powiosłowali z powrotem do Casa Barco, łódka tańczyła niczym chmurka nad szafirową wodą, jej cień przemykał nad wodorostami. Świat był nieruchomy, upalny i cichy, zdawało się, że żyją na nim tylko oni dwoje. Naprężona niczym dojrzwały owoc skóra piekła Selinę, dziewczyna miała wrażenie, że lada chwila z niej wytryśnie, ale to uczucie nie było nieprzyjemne - stanowiło jedynie przedłużenie wspaniałego dnia. Przyciągnęła pusty koszyk do kolan.

- To był udany piknik. Najlepszy, jaki kiedykolwiek miałam - stwierdziła, spodziewając się, że George odpowie jakąś złośliwością na temat Frinton, ale ku jej zaskoczeniu i szczęściu, nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął, jakby i on mile spędził czas.

Powiosłował do przystani, wyszedł na brzeg i przycumował łódź dwiema pętlami. Selina podała koszyk, potem też wyskoczyła na przystań, rozgrzane deski paliły jej bosc stopy. Minęli pochylnię i po schodach weszli na taras. George na tyle wyprzedził Selinę, że usłyszała głos Frances Don-gen, zanim ją zobaczyła.

- Proszę, proszę. Kogóż my tu widzimy!

George na ułamek sekundy znieruchomiał, potem, jakby nic nie słyszał, wszedł na taras.

- Cześć, Frances - powiedział.

Idąca za nim Selina zwolniła kroku. Frances spoczywała na starym trzciniowym leżaku, nogi oparła o stolik. Miała na sobie biało-niebieską kraciastą koszulę zawiązaną na brzuchu, żeby pokazać opaleniznę i białe, obcisłe spodnie do kostek. Zrzuciła buty, stopy skrzyżowane na brzegu stolika były ciemne, zakurzone, paznokcie pomalowane na jaskrawoczerwono. Nawet nie zrobiła gestu, żeby się wyprostować czy wstać, po prostu leżała wygodnie z dłońmi

opartymi o podłogę i przyglądała się George'owi spod kaskady krótkich blond loczków.

- Czyż to nie miła niespodzianka? - Obejrzała się przez ramię i zawołała do Seliny: - Cześć!

Selina uśmiechnęła się blado.

- Dzień dobry.

George odstawił koszyk.

- Co ty tu robisz?

- Cóż, w San Antonio jest gorąco, tłoczno i hałaśliwie, więc pomyślałam, że wezmę sobie parę dni wolnych.

- Zatrzymałaś się tutaj?

- Rudolf o obiecał, że przygotowuje mi pokój.

- Widziałaś się z Rudolfem?

- Tak, po drodze wstąpiłam do niego, żeby się napić.

Mierzyła kochanka wzrokiem, w jej oczach błyszczała złośliwość. Bawiła ją niepewność George'a, który nie wiedział, co Rudolfo jej powiedział.

George przysiadł na krawędzi stolika.

- Czy Rudolfo wspomniał, że Selina u mnie mieszka?

- Och, jasne, że wspominał.

Uśmiechnęła się do Seliny.

- Wiesz, to największa niespodzianka, jaka mnie w życiu spotkała. George, nie przedstawiłeś nas sobie.

- Przepraszam. Selino, to pani Dongen...

- Frances - poprawiła szybko Frances.

- A to Selina Bruce.

Selina postąpiła ku niej z wyciągniętą ręką.

- Miło mi.

Ale Frances zignorowała nieśmiały gest.

- Przyjechałaś tu w odwiedziny?

-Tak.

- George, nigdy nie wspominałeś, że masz córkę.

- Ona nie jest moją córką - powiedział George.

Frances przyjęła to z kamienną twarzą. Potem podniosła jedną nogę ze stolika i podciągnęła się do pozycji siedzącej.

- Czyżbyś próbował mi...

- Chwileczkę. Selino...

Obróciła się w jego stronę, zobaczył na jej twarzy zmieszanie i wstyd, może nawet ślad bólu.

- Pozwolisz, że chwilę porozmawiam z Frances w cztery oczy?

- Tak, oczywiście że tak.

Próbowała się uśmiechnąć, by udowodnić, jak mało ją to dotknęło, szybko odłożyła rzeczy, które niosła: ręcznik i podręcznik gramatyki, tak jakby chciała się odciążyć przed ucieczką.

- Tylko pięć minut.

- Wrócę do łódki. Tam jest chłodniej.

- Dobrze.

Szybko pomknęła w dół po schodach. Po chwili Perła, która siedziała na murku tarasu, wstała, przeciągnęła się, zeskoczyła lekko i pobiegła za dziewczyną. George odwrócił się do Frances.

- Ona nie jest moją córką - powtórzył.

- W takim razie kim, do cholery?

- Ni z tego, ni z owego przyjechała tu z Londynu, bo sądziła, że jestem jej ojcem.

- A jakim cudem to sobie ubzdurzyła?

- Zobaczyła moje zdjęcie na obwolucie książki.

- I naprawdę przypominasz jej ojca?

- Tak. Co więcej, był moim dalekim krewnym, ale to bez znaczenia. Nie żyje. Nie żyje od lat. Zginął w czasie wojny.

- Chyba nie wyobrażała sobie, że zmartwychwstał?

- Przypuszczam, że jeśli człowiek czegoś naprawdę chce, uwierzy nawet w cud.

- Rudolfo powiedział mi, że to twoja córka.

- Tak, wiem. Po wsi rozeszła się pogłoska, zrobiło mi się żal dziewczyny i dla jej dobra wydawało się, że będzie lepiej, jeśli nie będziemy temu zaprzeczać. Jest tu od dwóch dni.

- Mieszkając tutaj... Z tobą? Chyba oszalałeś.

- Musiała zostać. Linie lotnicze zapodziały jej walizkę, a bilet powrotny ukradziono na lotnisku.

- Dlaczego wczoraj nie wspomniałeś o niej ani słowem?

- Bo wydawało mi się, że to nie twoja sprawa.

Zabrzmiało to bezwzględniej, niż zamierzał.

- O, Boże, przepraszam, ale tak wyszło.

- A co powiedzą twoi przyjaciele z Cala Fuerte, kiedy się dowiedzą, że ona jednak nie jest twoją córką? Kiedy się zorientują, że ich okłamałeś...

- Wyjaśnię po jej wyjeździe.

- Który nastąpi...

- Kiedy dotrze do nas gotówka z Londynu. Już jesteśmy winni Rudolfowi sześćset peset, a oprócz tego musimy kupić drugi bilet lotniczy, moje pieniądze zaś tkwią w banku w Barcelonie...

- A więc chodzi wyłącznie o pieniądze!

George wpatrywał się w nią uważnie.

- Tylko dlatego jeszcze tutaj siedzi? To jedyny powód, dla którego nie odesłałeś jej prosto do domu?

- Tak samo dobry jak każdy inny.

- Ale dlaczego, u licha, nie zwróciłeś się do mnie?

George już otwierał usta, żeby wyjaśnić, dlaczego, ale z powrotem je zamknął. Frances nie mieściło się to w głowie.

- Czy ona chce tu zostać? A przede wszystkim, czy ty chcesz, żeby ona tu została?

- Nie, oczywiście że nie. Selina nie może się doczekać, żeby wrócić, a ja nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie się jej pozbędę. Poza tym sytuacja jest całkiem nieszkodliwa.

- Nieszkodliwa? W życiu nie słyszałam z twoich ust równie naiwnego stwierdzenia. Oczywiście, ta sytuacja jest prawie tak nieszkodliwa jak beczka prochu!

Nie odpowiedział. Siedział tylko ze zwieszonymi ramionami, tak mocno zaciskając ręce na krawędzi stołu, że kostki mu pobielewały. Frances wyrozumiałym gestem przykryła dłońią jego palce. Nie cofnął się.

- Zaufałeś mi, więc pozwól, że ci pomogę. Dziś o siódmej z San Antonio odlatuje samolot do Barcelony. Ma połączenie do Londynu, tak że koło północy dziewczyna powinna być na miejscu. Dam jej pieniądze na bilet lotniczy i będzie mogła wrócić do domu.

Nadal milczał, więc mówiła dalej łagodnym tonem.

- Kochanie, nie pora teraz na duszne rozterki. Mam rację i ty dobrze o tym wiesz. Ona nie może tu zostać ani chwili dłużej.

Selina siedziała na pomoście, plecami do budynku, ze stopami zanurzonymi w wodzie. George zszedł po schodach, minął pochylnię i zatupał po zapadających się deskach. Selina siedziała nieruchomo. Zawołał ją po imieniu. Nie odpowiedziała. Przykucnął obok.

- Słuchaj. Chcę z tobą porozmawiać.

Odsunęła się od niego, włosy rozdzieliły jej się na karku i opadły po obu stronach twarzy.

- Selino, spróbuj zrozumieć.

- Jeszcze nic nie powiedziałaś.

- Możesz wrócić do Londynu jeszcze dzisiaj. Jest samolot o siódmej, powinnaś być w domu koło północy, najpóźniej o pierwszej. Frances zaproponowała, że zapłaci za twój bilet.

- Chcesz, żebym pojechała?

- Tu nie chodzi o to, czego ja chcę albo ty chcesz. Musimy postąpić tak, jak jest słusznie i najlepiej dla ciebie. Pewnie nie powinienem być w ogóle dopuścić, żebyś u mnie zamieszkała, ale wypadki nas przerosły. Powiedzmy sobie otwarcie: Cala Fuerte nie jest miejscem dla kogoś takiego jak ty, a biedna Agnes z pewnością się niepokoi, co się z tobą stało. Naprawdę sędzę, że powinnaś wrócić.

Selina wyciągnęła z wody długie nogi, podciągnęła kolana pod brodę, tuląc je do siebie, jakby próbowała się trzymać w garści, jakby się bała, że zaraz się rozpadnie.

- Nie wyrzucam cię... - mówił. - To musi być twoja decyzja.

- To bardzo miło ze strony twojej przyjaciółki.

- Chce nam pomóc.

- Skoro mam wracać do Londynu dziś wieczorem, pozostało mi niewiele czasu.

- Odwiozę cię do San Antonio.

-Nie!

Zaskoczyła go gwałtowność tego okrzyku. Spojrzała na niego, pierwszy raz w czasie tej rozmowy.

- Nie, nie chcę, żebyś mnie odwiózł. Przecież musi być ktoś inny, kto może to zrobić. Rudolfo, taksówka. Musi być ktoś inny.

Starał się nie okazać, jak go to zabolalo.

- Cóż, oczywiście, ale...

- Nie chcę, żebyś mnie odwoził.

- No dobra. To bez znaczenia.

- A w Londynie zadzwonię do Agnes z lotniska. Będzie w domu. Złapię taksówkę, Agnes będzie na mnie czekała.

Zabrzmiało to tak, jakby już wyjechała i oboje zostali sami. Ona sama w samolocie, sama w Londynie - zmarznięta, bo po San Antonio Londyn wyda jej się taki zimny - próbując dodzwonić się z budki do Agnes. I będzie już po północy. Agnes będzie spać, obudzi się dopiero po dłuższej chwili. Telefon będzie dzwieniał w pustym mieszkaniu, Agnes wstanie, włoży szlafrok i zapalając po drodze światła, pójdzie odebrać. A potem napełni termofor gorącą wodą, pościele łóżko, podgrzeje mleko.

Dalej już jego wyobrażenia nie sięgała.

- Co zrobisz? - spytał. - Kiedy już wrócisz do Londynu? Kiedy to wszystko będzie skończone i zapomniane?

- Nie wiem.

- Nie masz żadnych planów?

Po krótkiej chwili pokręciła głową.

- To ułóż sobie jakieś - powiedział łagodnie. - I niech będą dobre.

## *Rozdział dziesiąty*

Postanowiono, że należy zaatakować Pepe, męża Marii, i poprosić go o zawiezenie Seliny na lotnisko. Pepe co prawda zasadniczo nie pracował jako taksówkarz, ale od czasu do czasu czyścił swój stary samochód ze źdźbeł trawy i kurzych kupek oraz innych rolniczych opadów zwykle go ozdabiających i zawodził pasażerów do miejsca przeznaczenia. George usiadł za kierownicą wozu Frances i ruszył na poszukiwanie Pepe, żeby go poprosić o tę przysługę. Selina w towarzystwie Frances i Perły została w Casa Barco, gdzie szykowałą się do wyjazdu.

Długo to nie potrwało. Wzięła prysznic i ubrała się w spodnie George'a tak wspaniale skurczone przez gorliwą Juanitę, koszulę w paski i espadryle, które kupiła w sklepie Marii. Porządna dżersejowa sukienka została już poświęcona na ściereczkę do kurzu, a bikini było tak malutkie, że bez trudu mieściło się na dnie torebki. I to już wszystko. Uczesaa się, przewiesiła płaszcz przez najbliższe krzesło i niechętnie - ponieważ nie pałała chęcią do rozmowy - wyszła na taras, gdzie Frances ponownie wyciągnęła się na trzcinowym leżaku. Oczy miała zamknięte, ale słysząc nadchodzącą Selinę, uchyliła powieki i obejrzała się na konkurentkę, która usiadła na murku tarasu twarzą do niej.

- Wszystko spakowane? - spytała.
- Tak.
- Szybko się uwinęłaś.

- Nie miałam żadnych ubrań. Zgubiłam walizkę. Przez pomyłkę wysłano ją do Madrytu.

- Takie pomyłki ciągle się zdarzają.

Frances wyprostowała się i sięgnęła po paczkę papierosów.

- Zapalisz?

- Nie, dziękuję.

Frances przypaliła jednego papierosa.

- Mam nadzieję, że nie uważasz, że się wtrącam albo wyganiam cię stąd.

- Nie. I tak powinnam wracać. Im szybciej znajdę się w domu, tym lepiej.

- Mieszkasz w Londynie?

- Tak. Na Queen's Gate - zmusiła się do dodania.

- To miło. Podobała ci się wycieczka na San Antonio?

- Była bardzo interesująca - odparła Selina.

- Sądziłaś, że George to twój ojciec.

- Myślałam, że może tak jest. Ale się pomyliłam.

- Czytałaś książkę?

- Nie, jeszcze nie przeczytałam jej dokładnie. Ale zrobię to po powrocie do domu. Wtedy będę miała czas. Książka odniosła wielki sukces - dodała.

- Tak, pewnie - odparła Frances automatycznie.

- A pani się nie podobała?

- Czemu? Jest dobra. Świeża, oryginalna. - Zaciągnęła się papierosem, strzepnęła popiół na podłogę. - Ale George niczego więcej już nie napisze.

Selina ściągnęła brwi.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Bo moim zdaniem nie ma dość samodyscypliny, żeby się wziąć do pisania następnej książki.

- Powiedziano mu, że cierpi na chwilowy brak weny twórczej.

Frances parsknęła śmiechem.

- Słuchaj, kochanie, to właśnie ja mu to powiedziałam.

- Skoro nie sądzi pani, by był zdolny do napisania jesz-

cze jednej książki, to dlaczego mu pani powiedziała, że to tylko chwilowy brak weny twórczej?

- Och, bo był przygnębiony i próbowałam go podnieść na duchu. Ma pieniądze i po prostu szkoda jego czasu i trudu na pisanie czegoś więcej. Skórka za wyprawkę.

- Ale przecież on musi napisać drugą książkę.

- Dlaczego?

- Bo obiecał. Bo jego wydawca czeka. Dla spokoju własnego sumienia.

- E, gadanie.

- A pani nie chce, żeby George dalej pisał?

- To, czego ja chcę albo nie, nie ma tu znaczenia. Po prostu wyrażam swoje zdanie. Słuchaj, malutka, prowadzę galerię sztuki. Bez przerwy mam do czynienia z tymi humorami, fochami, huśtawkami nastrojów artystów. Po prostu uważam, że George nie jest twórczy.

- Ale jeśli nie będzie pisał, to co ma robić?

- To samo, co robił przed napisaniem „Fiesty w Cala Fuerte”. Nic. W San Antonio bardzo łatwo nic nie robić, mówić na wszystko: *Mañana*. - Uśmiechnęła się. - Nie miej takiej zgorszonej miny. George i ja jesteśmy dwa razy starsi od ciebie, a po czterdziestce niektóre złudzenia i piękne sny zaczynają się nieco przecierać na rogach. Życie nie musi być takie prawdziwe i poważne, jak to się wydaje, kiedy się ma osiemnaście... czy ile ich ty tam sobie liczysz...

- Dwadzieścia.

Głos Seliny brzmiał chłodno i Frances była zadowolona, bo sądziła, że wreszcie rozdrażniła tę małą. Leżała przyglądając się Selinie i już się nie bała tak jak wtedy, kiedy ją zobaczyła, bo dziewczyna miała wrócić do domu. Za pół godziny wyruszy w drogę. Na lotnisko, do Londynu, z powrotem do swego życia na Queen's Gate, co do którego Frances zamierzała nadal pozostawać w błogiej niewiedzy.

Odgłos nadjeżdżającego citroena przerwał niezręczną ciszę. Po nim nastąpiło mniej wytworne rżenie staroświeckiego pojazdu Pepe. Selina wstała.

- Jest już taksówka.

- Och, świetnie! - Frances rozgniotła niedopałek na podłodze. - Proszę, masz pieniądze.

Selina z trudem się zmusiła, żeby je przyjąć, ale Frances właśnie odliczała je na jej dłoni, kiedy z domu wyszedł George i przyłączył się do nich. Wyglądał na równie stropionego całą tą sytuacją jak Selina, ale przypomniał, że Selina będzie potrzebowała w Londynie funta na taksówkę, na co Frances wypełniła jeden ze swoich czeków American Express i podała go dziewczynie.

- Zrealizujesz go na lotnisku.

- To bardzo miłe z pani strony.

- Och, drobiazg - stwierdziła Frances. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- Do... dopilnuję, żeby pani dostała z powrotem pieniądze.

- Tak, jestem tego pewna.

- Gdzie twoja torba? - spytał George.

- W środku.

Poszedł po nią, wziął od Seliny pieniądze i ukrył je w bezpiecznej, dobrze schowanej kieszeni wewnętrznej.

- Tylko nie zgub ich znowu - powiedział. - Drugi raz tego nie przeżyję.

Miał to być słaby żart, ale George natychmiast go pożałował, bo zabrzmiał, jakby gospodarz nie mógł znieść myśli, że Selina jeszcze raz spadnie mu na kark.

- Masz paszport? - spytał szybko, próbując zatuszować tamto zdanie.

Skinęła głową.

- Na pewno?

- Tak, oczywiście.

- W takim razie chyba pora ruszać. Nie zostało ci wiele czasu.

Pozbywano jej się delikatnie, ale ze zdecydowaniem. Nigdy już tu nie wróci. Wolno poszła za George'em do domu. Wziął jej praktyczny, podróżny budy płaszcz, odsunął się na

bok, robiąc jej przejście. Za nią, w otwartych drzwiach tarasu stała Frances Dongen.

- Pepe czeka... - powiedział łagodnie.

Selina przełknęła ślinę.

- Bardzo zaschło mi w gardle - powiedziała. - Czy zdążę się czegoś napić?

- Ależ oczywiście.

Podszedł do studni, ale Selina zaprotestowała:

- Nie, wolałabym wodę sodową. Jest bardziej orzeźwiająca i taka chłodna. Nie zwracaj sobie głowy. Wezmę sobie z lodówki. Za moment wracam.

Czekali. Selina wślizgnęła się za barek, schyliła się, otwierając lodówkę i szukając oszronionej butelki. Na chwilę zniknęła im z oczu, po czym wyprostowała się z butelką w rękę. Otworzyła wodę, wlała do szklanki i wypijała tak szybko, że George wyraził obawę, czy aby się nie rozpęknie.

- Nie ma obawy.

Odstawiła szklankę i nagle się uśmiechnęła, jakby szklanka wody sodowej rozwiązała wszelkie jej problemy.

- Była pyszna.

Wyszli na słońce, gdzie czekał na nich Pepe. Odebrał od Seliny płaszcz i położył ostrożnie na oczyszczonym w pośpiechu tylnym siedzeniu. Selina pożegnała się z Frances, podziękowała za pomoc i odwróciła się stroną George'a. Nie wyciągnęła ręki, a on jej nie pocałował. Pożegnali się, nie dotykając się, ale on i tak miał wrażenie, jakby ich roz-darto.

Wsiadła do starego samochodu wyprostowana, wzruszająca, taka bezbronna. Pepe zajął miejsce obok, George zasypał go ostatnimi instrukcjami i zagroził śmiercią, jeśli coś nawali. Pepe zrozumiał, kiwał głową, nawet roześmiał się, pokazując swe luki w uzębieniu, potem uruchomił stary wóz.

Samochód pokonał wzgórze i odjechał, ale George dalej patrzył, nawet kiedy wóz już zniknął, bo nadal słyszał odgłos silnika.

Tej nocy w hotelu „Cala Fuerte” odbyła się wielka zabawa. Nikt jej wcześniej nie planował, rozwinęła się sama, jak to się najczęściej zdarza z najlepszymi przyjęciami. Uczestniczyli w niej przedstawiciele najróżniejszych nacji, łączyli się niewyobrażalne ilości alkoholu. Wszyscy wpadli we wspaniałą humor. Jakaś gruba dziewczyna postanowiła tańczyć na stole, ale spadła prosto w ramiona swego chłopaka i przespała tam resztę wieczoru. Jeden z rybaków wyciągnął gitarę i Francuzka odtńczyła parodię flamenco, którą George uznał za najzabawniejszą rzecz, jaką w życiu oglądał. Koło pierwszej w nocy jednak ni z tego, ni z owego oświadczył, że wraca do Casa Barco. Rozległy się okrzyki protestu, zarzucono mu, że psuje wszystkim zabawę, twierdzono, że nadeszła jego kolejka stawiania drinków, ale on nie ustąpił, bo wiedział, że musi wynieść się stąd, zanim jego śmiech zamieni się w łzy. Nie ma nic gorszego niż mażący się pijak.

Wstał, z przeraźliwym skrzypieniem odsuwając krzesło od stolika.

- Pojadę z tobą - powiedziała Frances.

- Pamiętaj, że nocujesz tutaj.

- Odwiozę cię do domu. Jaki sens iść na piechotę, skoro przed drzwiami czeka samochód w doskonałym stanie?

Ustał, bo to było łatwiejsze i prostsze niż wywoływanie sceny. Na zewnątrz panowała ciepła, wiosenna noc, na niebie świeciły jasno gwiazdy. Citroen stał zaparkowany na środku placu; kiedy do niego podeszli, Frances wsunęła George'owi kluczyki do ręki.

- Ty prowadź - powiedziała.

Oczywiście, mogła sama kierować, ale od czasu do czasu lubiła udawać słabą kobietkę, więc George wziął kluczyki i usiadł za kółkiem.

Przyszło mu na myśl, że podczas gdy jego śmieszny samochód z żółtymi kołami stanowił jedynie środek transportu ułatwiający poruszanie się po wyspie, to citroen Frances - szybki i potężny - był w pewnym sensie seksów-

nym odbiciem jej osobowości. Siedziała teraz obok niego z twarzą wyciągniętą ku gwiazdom. Brązowa szyja wynurzała się z głębokiego, trójkątnego wycięcia bluzki. George wiedział, że czeka na pocałunek, ale on najpierw zapalił papierosa, potem uruchomił samochód.

- Dlaczego mnie nie pocałujesz?

- Nie wolno mi cię całować. Nie wiem, gdzie byłaś - odparł.

- Dlaczego wszystko musisz obracać w żart?

- To mój angielski mechanizm obronny.

Zerknęła na zegarek. W jasnym blasku gwiazd godzina była doskonale widoczna.

- Dochodzi pierwsza. Jak sądzisz, jest już w Londynie?

- Powinna.

- Queen's Gate. Szczerze mówiąc dzielnica niezbyt w naszym typie, prawda, kochany?

Zaczął poświstywać pod nosem melodię, która go prześladowała, cały wieczór dźwięczała mu w głowie.

- Chyba się o nią nie martwisz?

- Nie, nie martwię się. Ale powinienem był sam ją odwiedzić na lotnisko, a nie pozwolić, żeby pojechała tą maszyną do szycia na kółkach, którą Pepe nazywa samochodem.

- Nie chciała, żebyś ją odwoził. Chlipałaby całą drogę i oboje byłibyście zażenowani.

Nic nie odpowiedział. Frances się roześmiała.

- Widzę, że nie dajesz się wciągnąć w dyskusję.

- Jestem zbyt pijany na dyskusje.

- Wracajmy do domu.

Pojechali, George cały czas gwizdał tę cholerną melodię. Kiedy zatrzymali się pod Casa Barco, wyłączył silnik i wysiadł. Frances za nim. Tak jakby się wcześniej umówili, weszła z nim do domu. W mieszkaniu było chłodno i ciemno, ale George zapalił światła i automatycznie poszedł nalać sobie drinka, bo bez niego umarłby, zasnął albo wybuchnął płaczem, a pierwiej go piekło pochłonęło, niżli pozwoli, żeby Frances to zobaczyła.

Swobodnie, jakby była u siebie, padła na sofę, przerzucając nogi przez oparcie, głowę kładąc na jasnoniebieskiej poduszce. George niezręcznie zabrał się do przygotowania dla nich drinków, upuścił otwieracz, rozrzucił kostki lodu.

- Musisz gwizdać tę cholerną melodię? - odezwała się Frances. - Nie znasz czegoś innego?

- Nawet nie wiem, z czego to.

- Tak czy owak, przestań.

W głowie mu dudniło, gdziekolwiek się obejrzał, widział kałuże wody i topniejącego lodu, a nie mógł znaleźć żadnej szmaty, żeby je wytrzeć. Wziął drinki i podszedł z nimi do sofy. Frances wzięła szklanekę, nie spuszczać wzroku z George'a, który usiadł plecami do wygasłego kominka, ścisnąc w dłoniach swoją porcję.

- Wiesz, kochany, jesteś na mnie wściekły - oznajmiła spokojnie Frances.

- Naprawdę?

- Jeszcze jak.

- Dlaczego?

- Bo wywaliłam stąd tę twoją młodą przyjaciółeczkę. I dlatego, że w głębi serca wiesz, że sam powinienes być to zrobić. W dodatku natychmiast.

- Nie miałem pieniędzy na bilet dla niej.

- Wybacz, ale to najsłabsza wymówka, jaką mężczyzna może się bronić.

Popatrzył na swoją szklanekę.

- Tak - odparł w końcu. - Może i tak.

Melodia ciągle dźwięczała mu w głowie.

- Kiedy wyruszyłeś na poszukiwanie Pepe, a ta mała szykowała się do wyjazdu, pozwoliłam sobie powęszyć na twoim biurku - podjęła po chwili Frances. - Nie wygląda na to, żebyś się ostatnio szczególnie przepracowywał.

- To prawda. Nie napisałem ani słowa.

- Odpowiedziałeś na list drogiego pana Rutlanda?

- Nie, tego też nie zrobiłem. Ale - dodał nieco kąśliwie

- skonsultowałem się ze specjalistą, który powiedział mi, że cierpię na chwilowy brak weny twórczej.

- Cóż - orzekła z niejaką satysfakcją Frances - wreszcie wyszła na jaw twoja wredna połowa. A skoro zdjąłeś rękawiczki, ja też mogę to zrobić. Wiesz, kochany, nie sądzę, żebyś w ogóle napisał tę drugą książkę.

- A skąd ta pewność?

- Wystarczy na ciebie spojrzeć. Pisanie to ciężka praca, a ty jesteś jednym z tych typowych, brzydkich Anglików bez ojczyzny, którym nikt nigdy nie dorówna w trudnej sztuce wdzięcznego nic nierobienia.

Przyjął to do wiadomości z błyskiem rozbawienia i Frances wyprostowała się zachęcona, bo jeszcze nie straciła swej umiejętności rozśmieszania kochanka.

- George, skoro nie chcesz jechać do Malagaru, bo nie lubisz walki byków, w takim razie ja też nie pojedę. Ale może tak byśmy stąd uciekli razem? Moglibyśmy wybrać się „Pełnią” na Sycylię, opłynąć Australię albo ruszyć na wielbłądach przez pustynię Gobi...

- A tobołki przerzucić przez pierwszy garb?

- Jak zwykle wszystko obracasz w żart. Mówię poważnie. Jesteśmy wolni, mamy czasu, ile dusza zapagnie. Po co się przykuwać do maszyny i mordować przy pisaniu bzdur? Czy masz jeszcze coś, o czym mógłbyś napisać naprawdę dobrze?

- Nie mam pojęcia.

Znowu opadła na poduszkę. Dokończyła drinka i postawiła pustą szklankę na podłodze. Leżała swobodnie, uwodzicielska, rozpustna, przerażająco znajoma.

- Kocham cię - powiedziała. - Przecież chyba wiesz o tym.

Nie było powodów, żeby się z nią teraz nie kochać. George odstawił szklankę i usiadł obok Frances, wziął ją w ramiona i całował, jakby chciał o wszystkim zapomnieć. Pojękiwała z rozkoszy, zanurzyła palce w jego włosach, cofnął usta i potarł policzkiem o jej kanciastą brodę, czuł szorstkie

włosy drapiące jej skórę. Ukryła twarz na jego ramieniu, mocnymi ramionami niczym obręczą ścisnęła jego szyję.

- Kochasz mnie? - spytała, ale on nie potrafił odpowiedzieć, więc spróbowała inaczej: - Czy mnie lubisz? Chcesz mnie?

Rozplótł jej ramiona i uwolnił się.

Zaczęła się śmiać. Prężne ciało i dowcip, te dwie rzeczy zawsze u niej lubił.

- Cóż, wygląda na to, że, łagodnie mówiąc, jesteś pijany - stwierdziła.

Wstał i poszedł po papierosy. Frances też podniosła się z sofy, przeciągając palcami po włosach.

- Muszę się doprowadzić do porządku, zanim wrócę do Rudolfa. Sam wiesz, pod wieloma względami on jest taki staroświecki. Mogę to zrobić w sypialni?

- Nie krępuj się - odparł George i zapalił światło na górze.

Wbiegła po schodach, obcasy sandałów kłapały na drewnianych stopniach. Nuciała melodię, która nękała go przez cały wieczór i której słów nadal nie potrafił sobie przypomnieć. Wtem przerwała w pół nuty, jakby ktoś wyłączył radio. George zareagował na tę niespodziewaną ciszę tak samo, jakby Frances nagle zaczęła krzyczeć. Zatrzymał się i nastawił uszu niczym podejrzewający coś pies.

Po chwili Frances zeszła po schodach z dziwnym wyrazem twarzy, którego George nie potrafił odczytać.

- Co się stało? - zapytał głupio. - Nie znalazłaś grzebień?

- Nie wiem, nie szukałam. Wystarczyło mi, że popatrzyłam na łóżko...

- Łóżko?

Niczego nie rozumiał.

- To nie jest żart? Ani kolejny przykład specyficznego, brytyjskiego poczucia humoru?

Ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że jest naprawdę wściekła. W jej starannie kontrolowanym głosie brzmia-

ła nutka świadcząca o tym, że lada chwila może dojść do wybuchu.

- Frances, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Ta dziewczyna. Twoja córka. Selina. Czy jak jej tam. Wiesz, gdzie teraz jest? Nie w Londynie. Nawet nie na lotnisku w San Antonio. Jest tam... - Drżącym palcem pokazała sypialnię i jej opanowanie pękło niczym za mocno naciągnięta gumka. - W TWOIM ŁÓŻKU!

- Nie wierzę.

- W takim razie idź sam i zobacz. IDŹ I ZOBACZ.

Nie ruszył się.

- Nie wiem, co tu jest grane, George, ale ja nie po to wyłożyłam kawał grosza, żeby znowu znaleźć tę małą żdzirę w twoim łóżku...

- Nie jest żdzirą.

- ...A jeśli zamierzasz próbować się wytłumaczyć, to postaraj się, żeby to zabrzmiało przekonująco, bo drugi raz nie kupię historyjki o zgubionej walizce i szukaniu zaginionego tatusia...

- To była prawda.

-Prawda? Słuchaj no, ty łajdaku, kogo ty chcesz oszukać?

Zaczęła krzyżeć, a to zawsze doprowadzało go do pasji.

- Nie wiedziałem, że wróci...

- No, to już, wywal ją stąd!

- Nic takiego nie zrobię.

- Dobra. - Frances schyliła się po torebkę. - Jeśli masz ochotę zamieszkać sobie pod jednym dachem z tą zakłamaną, niby to słodziutką żdzirą, to sobie mieszkaj...

- Zamknij się!

- ...Ale nie wplątuj mnie w skomplikowaną akcję ocalenia twojej i jej reputacji, bo, według mnie, po prostu nie jesteście tego warci.

Ruszyła do drzwi, otworzyła je na oścież i odwróciła się, by wygłosić ostatnią kwestię, ale niestety efekt diabli wzięli, bo do domu wkroczyła wyprostowana, dumna Perła.

Czekała na zewnątrz, aż ktoś ją wpuści, i kiedy wreszcie Frances to zrobiła, weszła, pomiaukując z zadowolenia i wdzięczności.

- Lepiej już sobie idź - powiedział George z całym spokojem, na jaki go było stać.

- Nie martw się, już mnie nie ma - oświadczyła Frances i zniknęła, zatrzymując się tylko, by złośliwie kopnąć kotkę i z hukiem zatrzaskać za sobą drzwi, aż dom zadrżał.

Po chwili ciszę nocy rozdarł ryk brutalnie uruchamianego Citroena. Samochód z wyciem jechał pod górę na najniższym biegu, wystawiając nerwy George'a na straszliwą próbę.

George schylił się po kotkę, ale zranione zostały tylko jej uczucia, nic poza tym. Posadził ją delikatnie na jej ulubionej poduszce na sofie. Jego uwagę przykuł jakiś ruch na górze. Stała tam Selina z dłońmi zaciśniętymi na poręczy. Patrzyła na niego. Miała na sobie białą nocną koszulę z niebieskimi kokardkami pod szyją.

- Nic się Perle nie stało? - zapytała niespokojnie.

- Nie, nic. Co ty tu robisz?

- Leżałam w łóżku. Spałam.

- Teraz już nie śpisz. Zarzuć coś na siebie i natychmiast zejdz na dół.

W chwilę potem schodziła z góry. Boso, ale zawiązując pod szyją niebieskie kokardki idiotycznego białego jedwabnego szlafrocza, kompletu do koszuli.

- Skądżeś to wytrzasnęła? - spytał George, marszcząc brwi.

Selina podeszła do niego.

- Znalazła się moja walizka. Była w Madrycie.

Uśmiechnęła się, jakby sądziła, że to go ucieszy, więc musiał się uciec do sarkazmu.

- A więc dotarłaś aż na lotnisko?

- O, tak.

- I co się wydarzyło tym razem? Odwołano lot? Nie było już biletów? Pepe złapał gumę?

- Nie, to nie to. - Oczy otworzyła tak szeroko, że niebie-

skie tęczówki były całe otoczone białkami. - Zgubiłam paszport.

- Że co?!

Ku jego wściekłości zabrzmiało to jak pełen niedowierzania jęk.

- Tak, to rzeczywiście zdumiewające. Pamiętasz? pytałeś mnie przed wyjazdem, czy wzięłam paszport. Cóż, wtedy go miałam. Nie przypominam sobie, żebym później otwierała torbę, a jednak, kiedy przyjechałam na lotnisko i kupowałam bilet, otworzyłam torbę i... paszportu nie było.

Patrzyła, sprawdzając, jak mężczyzna zareaguje na tę wiadomość. On tylko oparł się o sofę i zachował kamienny spokój.

- Rozumiem. I co wtedy zrobiłaś?

- Oczywiście zgłosiłam to na policji.

- I cóż Guardia Civil na to?

- Och, policjant był bardzo wyrozumiały. Więc po chwili pomyślałam, że chyba najlepiej będzie wrócić tutaj i czekać, aż znajdą paszport.

- Kto znajdzie?

- Guardia Civil.

Zapadło krótkie milczenie, oboje mierzyli się wzrokiem.

- Selino - odezwał się w końcu George.

- Tak?

- Wiesz, co Guardia Civil robi z ludźmi, którzy zgubili paszporty? Wsadza ich do więzienia. Traktuje ich jak więźniów politycznych. I gniją w celach, póki paszporty się nie odnajdą.

- Cóż, mnie nie wsadzili.

- Kłamiesz, prawda? Gdzieżeś schowała ten swój paszport?

- Nie wiem. Zgubiłam.

- Nie zostawiłaś go w samochodzie Pepe?

- Mówiłam ci, zginął.

- Słuchaj, mała, w Hiszpanii lepiej nie bawić się w gubienie paszportów.

- Ja się nie bawię.

- Powiedziałaś Pepe o paszporcie?

- Nie znam hiszpańskiego. Jakim cudem miałam mu powiedzieć?

- Tylko udało ci się go namówić, żeby cię tu odwiózł z powrotem?

Wyglądała na zbitą z tropu, ale mimo to potwierdziła dzielnie:

- Tak.

- Kiedy wróciłaś?

- Koło jedenastej.

- Obudziliśmy cię, kiedy przyjechaliśmy?

Skinęła głową.

- W takim razie słyszałaś naszą rozmowę?

- Hmm, próbowałam schować głowę pod kołdrę, ale pani Dongen ma bardzo przenikliwy głos. Przykro mi, że mnie nie lubi.

George w żaden sposób tego nie skomentował i Selina podjęła uprzejmym tonem, który by zachwycił jej babkę:

- Ożenisz się z nią?

- Wiesz co? Niedobrze mi, jak na ciebie patrzę.

- Jest mężatką?

- Już nie.

- Co się stało z jej mężem?

- Nie wiem... Skąd miałbym wiedzieć? Może nie żyje?

- Zabiła go?

George nagle poczuł, że przestaje panować nad swoimi rękami, jakby niespodzianie zaczęły żyć własnym życiem. Aż się trzęsły, żeby złapać Selinę i potrząsnąć nią, szarpać, wytargać za uszy, zmasać z jej twarzy tę uprzejmą minę. Wepchnął je do kieszeni, zacisnął w pięści, żeby zapanować nad tymi prymitywnymi odruchami, ale Selina wyglądała niewinnie, jakby nie zdawała sobie sprawy, co się w nim kłębi.

- Zapewne musiała być mocno rozdrażniona, kiedy mnie tu zastała, ale nie chciała poczekać i dać sobie wytłuma-

czyi. Tylko kopnęła biedną Perłę... Byłoby znacznie uczciwiej, gdyby to mnie kopnęła. - Popatrzyła George'owi prosto w oczy; był zdruzgotany jej tupetem. - Musi cię bardzo dobrze znać. No, żeby się do ciebie tak odzywać. Tak, jak to zrobiła przed chwilą. Chciała, żebyś się z nią kochał.

- Prosisz się o kłopoty, Selina.

- I chyba uważa, że nigdy nie napiszesz drugiej książki.

- Możliwe, że w tym się nie myli.

- Nawet nie spróbujesz?

- Pilnuj swego zasranego nosa - wycedził George, ale nawet to jej nie odstraszyło.

- Zdaje się, że tak się boisz klęski, że nawet nie zaczniesz. Pani Dongen miała rację: dałeś się wepchnąć do worka z tymi „typowymi, brzydkimi Anglikami bez ojczyzny - (Tu Selina z wyjątkowym talentem zaczęła naśladować charakterystyczny sposób mówienia Frances) - którym nikt nigdy nie dorówna w trudnej sztuce wdzięcznego nic nierobienia". Pewnie szkoda by zniszczyć taki piękny wizerunek. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Nie musisz pisać. Nie zarabiasz tym na życie. A jeśli chodzi o pana Rutlanda, cóż to jest złamana obietnica? Nic takiego. Możesz złamać dane mu słowo, tak samo jak złamałeś słowo dane tej biednej dziewczynie, z którą miałeś się ożenić.

George nie zdążył pomyśleć ani nad sobą zapanować, kiedy ręka sama wyrwała się z kieszeni i wymierzyła dziewczynie policzek. Kłaśnięcie było głośne jak huk pękającej nadmuchanej papierowej torby. A cisza, która po nim nastąpiła, jeszcze gorsza. Selina wpatrywała się w George zdumiona, ale dziwnie nie skruszona, podczas gdy on drapał swędzącą rękę. Przypomniał sobie, że w końcu nie wziął tych papierosów. Znalazł je i gdy wyciągał jednego, żeby go zapalić, z przerażeniem zobaczył, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Kiedy wreszcie się odwrócił, ku swemu przerażeniu zdał sobie sprawę, że dziewczyna z trudem powstrzymuje łzy. Łzy, a potem, wiadomo, wyrzuty, przeprosiny. Nie, tego nie mógł już znieść.

- No, dalej, becz - powiedział niecierpliwie, ale bez złości, a kiedy popędziła na górę do łóżka, tak że przed oczami migały mu tylko długie, gołe nogi i biały jedwab, zawołał za nią: - Tylko nie trzaskaj drzwiami!

Ale żart był gorzki i pozostał bez echa, tak jak na to zasługiwał.

# *Rozdział jedenasty*

Było już późno, kiedy się przebudził. Poznał to po kącie padania słońca, po migotliwym cieniu wody, który odbijał się na suficie, po szeleście szczotki, który oznaczał, że Junita zamiata taras. Spodziewając się bólu głowy, który, George nie miał co do tego wątpliwości, zaraz go zaatakuje, sięgnął po zegarek. Dochodziło wpół do jedenastej. Dawno tak nie zasnął.

Powoli obrócił głowę w jedną stronę, w drugą, czekając na pierwszy atak zasłużonego, przeraźliwego kaca. Nic. Wystawił los na próbę i poruszył oczami. Wcale nie bolało. Od rzucił czerwono-biały koc i ostrożnie usiadł. Prawdziwy cud. Czuł się właściwie normalnie. Gorzej: lepiej niż zwykle. Gotowy, czujny, rozsadzała go energia.

Pozbierał ubrania, poszedł wziąć prysznic i się ogolić. Kiedy ciągnął maszynką po brodzie, przypomniała mu się melodia, która wczoraj tak go nękała, tym razem ze słowami i zrozumiał, poniewczasie, dlaczego Frances tak drażniło, że ją gwizdał.

*Przyzwyczailem się do jej twarzy,  
Bez niej dzień się nie zaczyna.*

„No i? - spytał swoje skruszone odbicie - może jeszcze bardziej zaczniesz się roztkliwiać?”

Ale kiedy się ubrał, wrócił do pokoju, wygrzebał swój stary adapter, wytarł kurz z płyty Franka Sinatry i włączył gramofon.

Juanita skończyła pucowanie tarasu i, słysząc muzykę, odstawiła szczotkę, weszła do środka, zostawiając na podłodze duże wilgotne ślady stóp.

- *Señor* - przywitała go.
- Juanita! *Buenos dias*,
- Dobrze się *señor* wyspał?
- Może aż za dobrze.

*Przyzwyczailem się do jej melodii,  
Gwiżdże ją w nocy, gwiżdże rano.*

- Gdzie *señorita*?
  - Popłynęła na statek, *señor*, miała ochotę popływać.
  - Jak tam się dostała?
  - Wzięła łódkę.
- Lekko zaskoczony, uniósł brwi.
- Cóż, wyjdzie jej na zdrowie. Juanito, jest trochę kawy?
  - Zaparzę.

Poszła nabrać wody i George poczuł, że jest na tyle w formie, że ma ochotę na papierosa. Poszukał paczki, wyciągnął jednego, zapalił, po czym zaczął ostrożnie:

- Juanito?
- *Si, señor*.
- Ubiegłej nocy w hotelu nocowała pewna *Americana*...
- Nie, *señor*.

Zmarszczył czoło.

- Jak to?

Juanita była w kuchni, wstawiała wodę.

- Nie przenocowała, *señor*. Wróciła od razu do San Antonio. Nie skorzystała z pokoju hotelowego. Rosita powiedziała rano o tym Tomeu, Tomeu powiedział Marii, a Maria...

- Wiem: Maria powiedziała tobie.

Ale przyniesione przez gospozię nowiny sprawiły, że odczuł pełną poczucia winy ulgę, choć robiło mu się zimno na samą myśl o Frances pędzącej do San Antonio w tej ryczącej, piekielnej machinie. Modlił się, żeby Amerykance nic się nie stało, żeby nie przytrafił jej się jakiś wypadek, żeby - może nawet w tej właśnie chwili - nie tkwiła w jakimś rowie, uwięziona w przewróconym na dach samochodzie.

Z miną człowieka osaczonego ze wszystkich stron podrapał się po karku, potem ruszył na taras na poszukiwanie jednej z przyczyn swych ostatnich tarapatów. Wziął lornetkę, wyregulował ostrość i popatrzył na „Pełnię”, ale choć łódka kołysała się spokojnie przy jej burcie, Seliny nigdzie nie dostrzegł.

Mimo wszystkich smutków, dzień był piękny. Równie pogodny jak wczoraj, choć nieco chłodniejszy, świeża morska woda wpływała do zatoki. Pachnące wierzchołki sosen kołysały się na wietrze, niewielkie fale uderzały pogodnie o pochylnię u stóp George'a. Wszystko budziło w nim radość. Błękitne niebo, błękitne morze, „Pełnia” kołysząca się łagodnie na kotwicy, biały taras, czerwone pelargonie, wszystko to tak znajome i bliskie, a jednak dziś tak dziwnie, tak cudownie świeże. Perła siedziała na pomoście, zjadając pyszne kaski zostawione przez rybaków. Frances wróciła do San Antonio, Juanita szykuje kawę. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się tak świetnie, był tak pełny nadziei i optymizmu. Czuł się, jakby od miesięcy żył w mroku, ciągle oczekując domniemanego sztormu, a oto burza się skończyła, napięcie zniknęło, a on znowu mógł oddychać swobodnie.

Powtarzał sobie, że jest draniem, że powinien teraz gardzić sobą i wić się w poczuciu winy, ale dobre samopoczucie wygrywało z wyrzutami sumienia. Snując te rozważania stał pochylony, z dłońmi na murku. Teraz wyprostował się i zobaczył, że są pokryte białym pyłem. W pierwszym momencie chciał je wytrzeć o spodnie, ale jego uwagę przykuła sieć linii papilarnych odbita na kredowymi pyle, wyraź-

na niczym oglądana pod mikroskopem. Jego linie, jego ślad, ślad George'a Dyera równie wyjątkowy i niepowtarzalny, jak życie, które wiódł, rzeczy, które teraz robił.

Nie był z siebie szczególnie dumny. W życiu udało mu się zranić i obrazić aż nadto wielu ludzi, a o apogeum tego - tym, co się wydarzyło ubiegłej nocy - wolał nawet nie myśleć. Jednak żadne wspomnienia ani poczucie winy nie mogły mu odebrać radości odnalezienia siebie, jaką teraz przeżywał.

*Przyzwyczailem się do jej twarzy.*

Utwór się skończył, George poszedł do środka wyłączyć adapter. Zamykając pokrywę, zawołał:

- Juanito!

Odmierzała łyżeczką kawę do dzbanka.

- *Señor?*

- Juanita, wiedziałaś, że Pepe, mąż Marii, wczoraj odwiózł *señorite* na lotnisko?

- *Si, señor* - odparła, nie patrząc mu w oczy.

- Czy powiedział ci, że przywiózł *señorite* z powrotem?

- *Si, señor, cala* wioska już wie.

To było nieuniknione i George westchnął, ale podjął przesłuchanie.

- I czy Pepe powiedział, że *señorita* zgubiła paszport?

- Nie wiedział, że zgubiła. Tylko że go nie miała.

- Ale poinformowała o tym Guardia Civil na lotnisku?

- Tego nie wiem, *señor*.

Juanita nalewała wrzącej wody do dzbanka z kawą.

- Juanito...

Kiedy się nie obejrzała, położył dłoń na jej nagim ramieniu. Szybko obróciła głowę i ku swemu zdumieniu zobaczył, że kobieta się śmieje, a w jej ciemnych oczach lśni rozbawienie.

- Juanito... - powtórzył - *señorita* nie jest moją córką.

- Nie, *señor*- zgodziła się spokojnie.

- Nie mów, że wcześniej o tym wiedziałaś.
- *Señor* - wzruszyła ramionami - zdaniem Pepe ona nie zachowywała się jak pańska córka.
- A jak się zachowywała?
- Była bardzo nieszczęśliwa, *señor*.
- Juanito, ona nie jest moją córką, tylko kuzynką.
- *Si, señor*.
- Powiesz Marii? I poprosisz ją, żeby powiedziała Tomeu, a on może powie Rosicie, a Rosita może powie Rudolfowi...
- Oboje się śmiali. - Nie skłamałem, Juanito. Ale prawdy też nie powiedziałem.
- *Señor* nie musi się obawiać. Córka czy kuzynka... - Wzruszyła ramionami, jakby w ogóle szkoda było czasu na takie drobiazgi. - Ale dla Cala Fuerte *señor* to przyjaciel. I nic poza tym się nie liczy.

Juanita rzadko kiedy mówiła aż tyle naraz i George'a ogarnęło takie wzruszenie, że miał ochotę ją ucałować, ale wiedział, że to by ich oboje ogromnie zażenowało. Dlatego tylko oświadczył, że jest głodny, i ruszył za nią do kuchni, żeby w pojemniku z chlebem poszukać sobie czegoś, co dałoby się posmarować masłem i dżemem morelowym.

Jak zwykle kamionkowy słój był pełny, stary chleb piętrzył się aż do pokrywki.

- Juanito, pojemnik jest bardzo brudny - powiedział z wyrzutem George. - Chleb na dole cały się pokrył pleśnią.

I na potwierdzenie swych słów, przekręcił go dnem do góry i wysypał zawartość na podłogę. Kiedy wypadł ostatni kawałek pieczywa, wyfrunął biały papier, którym Juanita wyłożyła dno, a za nim wyślizgnęła się mała ciemnoniebieska książeczka.

Leżała między nimi na podłodze, George i Juanita wpatrywali się w siebie, każde przekonane, że to вина drugiego.

- Co to może być?

George schylił się po książeczkę i obracał ją w dłoniach.

- Paszport. Brytyjski paszport.

- Ale czyje to może być?
- *Señority*, jak przypuszczam.

Chwył polegał na tym, żeby nie zaczynać od początku podróży, ale od środka - czyli od momentu, kiedy „Pełnia” wpłynęła do zatoki w Delos. I potem w krótkich scenkach pokaże, jak narodziła się ta podróż, a przede wszystkim, jak ją planował. Papier maszynowy był gruby i śliski, maszyna do pisania pracowała gładko, jak dobrze naoliwiony silnik. Selina jeszcze nie wróciła, Juanita była w pralni, za pomocą kostki mydła znęcając się nad prześcieradłami George'a i ćwierkając jakąś tutejszą pieśń miłosną, tak że George nie usłyszał stukania do drzwi.

Po chwili jednak drzwi się uchyliły i dopiero to zwróciło uwagę George'a. Oderwał wzrok od kartki, palce zawisły nad klawiaturą.

Gość był młodym, wysokim, bardzo przystojnym mężczyzną. Miał na sobie garnitur, prawdziwy garnitur biznesmena, białą koszulę i krawat, a mimo to jakimś cudem udało mu się wyglądać nieprzyzwoicie świeżo, jakby upał wcale mu nie dokuczał.

- Przepraszam - odezwał się intruz. - Nie chciałem panu przeszkadzać, ale nikt nie odpowiadał na pukanie. Czy to Casa Barco?

- Tak, zgadza się.
- W takim razie pan musi być George'em Dyerem.
- Owszem, to ja...

Wstał.

- Nazywam się Rodney Ackland.

Widać uważał, że nie może przejść do rzeczy, nie wymieniwszy grzecznościowych formułek i rytuałów, bo zbliżył się do George'a z wyciągniętą ręką.

- Miło mi pana poznać.

Pewny uścisk. Uczciwe, proste wejrzenie. „Człowiek jak najbardziej godny zaufania”, pomyślał George. I po

chwili przyszła następna, niegodna myśl: „Cholerny nudziarz”.

- Domyślam się, że tu właśnie przebywa Selina Bruce?

- Owszem, przebywa.

Rodney rozejrzał się z pytającym wyrazem twarzy.

- Wybrała się, żeby trochę popływać.

- Rozumiem. Cóż, w takim razie, może zacznę od wyjaśnienia kilku spraw. Jestem prawnikiem Seliny.

George przyjął tę informację w milczeniu.

- Obawiam się, że to ja, pośrednio, przyczyniłem się do jej podróży do San Antonio. To ja ofiarowałem Selinie pańską książkę, zobaczyła pańskie zdjęcie i uznała, że jest pan jej ojcem. Rozmawiała ze mną o tym. Powiedziała, że chce się tu wybrać i pana odnaleźć; pragnęła, bym przyjechał tu razem z nią, ale, niestety, musiałem udać się do Bournemouth na spotkanie z bardzo ważną klientką, a kiedy wróciłem do Londynu, Seliny już nie było. Okazało się, że nie ma jej od trzech czy czterech dni. Oczywiście, wskoczyłem w pierwszy samolot do San Antonio i... Cóż, wydaje mi się, że powinienem ją zabrać z powrotem.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

- Oczywiście, nie jest pan jej ojcem - stwierdził Rodney.

- Nie, nie jestem. Jej ojciec nie żyje.

- Mimo to istnieje między panem a nim uderzające podobieństwo. Nawet ja to zauważam.

- George Dawson był moim dalekim krewnym.

- Cóż za zdumiewający zbieg okoliczności!

- Tak - zgodził się George. - Zdumiewający.

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy Rodney wyglądał na nieco zakłopotanego.

- Panie Dyer, nie mam pojęcia jak wyglądała ta... ta dość niezwykła wizyta Seliny, ani co ona sama panu o sobie opowiedziała. Zawsze odczuwała ogromną potrzebę... miała wręcz obsesję na punkcie ojca. Została wychowana przez babkę i jej dzieciństwo, łagodnie mówiąc, było inne....

- Tak, opowiedziała mi o tym.

- A więc skoro zna pan sprawę, jestem pewny, że stoimy po tej samej stronie.

- Tak, sądzę, że tak. - Uśmiechnął się szeroko i spytał: - A tak z czystej ciekawości, niech mi pan powie, jak by się pan zachował, gdyby się okazało, że rzeczywiście jestem ojcem Seliny?

-Cóż...

Rodneyowi na chwilę zabrakło słów.

- Cóż... hmm... tak... - plątał się, wreszcie postanowił obrócić rzecz w żart i zaśmiał się sztucznie. - Pewnie powinienem udać się z panem do biblioteki i poprosić o pozwolenie.

- *Pozwolenie?* Na co?

- Oczywiście, nieco spóźnione, skoro jesteśmy już zaręczeni. Pobieramy się w przyszłym miesiącu.

- Pan wybaczy - odparł George i te słowa najlepiej od-dawały stan jego ducha.

Od lat nie posługiwał się staroświeckimi formułkami z czasów Bradderford i wytwornych przyjęć na zakończenie sezonu łowieckiego i sądził, że udało mu się je skutecznie wyprzeć z pamięci. A tu, proszę, wyskoczyły, znowu żywe i obecne, wydobyte z podświadomości pod wpływem szoku.

- Jesteśmy z Seliną zaręczeni. Na pewno panu o tym wspomniała?

- Nie, nie wspomniała.

- Naprawdę? Mówi pan, że nie wspomniała o tym ani słowem? Wyjątkowa dziewczyna.

- A dlaczego, u licha, miałyby mi mówić? Nic mi do tego, czy jest zaręczona, czy nie.

- To prawda, ale wydawałoby się, że to ważne. Że to pierwsza rzecz, o której będzie mówić.

„*Panicz comme U faut*”, pomyślał George.

- Ale to bez znaczenia. Teraz, kiedy już pan zna całą sytuację, zrozumie pan na pewno, dlaczego powinienem jak najszybciej zabrać Selinę z powrotem do Londynu.

- Tak, oczywiście.

Rodney minął go i wyszedł na taras.

- Co za wspaniały widok! Wspominał pan, że Selina wybrała się popływać? Nigdzie jej nie widzę.

George dołączył do niego.

- Nie, ona jest... za jachtem. Zaraz po nią popłynę.

I w tej samej chwili uświadomił sobie, że nie, bo przecież Selina zabrała łódkę. Ale zdał sobie sprawę, że jednak tak, bo przecież pożyczy łódź Rafaela, krewniaka Tomeu.

- Zaraz... Może pan tu chwilę poczekać? Niech pan sobie usiądzie, rozgości się, to nie potrwa długo.

- Nie chce pan, żebym też popłynął?

Głos Rodneya nie brzmiał entuzjastycznie.

- Nie, nie trzeba - odparł George. - W łodzi jest mnóstwo rybich łusek, zniszczyłyby pan sobie garnitur.

- Cóż, jeśli tak pan uważa...

I na oczach George'a wysunął leżak na słońce i opadł na niego zgrabnie - istne ucieleśnienie dobrze wychowanego Anglika za granicą.

George ściągnął po pochylni łódź krewniaka Tomeu, Rafaela, i klnąc pod nosem, zepchnął ją na wodę. Łódź była długa i ciężka, trudna do sterowania, do tego miała tylko jedno wiosło, tak że George musiał wiosłować z rufy, z czym nie najlepiej sobie radził. I jakby tego nie było dość, to jeszcze ten elegancik z gładką buziuchną i gładkim głosem, w wyprasowanym grafitowym garniturze, przyglądał mu się z tarasu Casa Barco. Kiwając się i klnąc pod nosem, zlany potem, wściekły, George dotarł do „Pełni”, ale kiedy zawołał Selinę, nie odpowiedziała.

Z trudem udało mu się opłynąć tym nieruchawym pudłem dziób „Pełni” i natychmiast zobaczył dziewczynę, spoczywającą niczym syrena na jednej ze skał na drugim brzegu. Weszła po stopniach jednego z maleńkich, ślicznych domków ukrytych wśród koron sosen i siedziała teraz z kolanami podciągniętymi pod brodę, z wilgotnymi włosami opadającymi na ramiona niczym futerko foki. George

wciągnął ciężkie wiosło i wstał. Przytknął dłonie do ust, wołając:

- Selina!

Zabrzmiało to jak wściekły ryk i dziewczyna natychmiast spojrzała w jego stronę.

- Wracaj tu natychmiast. Muszę z tobą porozmawiać.

Wahała się przez sekundę, potem wstała, zeszła po białych stopniach, zanurzyła się w wodzie i podpłynęła z powrotem do jachtu. Kiedy znalazła się przy łodzi, burta okazała się dla niej za wysoka i George musiał wziąć dziewczynę pod pachy i wciągnąć do środka moką, ociekającą wodą niczym świeżo złowiona ryba.

- Przepraszam. Potrzebowałeś szalupy?

Przyszło mu na myśl, że każda inna kobieta - zanim zdążyłby cokolwiek powiedzieć - zażądałaby przeprosin za jego wczorajsze zachowanie. Ale Selina nie była każdą inną kobietą.

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że ją zabrałam...

- Nie, oczywiście że nie.

- Kiedy zeszłam na dół, jeszcze spałeś. Musiałam wpuścić Juanitę.

Przyglądał się jej, nie słysząc ani słowa z tego, co mówiła, próbując pogodzić się ze straszliwą, przygniatającą świadomością, że Selina zamierza wyjść za mąż za Rodneya Acklanda, że cały czas była zamęczona i ani słowem mu o tym nie wspomniała.

- ...twoja przyjaciółka dobrze się czuje Mam nadzieję, że nie gniewała się za bardzo

- Moja przyjaciółka? Ach, Frances. Nie wiem, czy się gniewa, czy nie. W nocy wróciła do San Antonio. Zresztą to nie była twoja wina. Ochłonie i wszystko będzie dobrze.

- Nie powinnam była wracać do Casa Barco, teraz to rozumiem, ale...

Nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Selino.

Ściągnęła brwi.

- Coś się stało?

- Słuchaj, w Casa Barco czeka na ciebie gość. Przyjechał po ciebie z Londynu. Rodney Ackland.

Nagle znieruchomiła. Usta ułożyły się w słowo „Rodney”, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

- Wyleciał z Londynu wczoraj w nocy. Wrócił z Bournemouth i dowiedział się, że sama pojechałaś do San Antonio, więc złapał pierwszy samolot. Powiedziałem mu, że nie jestem twoim ojcem i, muszę dodać, nie wyglądał na zbyt zaskoczonego. Ale chce z tobą porozmawiać.

Powiał chłodny podmuch i Selina zdrząła. George dostrzegł cienki, złoty łańcuszek chowający się w miseczkach bikini, które jej kupił, ale teraz już wiedział, że to nie krzyżyk na nim wisiał. Sięgnął po łańcuszek, uniósł go i przed oczami zawirowały mu szafir i brylanty zaręczynowego pierścionka Rodneya Acklanda. Słońce odbijało się w każdym szlifie, posyłając oślepiające strzały prosto w oczy George<sup>^</sup>.

- Selino, dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

Przez chwilę jej oczy wydawały się równie niebieskie jak szafir, który George trzymał tuż pod jej brodą.

- Nie wiem.

- Jesteś zaręczona z Rodneyem?

Skinęła głową.

- Ślub ma się odbyć za miesiąc?

Jeszcze raz potaknęła.

- Ale po co ta cała tajemnica?

- To nie jest żadna tajemnica. Powiedziałam Rodneyowi o tobie. Powiedziałam mu, że moim zdaniem George Dyer to mój ojciec. I chciałam, żeby pojechał ze mną cię odnaleźć. Ale on nie mógł. Miał do załatwienia ważne sprawy w Bournemouth i nawet mu nie przeszło przez myśl, że mogłabym pojechać sama. Powiedział, że jeśli rzeczywiście byłbyś moim ojcem, moje nagłe pojawienie by cię zażenowało. A jeśli okazałoby się, że nie jesteś moim ojcem, to cała ta wyprawa tym bardziej nie miałyby sensu. Wyraźnie

nie rozumiał, jakie to dla mnie ważne - znaleźć swoje korzenie, rodzinę, wreszcie mieć kogoś swojego.

- Od dawna go znasz?

- Od dzieciństwa. Jego firma zawsze prowadziła interesy babki. Babka bardzo go lubiła i wiem, że miała nadzieję, że kiedyś go poślubię.

- I właśnie to zrobisz.

- Tak. Zwykle w końcu robiłam to, co chciała.

W oczach George'a nagle pojawiło się ogromne współczucie i Selina nie mogła znieść, że miałyby się nad nią litować.

- Wyprowadzamy się z Queen's Gate. Znaleźliśmy śliczne mieszkanie w nowym budynku. Żałuj, że go nie wiedziałeś. Jest takie słoneczne i rozciąga się z niego cudowny widok. Kupiłam już nawet suknię. Jest biała i bardzo długa. Z trenem.

- Ale pierścionek zaręczynowy schowałaś, nawet go nie nosiłaś na innym palcu.

- Sądziłam, że jesteś moim ojcem. Chciałam się z tobą spotkać jako ja. Ja. Nie związana z jakimiś ludźmi, z jakimiś sprawami.

- Kochasz go?

- Wczoraj spytałam cię o to samo i nie odpowiedziałeś.

- To było co innego. Rozmawialiśmy o mojej przeszłości, a to jest twoja przyszłość.

- Tak, wiem. Dlatego to takie ważne.

Nie odpowiedział. Teraz Selina podniosła dłoń, sięgnęła do zapięcia na karku i zdjęła łańcuszek. Pierścionek zsunął się, złapała go i wsunęła na palec, po czym znowu zapięła łańcuszek. Wszystko to robiła bardzo spokojnie i pewnie.

- Nie powinnam przetrzymywać Rodneya - powiedziała.

- Oczywiście, nie powinnaś. Wróc szalupą, a ja popłynę za tobą na tym wraku Rafaela. Ale nie uciekaj bez pożegnania.

- Przecież nie zrobiłabym czegoś takiego. Wiesz, że nie.

Po jakimś czasie Rodney uznał, że jest za gorąco, by czekać na tarasie. Zdjąłby marynarkę, ale nosił pod nią szelki, a wydawało mu się, że siedzenie w szelkach ma w sobie jakiś posmak nieprzyzwoitości. Wstał z plecionego leżaka i schronił się w chłodnym domu. Właśnie krążył po mieszkaniu, próbując znaleźć coś sensownego w tym dziwnie zaplanowanym wnętrzu, kiedy po schodach tarasu cicho, niepostrzeżenie weszła Selina i zawołała go po imieniu.

Przyłapany na gorącym uczynku Rodney obrócił się gwałtownie. Dziewczyna zatrzymała się w drzwiach. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Nie mieściło mu się w głowie, żeby ktoś mógł w tak krótkim czasie aż tak się zmienić. Zawsze uważał narzeczoną za dość mdłą dziewczynę o bladej cerze, jasnych włosach, które ożywiały jedynie jasnoniebieskie, kocie oczy. Ale teraz była opalona, włosy - jeszcze mokre po kąpieli w morzu - rozjaśniło słońce. Miała na sobie bikini, które zdaniem Rodneya z trudem mieściło się w kanonach dobrego gustu, a kiedy tak stała, przyglądając mu się, duży biały kot, który do tej pory wygrzewał się na tarasie, podszedł i owinał się pieścizotliwie wokół jej nóg.

Atmosfera stawała się pełna dziwnego napięcia. Selina odezwała się pierwsza.

- Witaj, Rodney. Co za niespodzianka.

Próbowała nadać temu radosną intonację, ale głos załamał jej się żałośnie na przedostatniej sylabie.

- Rzeczywiście - potaknął Rodney. - Też mi się tak wydawało.

Trudno było uwierzyć, że przyjechał prosto z Londynu, spędził całą noc w samolocie i przeszedł pieszko kamienistą, zakurzoną drogą z wioski do Casa Barco. Co prawda na jego butach pojawiła się warstwa białego pyłu, ale poza tym wyglądał nieskazitelnie, tak jak w domu. Podszedł, by pocałować narzeczoną, oparł dłonie na jej ramionach i odsu-

nał ją nieco, by z lekką dezaprobatą zmierzyć wzrokiem jej bikini.

- Co ty na siebie włożyłaś?

Wzruszyła ramionami.

- Tylko w tym mogę pływać.

Na sznurze wisiał stary szlafrok kąpielowy George'a. Selina zdjęła go i włożyła na siebie. Szlafrok był szorstki i suchy od słońca i soli, pachniał George'em. Owinęła się nim ciasno i, w jakiś niewytłumaczalny sposób, to ubranie ją uspokoiło, dodało odwagi.

- Nieładnie postąpiłaś, tak sobie wyjeżdżając bez słowa. Wyobrażasz sobie, jak mógłbym się niepokoić?

- Wiedziałam, że jesteś w Bournemouth.

- Zadzwoiłem do ciebie zaraz po powrocie i Agnes powiedziała mi, gdzie cię szukać. Oczywiście natychmiast wyruszyłem - dodał. - Pierwszym samolotem.

- To bardzo miło z twojej strony, Rodney.

- A co byś powiedziała na powrót do domu?

- Wróciłabym wcześniej, ale na lotnisku ukradziono mi portfel i nie miałam za co kupić biletu powrotnego.

- Przecież mogłaś mi dać znać, wysłałbym pieniądze telegraficznie.

- Nie... nie chciałam ci zawracać głowy. A poza tym - dodała w przypływie szczerości - myślałam, że powiesz: „A nie mówiłem”. Bo ty miałaś rację, a ja się myliłam i George Dyer nie był moim ojcem... nie jest moim ojcem...

- Już się tego dowiedziałem.

- Ale rozumiesz, że musiałam to sprawdzić?

To było wołanie o zrozumienie, ale Rodney opacznie je zinterpretował.

- Obawiam się, że nadal uważam, że byłoby lepiej, gdybyś pozostawiła tę całą sprawę mnie.

- Przecież prosiłam cię, żebyś ze mną pojechał. Prosiłam, a ty się nie zgodziłeś.

- Owszem, nie zgodziłem się. Nie mogłem. Sama o tym wiesz.

- Mogłeś odłożyć spotkanie z panią... jak jej tam.

- Selino! - zawołał do głębi wstrząśnięty i uświadomił sobie, może po raz pierwszy, że zmiany, jakie się w niej dokonały, były nie tylko zewnętrzne, ale głębsze i o wiele bardziej subtelne.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Zresztą - podjęła - niczego nie żałuję. Cieszę się, że przyjechałam, mimo że George wcale nie jest moim ojcem. I gdyby mnie ktoś spytał, zrobiłabym to jeszcze raz.

To było zaproszenie do otwartej wojny, ale zanim Rodney wymyślił jakąś odpowiedź, przyłączył się do nich sam George Dyer, który wszedł po schodach na taras, wziął na ręce Perłę i wesoło wtrącił się do konwersacji.

- No i jak? Czyż to nie miłe, że znowu się odnaleźliście? Może jakiegoś drinka dla ochłody?

- Nie, nie będę nic pił, dziękuję - odparł sztywno Rodney.

- W takim razie może papierosa?

- Nie, nie w tej chwili. - Odchrząknął. - Właśnie mówiłem Selinie, że chyba byłoby najlepiej, gdybyśmy jak najszybciej wrócili do Londynu. Moja taksówka czeka przed hotelem „Cala Fuerte”, możemy od razu pojechać na lotnisko.

- Nie ma jak dobra organizacja - skomentował George.

Rodney zerknął na niego z ukosa, upewniając się, czy tamten z niego nie kpi, ale ciemne oczy George'a były śmiertelnie poważne. Nie do końca uspokojony Rodney zwrócił się do Seliny.

- Może musisz się jeszcze spakować? Gdzie mieszkałaś?

Zapadło długie milczenie. Rodney patrzył na Selinę, która powiodła wzrokiem od George'a do Rodneya. George ze sztuczną nonszalancją gładził Perłę.

- Tutaj - powiedziała Selina.

Rodney wyraźnie pobladł.

- Tutaj?

- Tak. Tutaj. W Casa Barco.

- I spałaś tutaj?

- Nie miałam się gdzie podziąć...

Lekko się wzdrygnęła i George wiedział, że dziewczyna się denerwuje. Ale Rodney najwidoczniej tego nie zauważył, bo kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał lodowaty chłód.

- Czy nie uważasz, że to odrobinę niekonwencjonalne?

George gwałtownie odstawił Perłę na najbliższe krzesło i włączył się do rozmowy.

- Nie sądzę. W końcu nie zapominajmy, że Selina jest moją kuzynką.

- I nie zapominajmy, jak daleką. Poza tym nie w tym rzecz.

- W takim razie, w czym?

- Cóż, Selina zjawiła się tutaj nieproszona, nie zapowiedziana, zupełnie obca panu osoba, a pan pozwala jej tu zostać, mieszkać tu, z tego, co widzę, spać właściwie w tym samym pokoju. Doceniam, że pan nie musi się zbytnio troszczyć o swoją reputację, ale ze względu na Selinę mógł pan poszukać innego rozwiązania.

- A może nie chcieliśmy - odparł George.

Rodney stracił cierpliwość.

- Przepraszam, panie Dyer, ale najwyraźniej mamy bardzo różne poglądy. Uważam pańskie zachowanie za niedopuszczalne.

- Przykro mi.

- Czy zawsze tak pan sobie lekceważy zwykłe, przyzwoite normy zachowania?

- Tak, zawsze. I to nie są moje normy.

Rodney przez chwilę miał ochotę przyłożyć George'owi, ale przeciwnik był niegodny, zasługiwał jedynie na to, by go zignorować.

- Selino... - zwrócił się do narzeczonej. Dziewczyna drgnęła. - Żałuję, że tak się stało, ale okażę dobrą wolę, wierząc, że to wszystko nie twoja wina. Gotów jestem zapomnieć o całej tej sprawie, ale musimy dopilnować, żeby nawet słówko o tej historii nie dotarło do Londynu.

Przypatrywała mu się z powagą. Twarz miał gładką, starannie ogoloną, bez śladu zmarszczek, trudno było go sobie wyobrazić jako starszego, doświadczonego mężczyznę o przyjemnie zmęczonych rysach. Nawet w wieku osiemdziesięciu lat będzie wyglądał tak samo jak dziś, równie bezosobowo i gładko jak świeżo wyprasowana koszula.

- Dlaczego, Rodney? - spytała.

- Nie... nie chciałbym, żeby pan Arthurstone się o tym dowiedział.

Wyjaśnienie było aż tak idiotyczne, że chciało jej się śmiać. Pan Arthurstone ze swoim artretyzmem w kolanach, ten, który ma ją poprowadzić do ołtarza... Co, u licha, on może mieć do tej całej sprawy?

- Teraz zaś - Rodney zerknął na zegarek - nie mamy więcej czasu do stracenia. Włóż coś na siebie i ruszamy.

W czasie tego oświadczenia, George zapalał papierosa. Teraz potrząsnął zapałką, wyjął papierosa z ust i oznajmił:

- Ona nie może jechać z panem do Londynu. Zgubiła paszport.

- Że co?

- Zgubiła swój paszport. To było wczoraj. Niesamowita sprawa.

- Czy to prawda, Selino?

- Ach. Ja... no cóż, właściwie....

George rzucił jej mordercze spojrzenie, zmuszając do milczenia. - Oczywiście że to prawda. Drogi panie Ackland, nie ma pan pojęcia, co tu się wyprawia. Ukradliby człowiekowi złote koronki z zębów, gdyby tylko mogli się do nich dorwać.

- Ale tu chodzi o twój paszport. Selino, zdajesz sobie sprawę, jakie kłopoty ci grożą?

- Cóż... sama... - plątała się Selina.

- Czy powiadomiłaś konsula brytyjskiego?

- Nie. - George po raz kolejny przejął ster. - Ale poinformowała policję na lotnisku i potraktowali ją z ogromnym spokojem i wyrozumiałością.

- Dziwne, że nie wpakowali jej prosto do więzienia.

- Ja też byłem zdumiony, ale oczywiście to cudowne, ile potrafi zdziałać ładny uśmiech, nawet w Hiszpanii.

- Ale jakie kroki w takim razie podejmiemy?

- Cóż, jeśli pan mnie pyta, to proponowałbym, żeby pan wrócił do swojej taksówki i Londynu, zostawiając tu Selinę ze mną... Nie - uciszył wściekłe protesty Rodneya - naprawdę uważam, że to najlepszy plan. Pan będzie mógł uruchomić swoje wpływy w Anglii i obu nam może jakoś uda się ją wybronić przed więzieniem. I niech się pan tak nie martwi o względy przyzwoitości, stary. W końcu jestem chyba najbliższym krewnym Seliny i jestem gotów przejąć odpowiedzialność za nią...

- Odpowiedzialność? Pan? - Zwrócił się z ostatnim apelem do Seliny. - Przecież chyba nie chcesz tu zostać?

Omam go nie rozsadziło na samą myśl o tym.

- No cóż...

Jej wahanie rozwiało jego wątpliwości.

- Zdumiewasz mnie! Co za egoizm z twojej strony! Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że nie chodzi tylko o twoje dobre imię. Ja też muszę dbać o swoją opinię, a twoje zachowanie uważam po prostu za niedopuszczalne! Wolę nie myśleć, co by na to powiedział pan Arthurstone.

- Ależ ty bez wątpienia będziesz umiał to wszystko wyjaśnić panu Arthurstone'owi. Na pewno będziesz umiał. I sądzę... skoro już będziesz mu tłumaczył... możesz mu też powiedzieć, że w końcu jednak nie poprowadzi mnie do ołtarza. Naprawdę strasznie mi przykro, ale jestem przekonana, że w pewnym sensie to dla ciebie wielka ulga. Że mimo wszystko nie będziesz musiał się ze mną morderować po tym, co się tu wydarzyło. Proszę... to twój pierścień...

Podawała mu go na dłoni, migoczące brylanty i ciemnoniebieski szafir, które, wydawało mu się, przykują ją do niego na wieki. Jak bardzo pragnąłby móc sobie pozwolić na wielkopański gest i wyrzucić pierścień do morza! Ale

kosztował mnóstwo pieniędzy, więc Rodney schował dumę i przyjął klejnot z powrotem.

- Przykro mi, Rodney.

Uznał, że najgodniejsze, co może teraz zrobić, to zachować wyniosłe milczenie. Wykręcił się na pięcie i ruszył do drzwi, ale George go ubiegł i otworzył je przed nim na oścież.

- Prawdziwa szkoda, że przejechał pan taki kawał drogi na próżno. Powinien pan zajrzeć do Cala Fuerte latem, kiedy więcej tu się dzieje. Jestem przekonany, że spodobałaby się panu jazda na nartach wodnych, nurkowanie, łowienie ryb. Miło z pańskiej strony, że zechciał pan przybyć.

- Niech pan sobie nie myśli, panie Dyer, że ja albo moi wspólnicy pozwolimy, by uszło to panu płazem.

- Ani przez chwilę sobie tak nie myślałem. Nie wątpię, że pan Arthurstone chowa jakiś genialny pomysł w rękawie i wkrótce zaczną do mnie napływać napuszone listy. Na pewno pan nie chce, żebym pana podwiózł do wioski?

- Dziękuję, wolę się przespacerować.

- No cóż, *chacun d son gout*. Ale ogromnie się cieszę, że pana poznałem. Do widzenia.

Ale Rodney nie odrzekł na to ni słowa i, choć rozsadała go furia, milcząc opuścił dom. George odprowadził go wzrokiem do szczytu wzgórza, potem zamknął za nim drzwi.

Obrócił się. Selina stała nieruchomo dokładnie w tym miejscu, gdzie zostawił ją Rodney. Wyglądała, jakby się spodziewała kolejnej awantury, ale George powiedział tylko rzeczowo:

- Powinnaś dać się zbadać. Żeby choć przez chwilę myśleć o małżeństwie z takim człowiekiem. Połowę życia spędziłaśyś przebierając się do kolacji, a drugą połowę wyszukując te długie, mądre wyrazy w słowniku. A tak w ogóle, to kim jest ów pan Arthurstone?

- To jeden ze współdziałowców w firmie, w której pracuje Rodney. Jest bardzo stary i ma artretyzm w kolanie.

- I to on miał cię poprowadzić do ołtarza?

- Nikogo innego nie było.

To stwierdzenie wymagało odwagi.

- Masz na myśli pana Arthurstone'a czy Rodneya? - spytał George.

- Pewnie obu.

- A może - podsunął łagodnie George - może cierpiałaś na gwałtowny atak fiksacji ojcowskiej?

- Tak. Może i tak.

- A teraz?

- Teraz już nie.

Znowu się wzdygnęła i George się uśmiechnął.

- Wiesz, Selino, nigdy bym nie wierzył, że w tak niewiarogodnie krótkim czasie można się tak dużo o kimś dowiedzieć. Na przykład wiem, kiedy kłamiesz - co niestety zdarza się aż nadto często. Otwierasz wtedy oczy tak szeroko, że tęczęwki są niemal ze wszystkich stron otoczone przez pasek białka. Niczym dwie wyspy. A kiedy próbujesz nie wybuchnąć śmiechem na jakieś moje oburzające stwierdzenie, opuszczasz kąciki ust i wtedy pojawia ci się w policzkach zupełnie niespodziewany dołek. Gdy zaś się denerwujesz, drżysz. Tak jak teraz.

- Nie denerwuję się. Jest mi zimno po pływaniu.

- W takim razie idź się ubrać.

- Ale najpierw muszę ci coś wyznać...

- To poczeka. No, leć się ubrać.

^ H %

Wyszedł na taras, żeby na nią poczekać. Zapalił papierosa, słońce grało mu ramiona, prażąc przez materiał bawełnianej koszuli. Rodney Ackland zniknął. Z Casa Barco. Z życia Seliny. Tak samo jak Jenny, duch tamtej nieszczęsnej sprawy, została na zawsze wypędzona przez prosty egzorcyzm powiedzenia o tym Selinie. Oboje, Jenny i Rodney, należeli już do przeszłości, została tylko przyszłość: radosna i dobra, pełna nadziei i miłych niespodzianek - jak prezent gwiazdkowy.

Niżej, w ogrodzie, Juanita rozwieszała prześcieradła, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, jak dramatyczna scena rozegrała się w domu, podczas gdy ona uwijała się przy porannym praniu. George'a nagle ogarnęła wielka serdeczność dla tej prostej kobiety. Nikt lepiej od niego nie wiedział, że jego piekło zawsze było wybrukowane dobrymi chęciami, ale teraz obiecał sobie, że po ukazaniu się drugiej książki podaruje jej coś więcej niż egzemplarz autorski, który mogłaby położyć na koronkowej serwetce. Coś, czego bardzo potrzebowała, a na co nigdy nie byłoby jej stać. Jedwabną suknię, jakąś biżuterię, a może nową, dobrą kuchenkę gazową.

Obrócił się, słysząc za sobą kroki Seliny. Miała na sobie prostą lnianą sukienkę bez rękawów, w kolorze moreli, i sandały na niewielkim obcasie, dzięki czemu prawie dorównała mu wzrostem. George nie pojmował, jakim cudem tak długo nie zauważał, że jest piękna.

- Pierwszy raz widzę cię porządnie ubraną - powiedział.  
- Cieszę się, że odzyskałaś swoją walizkę.

Selina głęboko zaczerpnęła tchu.

- George, muszę z tobą porozmawiać.

- O czym?

- O moim paszporcie.

- A o co chodzi?

- Cóż. No, bo... on wcale nie zginął.

Drgnął i wpatrywał się w nią z nieopisanym zdumieniem.

- Nie zginął?

- Nie. Bo ja... Cóż, wczoraj po południu, zanim wyjechałam z Pepe... schowałam go.

- Selino. - Był głęboko wstrząśnięty. - Dlaczego zrobiłaś coś tak okropnego?

- Wiem, że to było okropne, ale nie chciałam jechać. Nie mogłam cię zostawić z panią Dongen. Wiedziałam, że ona nie chce, żebyś napisał drugą książkę. Chciała, żebyś pojechał do Australii, na pustynię Gobi albo jeszcze gdzieś. Razem z nią. Dlatego, kiedy poszłam do kuchni po wodę so-

dową z lodówki... - Mówiła z trudem. - Schowałam paszport w pojemniku z chlebem.

- Coś takiego!

- Tak, wiem. Ale wtedy myślałam wyłącznie o tobie. Chcę ci tylko powiedzieć, że teraz już nie ma powodu, bym nie wracała razem z Rodneyem do Londynu. I tak za niego nie wyjdę, to jasne. Teraz już wiem, jaka byłam głupia, żeby w ogóle brać to pod uwagę. Ale nie mogę przecież tu zostać.

Jej głos ucichł. George w żaden sposób nie ułatwiał jej zadania.

- Sam to widzisz, prawda?

- Tak, oczywiście że tak.

Przybrał minę człowieka, który zdobędzie się na wszystko, byle grać uczciwie.

- I musimy postąpić tak, jak należy.

- Tak... Tak. To samo sobie myślałam.

- Cóż - ciągnął po męsku, spoglądając na zegarek - skoro jedziesz z Rodneyem, lepiej się zwijaj, inaczej odjedzie, zanim ty dotrzesz do hotelu „Cala Fuerte”.

I na oczach zdumionej dziewczyny wstał, otrzepał biały pył z siedzenia spodni, po czym zasiadł do maszyny, stukając, jakby od tego zależało jego życie.

Na coś innego Selina liczyła. Czekwała na jakieś odroczenie egzekucji, ale nic takiego nie nastąpiło, więc próbując przełknąć wielką kulę, która utkwiała jej w gardle i mrugając powiekami, by odgonić to idiotyczne szczypanie, które przypominało łyzy, poszła do kuchni, wyciągnęła pojemnik z chlebem, opróżniła go, wykładając na blat bochenek za bochenkiem, na końcu wyjmując biały papier, pod który wsunęła paszport.

Paszportu nie było. Łzy, rozczarowanie, wszystko zginęło w fali nagłej paniki. Jej paszport zginął naprawdę!

- George!

Stukał tak głośno, że jej nie usłyszał.

- George, zgu... ZGUBIŁAM PASZPORT.

Przerwał pisanie i unióśł brwi w geście uprzejmego zdiwienia.

- Znowu?

- Nie ma go tu! Wsunęłam go na samo dno i go nie ma! Zginał!

- Wielkie nieba! - zawołał George.

- Co się mogło z nim stać? - Jej głos przeszedł w żałosny jęk. - Może Juanita go znalazła? Albo myła pojemnik i go zniszczyła? Albo wyrzuciła! Może ktoś go ukradł? O, co ja teraz pocznę?

- Wolę nawet nie myśleć...

- I po co ja go w ogóle tam kładłam!

- Igrałaś z ogniem, no i się doigrałaś - oznajmił sentencjonalnie George i wrócił do pisania.

Selina w końcu zaczęła coś podejrzewać. Zmarszczyła brwi. George zachowywał się podejrzanie spokojnie. A w jego oczach pojawił się błysk, któremu, jak już zdążyła się przekonać, nie należy ufać. Czyżby znalazł paszport? Znalazł, schował i nic jej nie powiedział? Zostawiła pusty pojemnik i zaczęła krążyć po pokoju, szukając śladów. Tu podniosła róg gazety, tu zajrzała pod poduszkę, jakby się bawiła w ciepło-zimno.

Wreszcie w swoich poszukiwaniach dotarła do George'a. Stanęła za nim. Miał na sobie sprane, poplamione solą dzinsy, kieszeń na prawym pośladku była podejrzanie sztywna, rysował się pod nią jakiś kształt: książeczka, może duża karta... Nadal łomotał w maszynę jak z karabinu maszynowego, ale kiedy Selina wyciągnęła rękę, żeby sprawdzić zawartość kieszeni, jego dłoń oderwała się od maszyny i pacnęła ją po palcach.

Koniec paniki. Selina roześmiała się z ulgi; ze szczęścia; z miłości. Otoczyła szyję mężczyzny ramionami i omal go nie udusiła.

- Miałeś go! - zawołała. - Znalazłeś! Miałeś go cały czas, ty potworze!

- Oddać ci?

- Tylko jeśli chcesz, żebym wróciła do Londynu z Rodneyem.

- Nie chcę.

Pocałowała go, pocierając gładkim policzkiem o jego szorstki, nie ogolony. Nie był gładki, pachnący wodą po goleniu, ale spalony przez słońce, pocięty przez zmarszczki, zużyty i znajomy jak któraś z jego suszonych na słońcu bawełnianych koszul.

- Ja też nie chcę - odparła.

Zapełnił całą stronę maszynopisu. Selina oparła mu brodę na głowie.

- Co pisziesz? - spytała.

- Konspekt.

- Nowej książki? O czym będzie?

- O rejsie po Morzu Egejskim.

- Jaki będzie miała tytuł?

- Nie mam zielonego pojęcia, ale zadedykuję ją tobie.

- Czy będzie dobra?

- Mam nadzieję. Ale tak naprawdę to mam już pomysł na trzecią. Tym razem powieść... - Wziął ją za rękę i pociągnął, tak że usiadła na brzegu biurka, twarzą do niego. - Pomyślałem, że mogłaby opowiadać o facecie, który żył sobie spokojnie w cichym zakątku, nie szkodząc nikomu, nie włączając nikomu w paradę. I wtedy w drogę wchodzi mu ta dziewczyna. Ma obsesję na jego punkcie. Nie daje mu spokoju. Odsuwa go od przyjaciół, wydaje wszystkie jego pieniądze, doprowadza do pijaństwa. Facet staje się wyrzutkiem, nikt go nie chce znać.

- I jak się kończy?

- Żeni się z nią oczywiście. Dziewczyna zmusi go do tego podstępem. Tamten biedak nie ma innego wyjścia. To tragiczne.

- Dla mnie to nie brzmi tak tragicznie.

- A powinno.

- George, czy ty mi się przypadkiem nie oświadczasz?

- Zdaje się, że na mój pokrętny i pokręcony sposób tak. Przepraszam za ubiegłą noc. I kocham cię.

- Wiem o tym - nachyliła się, całując go w usta. - I cieszę się z tego.

Znowu go pocałowała, a on odsunął maszynę, wstał i wziął dziewczynę w ramiona.

- Będziemy musieli zawiadomić Agnes - powiedziała po pewnym czasie Selina.

- A nie przyjedzie tutaj i nie będzie próbowała mi przeszkadzać w pracy?

- Oczywiście że nie. Oszaleje na twoim punkcie.

- Będziemy musieli nadać do niej telegram. Z San Antonio, jeśli ma dotrzeć do niej przed Rodneyem Acklandem. A skoro już będziemy w mieście, złożymy wizytę angielskiemu księżulkowi i przekonamy się, ile jeszcze każą nam czekać. I poprosimy Rudolfa na družbę...

- Chciałabym, żeby Juanita była moją drużną.

Juanita. Zapomnieli o niej. Teraz, roześmiani, ręka w rękę wyszli jej poszukać. Ale Juanita nie była aż tak naiwna, jak to się mogło wydawać. Instynkt chłopki rzadko ją zawodził i już szła ku nim z ogrodu, jak zwykle wyprostowana, promieniejąca z radości, z ramionami szeroko wyciągniętymi, jakby chciała objąć ich oboje.